

Zeszyty Siemczyńsko - Henrykowskie



Tom V

FIRMY WSPIERAJĄCE FINANSOWO WYDANIE TOMU V:
ZESZYTÓW SIEMCZYŃSKO-HENRYKOWSKICH



Konsorcjum Andziak sp. j.
78-100 Kołobrzeg, ul. Jedności Narodowej 18

Skład maszyn:
78-123 Siemysł, Białokury 14
andziak@andziak.com
www.andziak.com



Pałac Siemczyno Adam Andziak
78-551 Siemczyno, Siemczyno 81
biuro@palacsiemczyno.pl

Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie
hss@palacsiemczyno.pl
www.palacsiemczyno.pl

Zeszyty Siemczyńsko-Henrykowskie

Tom V

**Ze słowem wstępnym Sławomira Preissa,
Senatora RP**

Siemczyno 2015

© Copyright by Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie, 2015

Wydawca: Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie



Projekt okładki: Łukasz Romaniuk

Na I stronie okładki: kościół pw. Matki Bożej Różańcowej w Siemczynie

ZESZYTY SIEMCZYŃSKO-HENRYKOWSKIE. Kolegium redakcyjne:
redaktor naczelny: Bogdan Andziak; zastępcy redaktora naczelnego:
Marian P. Romaniuk, Wiesław Krzywicki; sekretarz redakcji: Robert
A. Dyduła; członkowie redakcji: Magdalena Bekier, Maria Witek, Alina
Karolewicz, Zdzisław Andziak, Zbigniew Januszaniec, Jarosław Lesz-
czelowski, Kamil Połec, Zbigniew Mieczkowski, Waldemar Witek .

Adres redakcji: Siemczyno 81, 78-551 Siemczyno. Tel.: 94 37 58 621
www.palacsiemczyno.pl; e-mail: zeszyty@palacsiemczyno.pl

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wydatne wsparcie finansowe
Hotelowi Pałac Siemczyno Adam Andziak;
e-mail: biuro@palacsiemczyno.pl
i Konsorcjum Andziak sp. j.
e-mail: andziak@andziak.com

Druk i oprawa: Drukarnia „Tempoprint”, Szczecinek, ul. Harcerska 2
www.tempoprint.pl

ISBN 978-83-941167-1-2

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ WPROWADZAJĄCA

Sławomir Preiss, Senator RP, <i>Słowo wstępne</i>	7
Bogdan Andziak, <i>Słowo wprowadzenia</i>	9

WYDARZENIA

Bogdan Andziak, <i>Konferencja „Rewitalizacja środowisk popegeerowskich – odzyskanie uśpionego kapitału” Pod honorowym patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego</i>	12
Wiesław Krzywicki, <i>XI Henrykowskie Dni w Siemczynie – 2014</i>	18
Wiesław Krzywicki, <i>Konferencja w Siemczynie. W trosce o nasze dzieci</i>	27
Grzegorz Andziak, <i>Projekty Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie zrealizowane przy pałacu</i>	32

HISTORIA OBYCZAJÓW

Magdalena Bekier, <i>Codzienna toaleta i higiena osobista w wieku XVIII (a raczej jej brak)</i>	39
---	----

HISTORIA KULTURY MATERIALNEJ

Dr Janina Kochanowska, <i>Skarby Pomorza Zachodniego – witraże herbowe i figuralne z XVI-XVII w.</i>	45
Maryla i Waldemar Witkowie, <i>Budownictwo ryglowe. balast czy dobrodziejstwo? – doświadczenia konserwatorskie</i>	57
Marcin Majewski, <i>Najstarsze dzwony na Pomorzu Zachodnim</i>	67

HISTORIA

Jarosław Leszczełowski, <i>Von Arnimowie z Siemczyna (2)</i>	76
Jarosław Leszczełowski, <i>Z dziejów Ordensburga nad Krosinem</i>	87
Zbigniew Januszaniec, <i>Czaplinecki kalejdoskop historyczny (I)</i>	107
Zbigniew Mieczkowski, <i>Gniazdo rodowe Güntersbergów nad Drawą 1299-1734. Od zabójstwa Przemysła II do wymarcia linii rodowej</i>	117

WSPOMNIENIA

Wiesław Krzywicki, Antoni Tołłoczko. <i>Żeglarz wierny młodzieńczym ideałom</i>	139
---	-----

KĄCIK KRASOMÓWCZY

Alina Karolewicz, *Piękno ziemi i słowa* 147

REDAKTOR NACZELNY POLECA

Publikacje Jarosława Leszczelowskiego i Mariana P. Romaniuka . 152

W następnym tomie 160



Sławomir Preiss, Senator RP

Szanowni Państwo,

Zostałem poproszony o napisanie słowa wstępu do, piątego numeru „Zeszytów Siemczyńsko-Henrykowskich”, to dla mnie wielki zaszczyt. Jednocześnie bardzo szczególne zobowiązanie do sprawowania mecenatu nad dokonaniem twórczymi Pałacu w Siemczynie; co więcej, promowania w szerszym zakresie inicjatyw podejmowanych przez Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie.

Jako senator z okręgu zachodniopomorskiego, miałem możliwość zapoznania się z dokonaniem Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie i jego animatorów braci Zdzisława i Bogdana Andziaków, którzy nie szczędzą wysiłków, by Pałac w Siemczynie, dzięki restauracji i rewitalizacji zyskał swą dawną świetność. Te starania docenione zostały w II edycji konkursu „Strażnik Dziedzictwa Rzeczypospolitej” Custos Monumentorum Rei Publice, pod patronatem Senatu RP i Ministerstwa Kultury oraz Dziedzictwa Narodowego oraz Narodowego Centrum Kultury. Jego celem jest uhonorowanie osób i instytucji mających szczególne zasługi dla ochrony i zachowania polskiego dziedzictwa kulturowego w kraju i za granicą. Nobilitacją dla całego środowiska twórców kultury w Siemczynie był udział obu prezesów Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie, Zdzisława i Bogdana Andziaków w uroczystej gali w Łazienkach Królewskich w dniu 18 listopada ubiegłego roku, kiedy to otrzymali wyróżnienie w tak prestiżowym konkursie. Jako senator, a zarazem członek Komisji Kultury i Środków Przekazu miałem zaszczyt uczestniczyć w tym ważnym wydarzeniu i miałem przyjemność być naczynym świadkiem tego historycznego wydarzenia.

I tego typu bardzo szczególne miejsca w Polsce, jak Pałac w Siemczynie miał na myśli Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz. W krótkim,

acz znaczącym przemówieniu zaznaczył, że nasze dziedzictwo narodowe jest rozsiane po całym świecie. Są miejsca tak znane jak Biblioteka Polska w Paryżu, która dba o zachowanie naszego dziedzictwa, ale jest też mnóstwo miejsc, o których trzeba przypomnieć. Ten konkurs jest właśnie po to, by mówić o takich miejscach i ludziach, którzy te miejsca otaczają opieką. Marszałek dodał, że to, co otrzymaliśmy jako dorobek poprzednich pokoleń, jest zachowane dzięki osobom i środowiskom, którym leży na sercu utrwalenie tej spuścizny. Są to osoby anonimowe, działające lokalnie, pasjonaci historii regionu, kolekcjonerzy, pragnący ocalić fragmenty większej całości dla potomnych.

Jestem głęboko przekonany, że w latach następnych Pałac w Siemczynie zostanie uhonorowany mianem Strażnika Dziedzictwa Rzeczypospolitej, na co ze wszech miar zasługuje.

Chciałbym podkreślić, iż w ostatnich latach Pałac w Siemczynie skupia środowisko twórców kultury, historyków i miłośników regionu zachodniopomorskiego. Na szczególne wyróżnienie zasługuje bodaj pierwsza w Polsce inicjatywa prywatna wydawania pisma, w którym można znaleźć wiele interesujących materiałów chociażby z historii regionu, przybliżenia czytelnikowi dawnych tradycji etc. „Zeszyty Siemczyńsko-Henrykowskie” są wysoko notowane w środowisku krzewicieli kultury. To najlepszy przykład, że nawet w tak niewielkich społecznościach lokalnych można wydawać profesjonalne pismo, o najwyższym poziomie merytorycznym i edytorskim.

Dlatego też proszę przyjąć wyrazy uznania i gratulacje kierowane do Zespołu Redakcyjnego, w szczególności do Redaktora Naczelnego i jego Zastępców zarówno za pomysł jak i dotychczas wydane numery pisma.

Sławomir Preiss

Senator RP

A stylized, cursive handwritten signature in black ink, which appears to read 'Sławomir Preiss'.



Drodzy Czytelnicy.

Ten piąty już tom Zeszytów Siemczyńsko-Henrykowskich poświęciliśmy bardzo ważnym wydarzeniom, które miały miejsce w Siemczynie w drugiej połowie 2014 roku. Pokróćce opiszę te wydarzenia, których szczegółowo nie mogliśmy przedstawić w tym tomie ze względu na ograniczoną jego objętość.

Pierwsze z nich to - *REWITALIZACJA ŚRODOWISK POPEGEROWSKICH – ODZYSKANIE UŚPIONEGO KAPITAŁU*, konferencja ta odbyła się pod honorowym patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego w dniach 1-2 lipca, a uczestniczyli w niej przedstawiciele gremiów kierowniczych 4 województw oraz grono znamienitych polskich uczonych. Była ona najważniejszym z wydarzeń ostatnich lat w Zespole Pałacowo-Folwarcznym w Siemczynie, a jej tematyka dotyczyła bolesnego problemu arbitralnej decyzji likwidacji Państwowych Gospodarstw Rolnych i jej negatywnych skutków dla lokalnych społeczności. Decyzja ta także boleśnie skrzywdziła byłych pracowników PGR. Większość z nich należała do „Solidarności” i w pierwszych wolnych wyborach głosowała na jej przedstawicieli. Stąd też nie protestowali gdy likwidowano ich miejsca pracy, wierzyli, że ci których wybrali zadbają o nich, dadzą pracę. A im zabrano nie tylko pracę, ale przez lata jeszcze oczerniano, że są obibokami i pijakami, że PGR-y były bardzo zacofane, że generowały ogromne straty. Odebrano im nie tylko dorobek, ale i dumę z niemałych przecież zawodowych sukcesów. Uczestnicy konferencji debatowali nad tym czy uda się naprawić te krzywdy i odzyskać utracone zaufanie - zrewitalizować uśpiony ludzki kapitał.

Plonem tej konferencji była *DEKLARACJA PONADREGIONALNEGO POROZUMIENIA W SPRAWIE PARTNERSTWA 4 REGIONÓW* podpisana przez przedstawicieli województw: lubuskiego, zachodniopomorskiego, pomorskiego i warmińskiego-mazurskiego.

Drugim takim wydarzeniem była konferencja pod znamienym tytułem *W TROSCE O NASZE DZIECI. Odzyskanie uśpionego kapitału w regionach popegeerowskich poprzez zapewnienie optymalnego rozwoju dzieci w długofalowej perspektywie* odbyła się 13 września pod honorowym patronatem Pani Anny Mieczkowskiej Członka Zarządu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego - w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa. Była ona pokłosiem: z jednej strony systematycznych badań wad rozwojowych postawy dzieci w gminie Czaplinek, a z drugiej tej pierwszej lipcowej konferencji.

Rozwój cywilizacyjny przyniósł ogromny postęp w nauce i technice oraz znaczną poprawę warunków życia ludzi, ale stał się jednocześnie przyczyną pojawienia się wielu nieznanych

wcześniej zagrożeń. Choroby cywilizacyjne stają się coraz bardziej powszechne i dotyczą nie tylko ludzi starszych czy dorosłych, ale przede wszystkim młodzież, a nawet dzieci. Dane Światowej Organizacji Zdrowia wykazują, że u około 10% 10-14 letnich dziewcząt i chłopców oraz u około 20% 15-19 letnich chłopców występują zmiany miażdżycowe. W Polsce około 15-25% cierpi z powodu zaburzeń psychicznych, 10-20% wymaga opieki psychologiczno-psychiatrycznej, narasta nerwowość i nasilają się lęki, 85% - 93% młodej populacji w Polsce ma wady postawy ciała. Badania wad postawy dzieci ze szkół podstawowych i przedszkoli przeprowadzone w Czaplinku przez zespół naukowców z Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu i Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach w pełni potwierdziły te zatrważające dane. Istnieje przy tym przypuszczenie, że dzieci i młodzież ze środowisk popegeerowskich są bardziej zagrożone wadami rozwojowymi. Dlatego też jeśli chcemy odzyskać uśpiony kapitał społeczny tych środowisk musimy otoczyć naszą troską dzieci tam wzrastające.

Dzieci rodzą się zdrowe i jak wykazały czaplineckie badania, u dzieci w wieku przedszkolnym występuje stosunkowo niewiele wad postawy. Dopiero u starszych dzieci stan postawy szybko się pogarsza. Przyczyną jest niedobór ruchu połączony z siedzącym trybem życia oraz przyjmowanie niewłaściwych pozycji w ławce szkolnej i w domu podczas korzystania z komputera i telewizora. Asymetryczny rozkład napięcia mięśniowego powoduje nierównowagę mięśniową polegającą na wzmocnieniu i skróceniu jednych mięśni i osłabieniu i rozciągnięciu drugich. Te dzieci w wieku dojrzałym będą miały problemy z kręgosłupem (wg opinii lekarzy ponad 85% społeczeństwa miało, ma, lub będzie miało ten problem). Leczenie dolegliwości, u których podstaw leżą zmiany w obrębie kręgosłupa jest chyba największą bolączką również wśród lekarzy. Jest to leczenie długotrwałe, często ma charakter poszukiwań zakrojonych na szeroką

skalę i przeprowadzanych na wielu płaszczyznach. To od kręgosłupa może boleć serce, nerka, głowa. Nieskuteczność tego leczenia jest doświadczana przez znaczną większość chorych. Są to ludzie skazani do końca na częste lub bardzo częste wizyty u specjalistów. Jak tego uniknąć? Najprostszą receptę wskazał ojciec polskiej ortopedii profesor Wiktor Dega: *„Ruch zastąpi wiele leków, ale żaden lek nie zastąpi ruchu”*.

Będziemy czynili starania by referaty z tych dwóch konferencji opublikować w kolejnym tomie Zeszytów Siemczyńsko-Henrykowskich.

Na łamach tego tomu szeroko prezentujemy natomiast przebieg XI Henrykowskich Dni w Siemczynie, które odbyły się pod honorowym patronatem Olgierda Geblewicza Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego, Cezarego Nowakowskiego Dyrektora Biura Dokumentacji Zabytków w Szczecinie oraz Ewy Staneckiej Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

Najważniejszym dorobkiem Dni była konferencja naukowa «Z dziejów Ziemi Drawskiej» pod sprawnym kierownictwem dr Zbigniewa Mieczkowskiego. Referaty z tej konferencji, których autorami byli znamienici naukowcy i znawcy naszej lokalnej historii: dr Janina Kochanowska, Jarosław Leszczełowski, dr Marcin Majewski, dr Zbigniew Mieczkowski, Maria i Waldemar Witkowie i Krystyna Rypniewska, zostały zaprezentowane w tym tomie i będą zapewne dla P.T. Czytelników interesującą i pożyteczną, bo pogłębiającą wiedzę lekturą.

W tomie tym znajdują się też inne jeszcze, ciekawe artykuły, jak np. o codziennej toalecie i higienie osobistej w wieku XVIII, lub jej braku, jak zaznacza żartobliwie autorka Magdalena Bekier.

Są tu też teksty pięknych wystąpień oratorskich na konferencji Anny Patalan i Wiktora Dworzaka - młodych aktorów z czaplineckiej «Wypożyczalni Skrzydeł» kierowanej przez utalentowaną Alinę Karolewicz, która jest także autorką tekstów krasomówczych.

Czytelnikom V tomu Zeszytów Siemczyńsko-Henrykowskich życzę przyjemnej lektury, a zespołowi redakcyjnemu oraz autorom dziękuję za duży wkład pracy.

Bogdan Andziak



Bogdan Andziak

**Konferencja „Rewitalizacja środowisk popegeerowskich –
odzyskanie uspionego kapitału”
Pod honorowym patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej
Polskiej Bronisława Komorowskiego**

19 października 1991 roku Sejm RP przyjął ustawę o likwidacji, Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Istniały one od 1949 roku i pod koniec lat 80 było ich powyżej półtora tysiąca, a gospodarowały one na ok. 20 %



Członek Zarządu Woj. Zachodniopomorskiego Anna Mieczkowska

ziemi rolnej w Polsce. W 1989 roku PGR-y zatrudniały 435 tysięcy osób, co z rodzinami stanowiło około dwa miliony osób. Ludność zamieszkała w 6 tysiącach specjalnych osiedli.

Proces likwidacji PGR zakończył się 31 grudnia 1993 roku. Majątek przejęła Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa (przekształcona potem w Agencję Nieruchomości Rolnych), która szybko wyprzedała majątek produkcyjny, a proces sprzedaży i dzierżawy popegeerowskiej ziemi trwa do dziś.

Pracownicy likwidowanych PGR-ów w większości pozostawieni zostali sami sobie i do dzisiaj ten

problem nie znalazł rozwiązania. W podobnej sytuacji znalazły się gminy na terenie których funkcjonowały Państwowe Gospodarstwa Rolne. Były one kiedyś bardziej rozwinięte od gmin z przewagą rolnictwa indywidualnego - dzisiaj w większości stanowią enklawy biedy i różnych patologii.

Ostatnio dostrzeżono wreszcie ten wielki problem, nie przynoszący chluby wszystkim dotychczasowym rządów i podjęto badania socjologiczne i analizy, których zwieńczeniem stała się w dniach 1-2 lipca konferencja w Zespole Pałacowym w Siemczynie „REWITALIZACJA ŚRODOWISK POPEGEEROWSKICH - ODZYSKANIE UŚPIONEGO KAPITAŁU”. Szczególnie wysoką rangę nadał jej honorowy patronat Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego.

Gospodarzami konferencji byli przedstawiciele 4 województw najbardziej dotkniętych problemem środowisk popegeerowskich, a więc Zachodniopomorskiego, Lubuskiego, Pomorskiego i Warmińsko-Mazurskiego. Uczestniczyło w niej około 160 osób, a w tym:

- **Ewa Żmuda-Trzebiatowska** - Poseł na Sejm RP
- **Arkadiusz Litwiński** - Poseł na Sejm RP
- **Krystyna Skibińska** - Poseł na Sejm RP
- **Paweł Orłowski** - Podsekretarz Stanu Ministerstwa Infrastruktury i Rozwoju
- **dr Janusz Gołos** - Konsultant ds Rolnictwa i Obszarów Wiejskich Kancelarii Prezydenta RP

Konferencję otworzyli jej gospodarze:

- **Anna Mieczkowska** - Członek Zarządu Województwa Zachodniopomorskiego
- **Jacek Protas** - Prezes Zarządu Związku Województw RP, Marszałek Województwa Warmińsko - Mazurskiego
- **Elżbieta Polak** - Marszałek Województwa Lubuskiego
- **Czesław Elzanowski** - Członek Zarządu Województwa Pomorskiego

W imieniu patrona honorowego wystąpił:

- **dr Janusz Gołos** - Konsultant ds Rolnictwa i Obszarów Wiejskich Kancelarii Prezydenta RP

W sesji dotyczącej rewitalizacji środowisk popegeerowskich przedstawione zostały prezentacje multimedialne i referaty:

1. *Społeczne aspekty likwidacji Państwowych Gospodarstw Rolnych: raport socjologiczny z badań ilościowych i jakościowych.* - **Prof. dr hab. Anna Giza-Poleszczuk** - Prorektor UW.
2. *Od animacji do edukacji społecznej* - **Wiesław Przybysz** - Dyrektor Regionalnego Ośrodka Polityki Społecznej w Olsztynie **Radosław Król** - Wójt Gminy Wydminy
Bożena Olszewska-Świtaj - Wójt Gminy Górowo Iławieckie



Grono uczestników pierwszego dnia konferencji - na pierwszym planie właściciel pałacu Siemczyno Bogdan Andziak

3. *Aktywizacja życiowa i zawodowa mieszkańców enklaw* - **dr Wacław Idziak** - animator, twórca wiosek tematycznych
4. *Przestrzeń Publiczna: pokaż mi, gdzie żyjesz, a powiem ci, kim jesteś...* - **Szymon Olbrychowski** - architekt, Stowarzyszenie Port i Rzeka
5. *Możliwości reintegracji społecznej i rewitalizacji obszarów enklaw popegeerowskich w ramach funduszy europejskich 2014 - 2020* -

Paweł Orłowski - Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Infrastruktury i Rozwoju RP.

Sz szczególnie mocno zabrzmiał głos prof. Anny Giza-Poleszczuk z Uniwersytetu Warszawskiego która przedstawiła wyniki badań społecznych przeprowadzonych w 2008 roku p.t. „Społeczny wymiar likwidacji PGR”. Badania prowadzono na terenie 7 powiatów: Gołdap, Żnin, Bytów, Świdwin, Świebodzin, Śrem i Parczew.

A oto główne wnioski z tych badań:

Decyzja likwidacji PGR-ów zaskoczyła wszystkich, a przede wszystkim pracowników gospodarstw. Zaskoczone zostały władze



Prof. Anna Giza-Poleszczuk z UW przedstawia wyniki badań przeprowadzonych w 2008 roku w środowiskach popegeerowskich

lokalne, które zupełnie nie były przygotowane na przejęcie odpowiedzialności za problemy obszarów popegeerowskich: straciły dotychczasowe przychody, a zaczęły ponosić koszty. Jedynie kadra kierownicza PGR-ów wykazała duże poczucie odpowiedzialności za załogę, ale wobec drażniących warunków kredowania, nie miała żadnych szans na stworzenie innych ram organizacyjnych dla gospodarstw rolnych.

Lepiej wykształceni pracownicy wyjechali, a zostali na miejscu ci na rencie, wcześniejszej emeryturze, gorzej wykształceni i ci którzy wykupując mieszkania pozbawili się możliwości wyjazdu. Duża część „uwięzła” na kuroniówce, mając płonną nadzieję, że to stan przejściowy, który trzeba przeczekać i że znowu dostana pracę.

Złą natomiast rolę odegrały instytucje państwowe, a szczególnie Agencję Własności Rolnej Skarbu Państwa (AWRSP, dzisiaj pod nazwą Agencji Nieruchomości Rolnych (ANR), powołana specjalnie do zarządzania pozostałym po PGR majątkiem - temat w dużej mierze „tabu” (monopolista w sferze obrotu ziemią oraz instytucja reprezentująca bliżej nieokreślone interesy ponadlokalne). Agencji zarzuca się:

- brak rozeznania lokalnych sytuacji; potraktowanie wszystkich PGR-ów jednakowo,
- nieprzejrzystość działań,
- kierowanie się inną logiką: ANR ma szybko sprzedawać, zagospodarowywać,
- marnotrawienie majątku po PGR,
- nieuwzględnienie praw pracowniczych (do majątku, ale też naliczanie świadczeń wyłącznie od pensji, bez premii i świadczeń),
- programy dla pracowników PGR: głównie dla dzieci (dowóz do szkoły, stypendia pomostowe, program Caritas dla dziewcząt).

Skutkiem tego w wielu powiatach, gdzie dominowały PGR nastąpiło:

- trwałe uwięznięcie w odciętych osiedlach, gettoizacja, dziedziczenie wykluczenia,
- lokalny rynek nie generuje zatrudnienia,
- dostępne zatrudnienie jest nieopłacalne (na tyle niskie, że po odjęciu kosztów dojazdu zostaje mniej, niż zasiłek lub zarobek przy pracy na czarno),
- problemy z dojazdami do pracy do większych miejscowości (likwidacja komunikacji publicznej),
- migracja mężczyzn utrudnia podjęcie pracy przez kobiety.

Po tej części konferencji przedstawiciele czterech województw podpisali DEKLARACJĘ PONADREGIONALNEGO POROZUMIENIA W SPRAWIE PARTNERSTWA CZTERECH REGIONÓW NA RZECZ REWITALIZACJI

W panelu dyskusyjnym konferencji zabierali głos:

1. **dr Janusz Gołos** - Konsultant ds Rolnictwa i Obszarów Wiejskich Kancelarii Prezydenta RP
2. **Paweł Orłowski** - Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Infrastruktury i Rozwoju RP
3. **Jacek Protas** - Prezes Zarządu Związku Województw RP, Marszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego
4. **Elżbieta Polak** - Marszałek Województwa Lubuskiego
5. **Anna Mieczkowska** - Członek Zarządu Województwa Zachodniopomorskiego
6. **Czesław Elzanowski** - Członek Zarządu Województwa Pomorskiego
7. **Grzegorz Pięta** - Dyrektor Zespołu Organizacyjnego Agencji Nieruchomości Rolnych



Przedstawiciele czterech województw oraz prof. Anna Giza-Poleszczuk z podpisanymi deklaracjami.

Na zakończeniu konferencji jej podsumowania dokonała - Dorota Rybarska-Jarosz - Dyrektor Regionalnego Ośrodka Polityki Społecznej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego.

Podejmowane dotychczas działania i inicjatywy dla rozwiązania problemu środowisk popegeerowskich nie przyniosły większych rezultatów. Miejmy nadzieję, że ta wspólna inicjatywa 4 województw, przyniesie wreszcie znaczące rezultaty.

Decyzja o likwidacji PGR-ów boleśnie skrzywdziła ich pracowników. Większość z nich należała do „Solidarności” i w pierwszych wolnych wyborach głosowała na jej przedstawicieli. Stąd też nie protestowali gdy

likwidowano ich miejsca pracy, wierzyli, że ci których wybrali zadbają o nich, dadzą pracę. A im zabrano nie tylko pracę, ale przez lata jeszcze oczerniano, że są obibokami i pijakami, że PGR-y były bardzo zacofane, że generowały ogromne straty. Odebrano im nie tylko dorobek, ale i dumę z niemalych przecież zawodowych sukcesów. Czy uda się naprawić te krzywdy i odzyskać utracone zaufanie?

Konferencja ta była najważniejszym z wydarzeń ostatnich lat w Zespole Pałacowym w Siemczynie, a jej tematyka będzie tu kontynuowana. Między innymi trwają starania o wydanie specjalnego tomu Zeszytów Siemczyńsko-Henrykowskich poświęconego konferencji i jej plomom. Ponadto Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie zorganizowało 13 września 2014 roku Konferencję Naukowo-Metodyczną pt. „*W TRO-SCE O NASZE DZIECI. Odzyskanie uśpionego kapitału w regionach popegeerowskich poprzez zapewnienie optymalnego rozwoju dzieci w długofalowej perspektywie*”. Była ona adresowana do dyrektorów szkół i nauczycieli wychowania fizycznego, organizatorów aktywnego wypoczynku dla dzieci i młodzieży, lekarzy i pozostałych pracowników służby zdrowia, urzędników administracji wszelkich szczebli oraz rodziców dzieci. Przewodniczącym konferencji był prof. dr hab. Andrzej Malinowski, a sekretarzem dr Stanisław Nowak. Autorami referatów byli naukowcy z UAM w Poznaniu, UJK w Kielcach i UTH w Radomiu w tym 2 profesorów. Konferencja odbyła się pod patronatem Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego oraz Starosty Drawskiego.

Bogdan Andziak (ur. 1956), magister inżynier Wydziału Zootechniki Akademii Rolniczej w Szczecinie; 1971-1979 pracownik Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przetwórstwa Mięsnego w Koszalinie; 1979-1984 Centrali Rybnej w Koszalinie; 1985-1990 Państwowej Inspekcji Skupu i Przetwórstwa Artykułów Rolnych w Koszalinie; od 1990 przedsiębiorca prywatny; od 1999 współwłaściciel palacu i od 2002 również folwarku w Siemczynie; od 2005 wiceprezes Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie; od 2012 redaktor naczelny wydawnictwa „Zeszyty Siemczyńsko-Henrykowskie”.

Hobby: historia, biologia, technika; podróże.



Wiesław Krzywicki

*„Gdy w dzieciństwa wracam strony, Dobre chwile przypominam, Me-
go miasta słyszę dzwony, Czy ktoś czas zatrzymał?”*

R. Ulicki

XI Henrykowskie dni w Siemczynie

W dniach 4-5-6 lipca uczestniczyłem w XI Henrykowskich Dniach w Siemczynie i poczułem się tak samo, jak wówczas, gdy miałem 9 lat i znalazłem się na cudownym jarmarku, odbywającym się na górze Ślęży. To była wtedy dla mnie pierwsza po wojnie taka cudowna przygoda. W Siemczynie panował tego roku podobny klimat beztroskiej zabawy. Czy ktoś zatrzymał czas?

Honorowy patronat objęli:

- Olgierd Geblewicz, marszałek Województwa Zachodniopomorskiego,
- Cezary Nowakowski - dyrektor Biura Dokumentacji Zabytków w Szczecinie,
- Ewa Stanecka - Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

W uroczystości otwarcia uczestniczyli znamienici i zaciąg goście, by wymienić najważniejszych:

- bp. Krzysztof Zadarko, biskup pomocniczy Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej,
- Anna Mieczkowska, członek Zarządu Województwa Zachodniopomorskiego,



Uczestnicy konferencji „Z dziejów Ziemi Drawskiej”

- Sławomir Preiss, senator RP, z żoną
- Marek Hok, poseł
- Mathias von Bredow, prezydent rodziny von Bredow,
- Adam Kośmider, burmistrz Czaplinka, z żoną
- Wiktor Woś - członek zarządu powiatu drawskiego
- Tomasz Tamborski, starosta powiatu kołobrzeskiego
- Marian Sieradzki, burmistrz Gościna,
- Piotr Antończak, wiceburmistrz Złocienka



Uczestnicy konferencji historycznej

- Maryla Witek, zastępca dyrektora Biura Dokumentacji Zabytków w Szczecinie
- dr Beta Makowska - Dyrektor Narodowego Instytutu Dziedzictwa w Szczecinie,

Organizatorzy: Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie, Gmina Czaplinek, Starostwo Drawskie i Lokalna Grupa Działania „Partnerstwo Drawy” stanęli na wysokości zadania, zapewniając uczestnikom mnóstwo różnorodnych atrakcji i wspaniałą zabawę.

W pierwszym dniu odbyła się konferencja naukowa *Z dziejów Ziemi Drawskiej* pod sprawnym kierownictwem dr. Zbigniewa Mieczkowskiego.



Pokaz musztry przez Grupę Rekonstrukcji Historycznych Dreispitz

skiego. Złożyły się na nią referaty i prezentacje multimedialne, które przygotowali:

- Krystyna Rypniewska, *Zakres opieki konserwatorskiej nad pałacem w Siemczynie*
- dr Janina Kochanowska, *Skarby Uczestnicy konferencji „Z dziejów Ziemi Drawskiej Pomorza - witraże*
- dr Zbigniew Mieczkowski, *Ród Güntersbergów na ziemi drawskiej. Czy Jakub Güntersberg jest mordercą Przemysła II i założycielem Lubieszewa*
- Maria i Waldemar Witkowie, *Budownictwo ryglowe. Balast czy dobrodziejstwo?*
- Jarosław Leszczelowski, *Dzieje Ordensburga nad Krosinem*
- dr Marcin Majewski, *Najstarsze dzwony na Pomorzu Zachodnim.*

Pięknym wstępem i zakończeniem konferencji były występy oratorskie Wiktora Dworzaka i Anny Patalan, młodych aktorów z czaplineckiej Grupy Artystycznej *Wypożyczalnia Skrzydeł*, kierowanej przez Alinę Karolewicz.

Jak zawsze pilnie słuchałem wszystkich wykładów, które nie tylko wzbogaciły moją wiedzę, lecz także skłoniły do refleksji nad

dramatyzmem dziejów mojej małej ojczyzny. Szczególnie dramatyczna była historia Ordensburga Krossinsee, przedstawiona przez Jarosława Leszczeńskiego. Tam właśnie przygotowywano hitlerowskie kadry do podboju i eksterminacji ras uznanych za niegodnych życia – narodów słowiańskich i Żydów.

Kontynuacją historycznej tematyki było otwarcie ekspozycji muzealnych w pałacu, w której uczestniczyły:



Otwarcie przez marszałek Annę Mieczkowską i Bogdana Andziaka występów zespołów artystycznych

- Muzeum Okręgowe w Koszalinie,
- Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Stargardzie Szczecińskim,
- Muzeum Regionalne w Szczecinku,
- Muzeum pałacowe w Trzebiatowie,
- Muzeum PGR w Bolegorzynie,
- Izba Muzealna w Bornym Sulinowie,
- Muzeum Przetwórstwa Mięsa Konsorcjum Andziak sp.j. Kołobrzeg,
- Izba Muzealna w Czaplinku,
- i reprezentujący siebie: Cezary Starczewski z Czaplinka,

Goście zwiedzający muzealne stoiska mogli także obejrzeć wystawę związaną z przedwojennymi właścicielami pałacu i folwarku - rodziną von Bredow (zdjęcia i fotokopie dokumentów dostarczone przez ich wnuka). Także losy pałacu i wsi w pierwszych powojennych latach były świetnie zilustrowane archiwalnymi zdjęciami, na wystawie przygotowanej przez Sołectwo Siemczyno i lokalnego pasjonata historii, Kamila Polcia.

Następnie zaproponowano powrót do współczesności, a było nim otwarcie barwnej Alei Rzemieślników, którą chyba trafniej można by nazwać *Aleją Twórców*. Bo tu swój dorobek prezentowali następujący twórcy:

Genowefa Dykier z Rzęsnicy k/Złocieńca, malarstwo olejne,



Otwarcie nowego pomostu w Zatoce Henrykowskiej. W środku burmistrz Czaplinka Adam Kośmider i Bogdan Andziak

- Paweł Małys z Czaplinka, rzeźba,
- Filip Korowacki z Kołobrzegu, świece artystyczne,
- Magdalena Mokrogulska z Czaplinka, biżuteria rękodzielnicza i szkło,
- Paula Koralewska z Poznania, ceramika,
- Marta Hnatowska z Czaplinka, szkice ołówkowe, drewno, świeczniki,
- Konrad Fajarski z Czaplinka, miody drahimskie,
- Genowefa Polak z Czaplinka, decoupage (przyklejane na różne, odpowiednio spreparowane powierzchnie różnych wzorów wyciętych z papieru),
- Klub Pętka z DK Gościno, rękodzieło artystów nieprofesjonalnych,
- Złocieniecki Ośrodek Kultury, tkactwo artystyczne,
- Krystyna Wenelska z Siemczyna, ceramika artystyczna,
- Tomasz Osmólski z Nowego Drawska, snycerstwo,
- Andrzej Dąbrowski z Broczyna, wikliniarstwo,

- Irena i Stanisław Barscy z Nieżyna, witraże,
- Stowarzyszenie Koszalińskie Zdolne Babeczki, ceramika, wiklina papierowa, tkanina artystyczna, rękodzieło różne,
- Helena Brożek z Czaplinka, obrazy wykonane haftem krzyżykowym,
- Piotr Kondracki z Nowin Wielkich, Witnicy, świeczniki z drewna, grysu, bambusa,
- Małgorzata Kapuścińska ze Złocieńca, rękodzieło z kory, malarstwo,
- Marta Frankowska ze Złocieńca, rzeźby ekologiczne,
- Aleksandra Kotschendorff, biżuteria
- Katarzyna Jędras, rękodzieło (odzież i dodatki z filcu)



To są stroje! Może i niewygodne ale jakież piękne! A wszystko to zasługa Magdaleny Bekier (pierwsza z lewej)

Wszyscy ci artyści to amatorzy i wspaniali pasjonaci. Można więc było nacieszyć wzrok ich piękną twórczością, a także nabyć za niewygórowaną cenę wystawione rękodzieła.

Obok artystycznych było wiele stoisk - kramów, z najróżniejszymi smakowitymi potrawami i napojami.

To było coś dla oka i podniebienia. Równolegle można było nacieszyć słuch na wspaniałym koncercie świetnej Młodzieżowej Orkiestry Dętej przy Szkole Podstawowej w Drawsku Pomorskim. Ech! I znów wspomnienia z dzieciństwa orkiestr wojskowych i strażackich. A także tej naszej strażackiej orkiestry z Czaplinka, która przez 40 lat uświetniała wszelkie uroczystości i zabawy. Jak śpiewała Halina Kunicka *jest w orkiestrach dętych jakaś siła*, bo zasłuchana widownia biła młodym muzykom huczne brawa i domagała się bisów.

Wieczorem na scenie sali kamiennej widzowie obejrzeni przedstawienie: *Śpieszmy się kochać*, w wykonaniu aktorów Teatru „Yes” z Czaplineckiego Ośrodka Kultury. Sztukę zaprezentowano w technice teatru czarnego, której twórcą jest Bułgar Iwan Sivinow. Scena wyłożona jest czarnym materiałem, a aktorzy ubrani w czarne trykoty. Ich kostiumy i rekwizyty pod wpływem promieniowania ultrafioletowego są doskonale widoczne, podczas gdy ich ubrane w trykoty ciała giną na czarnym tle. Uruchamia to wyobraźnię widzów, pozwala odwołać się do skrótu i abstrakcji. Spektakl bez słów, opowiadał o potrzebie miłości i zrozumienia, zwłaszcza, kiedy na starość jesteśmy osamotnieni w zmaganiach z dniem codziennym. Było to przesłanie przede wszystkim dla młodych, by pamiętali zawsze o swoich bliskich, którzy tak szybko odchodzą.



Pamiątkowe zdjęcie uczestników trzeciego dnia. W środku bp Krzysztof Zadarko

Ostatnim barwnym akcentem tego dnia był wieczorny przemarsz przez wieś oddziału wojskowego, składającego się z polsko-niemieckiej Grupy Rekonstrukcji Historycznych „DREISPITZ” w strojach z okresu panowania króla pruskiego Fryderyka II Wielkiego, Bractwa Kurkowego z Kołobrzegu oraz Grupy Artystycznej pod kierownictwem Aliny Karolewicz.

Rano następnego dnia (sobota) ten sam oddział przemaszerował przez miasta : Czaplinek i Złocieniec , zapraszając wszystkich mieszkańców na przypałacowy majdan, gdzie przygotowano kolejne rozrywki i atrakcje, a w tym otwarcie jarmarku produktów regionalnych. Dokonał go Bogdan Andziak w towarzystwie Anny Mieczkowskiej, Sławomira Preissa, Marka Hoka, Adama Kośmidra i innych znakomitych gości.

Potem rozpoczął się piknik historyczny, a więc zwiedzanie pałacu, ekspozycji muzealnych oraz obozów grup rekonstrukcyjnych. Młodzież z „Wypożyczalni Skrzydeł” zapraszała do budzącej ogromne zainteresowanie gry pałacowej, w której dzięki kulturalno-historycznym zadaniom zwiedzanie zabytku stało się zabawne i budzące emocje. Szczególny

entuzjazm widzów wzbudziły pokazy musztry pruskiej, przejazdu kawalerii i kanonady z działa, hakownic i muszkietów.

W południe na scenie ustawionej przy pałacu rozpoczęły się występy bardzo licznych, a przy tym często zachwycających zespołów muzycznych, wokalnych i tanecznych. Co za gracia! Co za stroje! Co za kunszt i temperament!

Wystąpiły następujące zespoły:

- z Bornego Sulinowa,
- Zespół Śpiewaczy „Pomorzanki” z Suliszewa,
- Zespół Radość z Linowna,
- Zespół Taneczny „Gracja” z Politechniki Koszalińskiej (patrzcie i uczcie się młodzi!),
- Zespół Śpiewaczy „Jarzębina” z Mirosławca,
- Zespół Śpiewaczy „Swojacy” z Mirosławca,
- Zespół „Mirosławiacy” z Mirosławca (brawo - aż 3 zespoły z małego miasteczka!),
- Zespół „Jarzębinki” z Broczyna,
- Zespół Taneczny „Volare” z Politechniki Koszalińskiej.

W tym czasie burmistrz Czaplinka Adam Kośmider z Bogdanem Andziakiem powitali w Zatoce Henrykowskiej żeglarzy, którzy 30 jachtami zacumowali przy nowym, pięknym pomoście, wybudowanym przez gminę. Wreszcie Siemczyno odzyskało dostęp do jeziora. Dotychczas wszyscy burmistrzowie na postulaty mieszkańców wsi rozkładali bezradnie ręce. Następny krok w odzyskiwaniu kontaktu z jeziorem i działalnością turystyczną należy do Henrykowskiego Stowarzyszenia, sołtysa Siemczyna i mieszkańców wsi. Obserwując od kilku lat to, co się dzieje w Siemczynie, nie mam wątpliwości, że gmina nie pożałuje wydatkowanych na pomost pieniędzy.

Duże zainteresowanie młodych i starszych widzów wywołała tzw. inscenizacja „Bitwy pod Heinrichsdorf” w wykonaniu grup rekonstrukcji historycznych. Tak między nami mówiąc, takiej bitwy nigdy nie było, ale od czegoż jest *licentia poetica* organizatorów. Było dużo huku i dymu, „rannych” i „wziętych do niewoli” wojaków.

Wielu widzów zgromadził, piękny jak zawsze, pokaz osiemnastowiecznej mody damskiej i męskiej w wykonaniu Pracowni Strojów Historycznych Magdaleny Bekier. Stroje to jej pasja. Osobiście projektuje ona i szyje stroje z zachowaniem pełnej wierności epoce. A przy tym opowiada tak ciekawie i dowcipnie o strojach, stosowanych materiałach, krawiectwie i obyczajach epoki, że chwilami człowiekowi wydaje się, że jest w XVIII wieku. Zapewne stroje te nie są wygodne, ale kobiety prezentują się w nich jak barwne motyle - uroczo.

Przykład jest zaraźliwy, bo coraz więcej pań, a i panów uczestniczących w Henrykowskich Dniach, przywdziewa z tej okazji stroje według dawnej mody. Trudno mi było w pierwszej chwili poznać Bogdana Andziaka, który w amarantowym kontuszu, przepasany pasem słuckim i przy szabli wyglądał niczym jakiś znamienity szlachcic. Także Michał Olejniczak, sołtys Siemczyna w szlacheckim kontuszu i z podgoloną głową, y z takim wyglądem, mógłby grać w historycznych filmach kostiumowych. Wieczorem Orkiestra Filharmonii z Koszalina wraz z solistami dała koncert „Muzyka nie całkiem poważna”, którego z wielką przyjemnością wszyscy uczestnicy wysłuchali.

Na zakończenie tego pełnego wrażeń dnia odbył się pokaz sztucznych ogni.

W niedzielę 6 lipca zawitał do Siemczyna bp Krzysztof Zadarko, który przewodniczył we Mszy św. w kościele pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej w Siemczynie. Wysłuchaliśmy homilii ks. biskupa, odnoszącej się do najważniejszych wyzwań współczesności. Na zakończenie liturgii Michał Olejniczak, sołtys Siemczyna, złożył ks. biskupowi z okazji zbliżających się imienin życzenia owocnej działalności, wszelkiej pomyślności i zdrowia. Po mszy uczestnicy uroczystości przeszli pod pałac, gdzie uwiecznieni zostali na zbiorowym zdjęciu. Będzie ono cenną pamiątką udziału w XI Henrykowskich Dniach w Siemczynie.

Dla pokrzepieniu ciała uczestnicy uroczystości zostali zaproszeni na tradycyjny *Henrykowski Obiad u Andziaków*. Mimo że wszystkie potrawy były smaczne, nie wiem dlaczego, niektórzy biesiadnicy preferowali ogórki małosolne. Po obiedzie długo jeszcze trwały rozmowy gości, którzy dzielili się wrażeniami, bardzo chwalili tegoroczne Henrykowskie Dni i zapowiadali swe ponowne uczestnictwo w przyszłym roku.

I ja, skromny kronikarz tego wydarzenia, uczestniczyłem w nim z wielką przyjemnością i nie mniejszym pożytkiem dla ducha, umysłu i ciała. Dowiedziałem się tu wielu ciekawych rzeczy, poznałem mądrych, utalentowanych ludzi i doznałem wielu przyjemności, za co najserdeczniej dziękuję organizatorom i ich współuczestnikom.

Atmosfera tych dni pozwoliła mi wrócić w lata szczęśliwego dzieciństwa.

Na pewno powrócę tu za rok.

Wiesław Krzywicki (ur. w 1937-) w Grodnie. Inżynier, organizator czaplineckiego przemysłu. Społecznik, żeglarz, fotografik, członek redakcji „Zeszytów Siemczyńsko-Henrykowskich”, działacz Stowarzyszenia Przyjaciół Czaplinka i Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Honorowy członek Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie.



Wiesław Krzywicki

*Że nic nad zdrowie
Ani lepszego,
Ani droższego.*
Jan Kochanowski

Konferencja w Siemczynie: W trosce o nasze dzieci

W dniu 13 września 2014 r. odbyła się w Zespole Pałacowo-Hotelowym w Siemczynie II Konferencja Naukowo-Metodyczna pt.:

W TROSCE O NASZE DZIECI. Odzyskanie uśpionego kapitału w regionach popegeerowskich poprzez zapewnienie optymalnego rozwoju dzieci w długofalowej perspektywie.

Organizatorami konferencji było Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie oraz Gmina Czaplinek, zaś honorowy patronat sprawował Urząd Marszałkowski Województwa Zachodniopomorskiego. Przewodniczącym konferencji był wybitny polski antropolog, prof. dr hab. Andrzej Malinowski (UAM), a sekretarzem dr Stanisław Nowak (UTH Radom).

Otwarcia konferencji dokonali: Zdzisław Andziak, prezes Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie, Grażyna Anna Sztark, senator RP oraz Adam Kośmider, burmistrz Czaplinka.

W konferencji uczestniczyło ponad 150 osób, w tym liczni pedagodzy i działacze samorządowi z powiatu drawskiego. Niestety, zabrakło na niej przedstawicieli władz powiatowych.

Pierwsze dwa referaty: *Stan rozwoju dzieci i młodzieży w Polsce w perspektywie historycznej* oraz *Rozwój dzieci wiejskich z gospodarstw*



Widok ogólny sali konferencyjnej

małotowarowych przedstawił nestor polskiej antropologii, prof. Andrzej Malinowski. Referaty były bardzo interesujące, a przy tym wygłoszone piękną polszczyzną i, co jest dzisiaj już rzadkością – bez mikrofonu.

Kolejne dwa referaty wygłosił prof. dr hab. Andrzej Jopkiewicz z Uniwersytetu im. Jana Kochanowskiego w Kielcach: *Zróżnicowanie rozwoju fizycznego i psychomotorycznego dzieci rozpoczynających naukę szkolną oraz Aktywność fizyczna czy (meta) fizyczna?*

Następny referat dr. Stanisława Nowaka *Diagnoza składu ciała ważnym ogniwem w tworzeniu programów treningu zdrowotnego dzieci czaplineckich w wieku 6-9 lat* odnosił się do wyników badań, które prowadzono z zastosowaniem supernowoczesnej aparatury do badań składu ciała.

Dr Renata Orawiec (UTH Radom) w referacie: *Postawa ciała dzieci czaplineckich w wieku 6-9 lat*, przedstawiła wyniki przeprowadzonych badań w Czaplinku w latach 2013-2014. Niestety, wyniki nie są lepsze niż w wielkich miastach, mimo że żyjemy w środowisku jeszcze nieskażonym.

Dr Stanisław Tuzinek w referacie: *Profilaktyka i leczenie wad postawy ciała w świetle współpracy ze szkołą i rodzicami*, podał praktyczne wskazania dla nauczycieli i rodziców, ilustrowane slajdami z ćwiczeń.

Jako ostatni wystąpił mgr Jan Grochocki z Kołobrzegu. W zastępstwie nieobecnego Rudolfa Krautschneidera, zapoznał uczestników konferencji z sylwetką znanego czeskiego żeglarza oraz jego *doświadczeniami z rejsów morskich z dziećmi z domów dziecka i poprawczaków*. R. Krautschneider znany żeglarz, podróżnik, budowniczy jachtów, pisarz, ilustrator, filmowiec oraz działacz społeczny na rzecz dzieci, nie mógł przybyć na konferencję ponieważ przebywał w Lizbonie, gdzie kończył przygotowania do rejsu świerkową tratwą przez Atlantyk.



Prelegenci. Od lewej: prof. A. Malinowski, dr S. Nowak, prof. A. Jopkiewicz, dr R. Orawiec, dr S. Tuzinek

W drugiej części wystąpienia J. Grochocki podzielił się swoimi doświadczeniami w zakresie żeglarstwa śródlądowego z dziećmi niepełnosprawnymi i korekcją wad postawy przez zabawę. Wykład zilustrowany filmem wykazał, iż nawet wobec skromnych środków, można zorganizować ćwiczenia fizyczne przez zabawę, efektywne w korekcji wad postawy. Wzbudził on duże zainteresowanie uczestników konferencji.

Zamknięcia konferencji dokonał Zdzisław Andziak, prezes Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie. Zapewnił uczestników, iż będą czynione usilne starania o wydanie w tym roku specjalnego tomu Zeszytów Siemczyńsko-Henrykowskich, poświęconemu temu ważnemu wydarzeniu.

Tu muszę dodać kilka przykrych uwag odnośnie zainteresowania rodziców, nauczycieli, a także administracji samorządowej tymi, jakże ważnymi, sprawami.

Badania jakości postawy czaplineckich dzieci prowadzone są przez naukowców z Radomia i Kielc od sześciu lat. Ich wyniki okazały się zatrważające, chociaż nie odbiegają od analogicznych wyników badań w ośrodkach wielkomiejskich. Otóż u naszych dzieci:

- tylko 6 % nie ma żadnych wad postawy,
- u 47 % występują wady znaczne,
- tylko u 47% występują wady nieznaczne.

Okazuje się też, że dzieci w wieku przedszkolnym mają znacznie mniej wad postawy niż dzieci w wieku szkolnym. A więc w trakcie wzrostu dziecka pogarsza się jego zdrowie. Ktoś może zapytać, czemu mówię o zdrowiu, czy to jest takie istotne, że postawa dziecka jest wadliwa? Przecież nie jest garbate, nie utyka, nie jest przygłuche czy niedowidzące, nie kuleje itd. Dopiero wśród osób starszych dostrzegamy utykających, skarżących się na bóle kręgosłupa i stawów zwłaszcza biodrowych, chroniczne bóle głowy, niewydolność układu krążenia i oddechowego, żylaki itd.

Niewielu z nas kojarzy niewinne, wydawałoby się, wady postawy z tymi dolegliwościami i chorobami. Tak naprawdę niewielu rządzących interesuje

się rozwiązaniem problemu. Świadczy o tym nieobecność przedstawicieli władz powiatu na konferencji. oraz należy dodać, że po zakończeniu tego-rocznych badań nie doszło do skutku spotkanie z rodzicami w Czaplinku.

Bierze się to zarówno z niewiedzy, ale też z nieuświadamiania sobie, jak wielkie zmiany zaszły, z pokolenia na pokolenie, w sposobie życia, zachowaniach i zwyczajach. Porównując warunki życia starszych pokoleń z warunkami dzieci i młodzieży urodzonymi po roku 1990, należy stwierdzić, iż dokonał się postęp w tej dziedzinie. Zatem można mieć nadzieję, że młodzież w pierwszej dekadzie XXI stulecia będzie zdrowa. Bo przecież młodzi ludzie wiele godzin spędzają w basenie, ćwiczą w nowej hali sportowej, w szkole jest więcej nauczycieli wychowania fizycznego, odżywiają się treściwiej, są leczone antybiotykami. Jednak człowiek jest dzieckiem natury i zapominając o tym, płaci dyskomfortem, cierpieniem.

W okresie niemowlęcym, dziecięcym i młodzieżowym kształtuje się konstrukcja fizyczna człowieka. Pierwotni ludzie i zwierzęta, nie poddawani procesom cywilizacyjnym, osiągalni optymalny rozwój fizyczny. Bodźce płynące z naturalnego środowiska, naturalne odruchy fizjologiczne były wystarczające dla tego rozwoju. Bardzo interesująco mówił o tym prof. A. Malinowski.

Naukowcy alarmują: najwyższy czas zmienić niezdrowe nawyki! Za kilkanaście lat dzisiejsza młodzież będzie dużo bardziej schorowana, niż dziś są jej rodzice, o ile nie nastąpią fundamentalne przemiany obecnych stylów życia - przekonuje jeden z najwybitniejszych brytyjskich ekspertów do spraw zdrowia, prof. John Ashton. *Obecne pokolenie dzieci może być pierwszym od długiego czasu, u którego przeciętna długość życia będzie krótsza niż ich rodziców* - ostrzega Margaret Chan z WHO.

Obecnie w Polsce kobiety żyją średnio do 79. roku życia, mężczyźni o 7 lat krócej. Jeśli nic nie zrobimy z trybem życia najmłodszego pokolenia i nie zadbamy o kształtowanie zdrowych nawyków – dziewczynki, które obecnie mają ok. 12 lat – dożyją ok. 74 lat, a ich koledzy ze szkolnej ławy – ok. 69.

Przypomnijmy sobie, czym zajmowało się dawniej dziecko. Było wiele atrakcji ruchowych: gra w klasy, palanta, dwa ognie, berka, kąpiele w jeziorze, indiańskie podchody i co tam jeszcze dzieci potrafiły wymyślić. Nie siedziały godzinami przy komputerze czy przed telewizorem, zajęcia z WF-u odbywały się najczęściej na świeżym powietrzu; nie jadły chipsów i innych „pożywnych” przysmaków, nie były faszzerowane antybiotykami z powodu byle przeziębienia.

Czy to było zdrowsze życie? Z pewnością! Ktoś powie, że wszystko to już było... Nie pamiętając o tym, wracamy do starych nawyków. To wiatr, słońce, woda, piasek i murawa, zabawy, sporty w plenerze i turystyka połączona z wysiłkiem fizycznym dostarczają bodźców dla harmonijnego rozwoju ciała (i nie tylko ciała).

Po te właśnie naturalne doświadczenia sięgnął Jan Grochocki, uzyskując świetne wyniki korekcji wadliwych postaw dzieci. Kiedyś Jurek Hojdys, znany czaplinecki lekarz, po przebadaniu dzieci rehabilitowanych przez siebie, zauważył żartobliwie, że straci dofinansowanie, bo pozbyły się one wad postawy.

Dawniej powszechnym schorzeniem dzieci była krzywica. Wiele lat upłynęło, zanim przyswojono sobie prostą prawdę, że najlepszym lekarstwem na nią jest słońce. Pod koniec XIX w. ks. Sebastian Kneipp leczył chorych przez polewanie ciała zimną wodą, chodzenie boso po mokrej trawie lub brodzenie w wodzie; zalecał ruch na świeżym powietrzu.

Ale co tam ksiądz Kneipp. To przecież w starożytnym Rzymie głoszone maksymę: *SANUS PER AQUAM*, co znaczy: *ZDROWIE DZIĘKI WODZIE*. Prawdę tę ponownie odkrywa się obecnie, a maksyma staje się modna. Na stronach internetowych można znaleźć adresy 1.500.000 firm reklamujących się literami SPA, które są skrótem tytułowej łacińskiej maksymy.

A może i my w Czaplinku odkryjemy na nowo tą starożytną prawdę, że nasze dzieci mogą być zdrowsze dzięki uprawianiu sportów i turystyki wodnej. Kąpieli w basenie nie da się porównać z kąpielą w jeziorze. Pod stopami beton, a nie piasek, woda chlorowana i podgrzana, a nie krystalicznie czysta i chłodna, hartująca ciało. Nie można poszaleć jak nad jeziorem, ciała nie grzeje słońce, a wzrok nie odpoczywa w kontakcie z otaczającym pięknem. A jezioro to także sporty i turystyka wodna, które nie tylko rozwijają ciało, lecz są także szkołą charakterów. Podobnie ma się sprawa z zajęciami sportowymi w hali. Nie zastąpią sportów i turystyki uprawianej na łonie przyrody. I to wszystko mamy pod bokiem, nie trzeba jechać kilkadziesiąt kilometrów do Szczecinka. Wystarczy zmienić nawyki.

Należą się słowa uznania dla burmistrza Czaplinka za systematyczne organizowanie badania dzieci ze szkół i przedszkoli oraz dla Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie, które nie szczędząc trudu i wysiłku, już po raz drugi zorganizowało konferencję naukowo-metodyczną pod znamienym hasłem *W TROSCE O NASZE DZIECI*.



Grzegorz Andziak

*Połączenie sił to początek,
pozostanie razem to postęp,
wspólna praca to sukces.*

Henry Ford

Projekty Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie zrealizowane przy pałacu

Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie realizując cele statutowe podejmuje wiele zadań o różnorodnym charakterze. Są to zadania polegające zarówno na realizacji projektów tzw. miękkich (m.in. organizacja wystaw czasowych, koncerty, przedstawienia teatralne, festyny), jak i zadania polegające na realizacji projektów tzw. twardych (inwestycyjnych) czyli takich, których efektem jest powstanie określonej infrastruktury, opracowanie konkretnego dokumentu lub dokonanie zakupu majątku trwałego służącego celom statutowym.

Kapitał na realizację tych zadań Stowarzyszenie czerpie z wielu źródeł i w wielu formach. Jedną z form kapitału wnoszonego do poszczególnych projektów jest wkład rzeczowy w formie np. pracy wolontariuszy (członków OSP, mieszkańców wsi, członków stowarzyszenia itp.), użyczenia sprzętu scenicznego czy namiotów lub ławek przez organy samorządowe, czy chociażby nieodpłatne występy zespołów śpiewaczych. Inną formą kapitału, niezbędną do realizacji poszczególnych zadań są środki pieniężne. Stowarzyszenie czerpie je z różnych źródeł m.in. ze składek członkowskich, darowizn, zbiorów publicznych, ale także od sponsorów oraz z różnego rodzaju programów dotacyjnych, zarówno krajowych jak i wspólnotowych (tzw. unijnych).

Wobec publicznego charakteru środków pochodzących z dotacji, Stowarzyszenie pragnie poniżej przekazać podstawowe informacje dotyczące poszczególnych zadań ze wskazaniem źródła dotacji oraz jej wysokości i udziału procentowego w ogólnych kosztach przedsięwzięcia.

Zadania zrealizowane:

„*Garncarstwo sposobem na aktywizację społeczności lokalnej poprzez zakup pieca do wypalania ceramiki i organizację warsztatów rzemieślniczych.* Celem zadania było zwiększenie rozpoznawalności regionu poprzez stworzenie podstaw marki *Pojezierze Drawskie*, wykorzystanie dziedzictwa przyrodniczego i kulturowego na rzecz rozwoju lokalnego i wprowadzenie do świadomości społecznej oraz obiegu rynkowego produktów lokalnych, regionalnych i tradycyjnych.¹



Organizacja imprezy pt. Świniobicie jako tradycyjne spotkanie przy biesiadnym stole. Celem zadania było zachowanie specyfiki obszarów wiejskich i ich promocja poprzez kultywowanie wiejskich tradycji, obrzędów i zwyczajów.²

Wykonanie inwentaryzacji konserwatorskiej ogólnobudowlanej,

1 Projekt został zrealizowany dzięki dotacji w kwocie 22 555,00 zł (ok. 65 % kosztów całkowitych) ze środków Unii Europejskiej w ramach działania „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju” – mały projekt Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013.

2 Projekt został zrealizowany dzięki dotacji w kwocie 23 205,00 zł (70% kosztów całkowitych) ze środków Unii Europejskiej w ramach działania „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju” – mały projekt Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013.



zabytkowego pałacu zlokalizowanego na dz. 202/1 w miejscowości Siemczyno gm. Czaplinek wpisanego do rejestru zabytków pod nr 249 dn. 19 marca 1960 r.”³



Wykonanie projektu budowlanego branży architektoniczno – konstrukcyjnej wraz z projektem zagospodarowania terenu dla zabytkowego pałacu barokowego zlokalizowanego na dz. nr 202/1 w miejscowości Siemczyno, gm. Czaplinek, wpisanego do rejestru zabytków pod nr 249 dn. 19 marca 1960 r.”⁴

3 Projekt został zrealizowany dzięki dotacji ze środków finansowym Województwa Zachodniopomorskiego w kwocie 30 024,00 zł (50% kosztów całkowitych zadania) w ramach dotacji na prace konserwatorskie, restauratorskie lub roboty budowlane przy zabytku wpisanym do rejestru zabytków uzyskanej w 2012 r.

4 Projekt został zrealizowany dzięki dotacji ze środków finansowym Województwa Zachodniopomorskiego w kwocie 30 000,00 zł (ok. 32% kosztów całkowitych zadania)



Organizacja konferencji pt. „Europejskie Słoneczne Dni w Siemczynie.”⁵



Organizacja konferencji pt. „II Europejskie Słoneczne Dni w Siemczynie - Słońce dla każdego, czyli mikroinstalacje OZE jako podstawa rozwoju energetyki prosumenckiej w Polsce oraz organizacja konkursu plastycznego pn. Solarowe słoneczko.”⁶

Organizacja konferencji pt. „III Europejskie Słoneczne Dni w Siemczynie: słońce-biomasa-energia oraz powiatowego konkursu plastycznego pod hasłem „Europejskie Słoneczne Dni 2015.”⁷

w ramach dotacji na prace konserwatorskie, restauratorskie lub roboty budowlane przy zabytku wpisanym do rejestru zabytków uzyskanej w 2013 r.

5 Projekt został zrealizowany dzięki dotacji ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Szczecinie w kwocie 7 872,00 zł (ok. 60% kosztów całkowitych) w ramach dotacji na edukację ekologiczną w 2012 r.

6 Projekt został zrealizowany dzięki dotacji ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Szczecinie w kwocie 9150,11 zł (ok. 50% kosztów całkowitych) w ramach dotacji na edukację ekologiczną w 2013 r.

7 Projekt został zrealizowany dzięki dotacji ze środków Wojewódzkiego Funduszu



Zabezpieczenie substancji zabytku poprzez wykonanie opaski drenażowej i remont kanalizacji deszczowej barokowego Pałacu w Siemczynie z 1726 r. oraz wykonanie ścianki szczelnej pomiędzy



budynkiem przedmiotowego pałacu a stawami będącymi częścią zabytkowego założenia parkowego. Projekt został zrealizowany dzięki dotacji ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Szczecinie w kwocie 10 665,65 zł (ok. 46 % kosztów całkowitych) w ramach dotacji na edukację ekologiczną w 2014 r.

w kwocie 250 000,00 zł (ok. 83% kosztów całkowitych) w zakresie Priorytetu 1. Ochrona zabytków w ramach Programu Dziedzictwo kulturowe w 2014 r.⁸

Zadania w realizacji:

Remont stawów będących częścią zabytkowego parku pałacowego w Siemczynie koło Czaplinka.⁹



Wykonanie projektu budowlanego instalacji elektrycznej dla zabytkowego pałacu barokowego zlokalizowanego na dz. nr 202/1 w miejscowości Siemczyno, gm. Czaplinek, wpisanego do rejestru zabytków pod nr 249 dn. 19 marca 1960 r.¹⁰

To tylko niektóre zadania realizowane przez Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie. Nie na wszystkie udaje się pozyskać dofinansowanie. Jednak pomimo trudności, nadal będziemy realizować

8 Projekt został zrealizowany dzięki dotacji ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Szczecinie w kwocie 10 665,65 zł (ok. 46 % kosztów całkowitych) w ramach dotacji na edukację ekologiczną w 2014 r.

9 Projekt realizowany jest dzięki dotacji w kwocie 173 848,63 zł (ok. 73% planowanych kosztów całkowitych) ze środków finansowych Europejskiego Funduszu Rybackiego zapewniającego inwestycje w zrównoważone rybołówstwo, w ramach Środka 4.1 Rozwój obszarów zależnych od rybactwa z wyłączeniem realizacji operacji polegających na funkcjonowaniu lokalnej grupy rybackiej (LGR) oraz nabywaniu umiejętności i aktywizacji lokalnych społeczności, objętego osią priorytetową 4 Zrównoważony rozwój obszarów zależnych od rybactwa

10 Projekt jest realizowany dzięki dotacji ze środków finansowych Województwa Zachodniopomorskiego w kwocie 30 000,00 zł (ok. 37% kosztów całkowitych zadania) w ramach dotacji na prace konserwatorskie, restauratorskie lub roboty budowlane przy zabytku wpisanym do rejestru zabytków uzyskanej w roku 2014.

swoją misję, która w dużej mierze ma na celu rewitalizację, znajdującego się pod naszą opieką, Pałacu w Siemczynie, zgodnie z powiedzeniem Normana Vincenta Peale, amerykańskiego kaznodziei i pastora: *Puste kieszenie nigdy nie powstrzymały nikogo przed podjęciem działania. Mogą to zrobić tylko puste głowy i puste serca.*

Grzegorz Andziak (ur. 1981) w Kołobrzegu; 2005 uzyskał tytuł magistra inżyniera rybactwa morskiego na wydziale Technologii Żywności i Rybactwa Akademii Rolniczej w Szczecinie; 2005-2011 pracował w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa w Warszawie. Najpierw w Mazowieckim Oddziale Regionalnym zajmował się weryfikacją wniosków o dofinansowanie i płatności w Programie Operacyjnym Rybactwo i Przetwórstwo Ryb 2004–2006. Następnie w latach 2007–2011 pracował w Centrali Agencji Restrukturyzacji i Mechanizacji Rolnictwa w Departamencie Rybactwa. Od 2011 pracuje w firmie rodzinnej i wspiera działania Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie poprzez przygotowywanie aplikacji o dofinansowanie przedsięwzięć Stowarzyszenia.

Pasjonat wędkarstwa i miłośnik regionu Zachodniopomorskiego, który uważa za najpiękniejszy w kraju.



Magdalena Bekier

Codzienna toaleta i higiena osobista w wieku XVIII (a raczej jej brak)

Wiek osiemnasty to czas niezwykle, pełen elegancji, pięknych strojów. Królująca epoka rokoka lansowała styl życia wykwintnego, pełnego przepychu. Idealem kobiecej urody była jakże modna w owym czasie figurka ze śnieżnobiałej porcelany. Kobieta eteryczna, krucha, z cerą nieskazitelnie delikatną, białą, prawie przezroczystą. Naprzeciw wymaganiom i potrzebom ówczesnego bogatego świata przyszedł kosmetyka i moda.



Jean-François de Troy, *Dama podczas toalety* (1734)

Niestety, to, co wydawać by się mogło najważniejsze, czyli higiena, która najlepiej pozwala zachować świeży i zdrowy wygląd, została zmarginalizowana, niemal wręcz w ogóle nie była stosowana. W owym czasie skupiano się raczej na ukrywaniu i tuszowaniu skutków braku dbałości o czystość, niż na przyczynach ich powstawania. Można wskazać, że za brak higieny osobistej w wieku osiemnastym odpowiedzialni byli ówcześni medycy. Oni to rozpowszechniali teorię, jakoby

woda szkodziła zdrowiu. Medycy nie tylko nie zalecali kąpieli, ale nawet przed nią przestrzegali. Ich zdaniem, brud doskonale zamyka pory w skórze, chroniąc tym samym organizm przed morowym powietrzem. Wobec powyższego lansowali pogląd, że był to najlepszy sposób na zachowanie zdrowia. Dlatego też mycie ciała wodą stosowały jedynie niższe warstwy społeczne.

W roku 1736 Jean Baptiste da la Salle napisał podręcznik ze wskazówkami, jak należy dbać o higienę osobistą. Epokowym odkryciem było stwierdzenie, iż należy pielęgnować jamę ustną poprzez szczotkowanie zębów. Wskazany zabieg pielęgnacyjny, podany w owym podręczniku, jest obcinanie paznokci w odstępie ośmiu dni, w celu utrzymania estetycznego wyglądu. Niestety, na tych odkryciach kończą się przełomowe myśli autora. On sam bowiem przestrzega przed myciem w wodzie, zalecając oczyszczać włosy przy użyciu pudru i otrębów.



Dama podczas układania wymyślnej fryzury
(1776)

Najczęściej włosy naturalne zakrywano perukami, które były mocno perfumowane i pudrowane. Zaś do pudrowania stosowano mąkę. Znany jest incydent z 1715 r. we Francji, kiedy to wybuchły zamieszki spowodowane brakiem żywności, w tym mąki do wypieku chleba. Całe zapasy zostały przeznaczone na pudrowanie coraz to bardziej monstrualnych peruk. Stosowano też specjalne matujące, kolorowe (od czerwieni po błękit) pudry, bądź pudry naturalne (białe, szare). Pudry same w sobie nie służyły do barwienia włosów, tylko do nadawania im półtonu kolorystycznego.

Brak higieny to nie tylko nieprzyjemny zapach potu, to również wylęgarnia pasożytów. Zarówno najbardziej wytworne damy, jak i panowie byli zawszeni. I znów, zamiast walczyć z plagą wszawicy, wymyślano coraz to ciekawsze gadzety, jak na przykład drapaczki, młoteczki czy kowadełka. Co bardziej wytworni i zamożni owe precjoza zamawiali ze złota, bądź też ze srebra złotem powlekanego. Ciekawostką były pułapki na wszy, mocowane w perukach, zwykle wypełnione krwią.

Higiena zatem polegała głównie na zmianie koszul, w przypadku dam – halk. Twierdzono bowiem, że płótno doskonale oczyszcza

skórę i pochłania pot. Według standardów osiemnastowiecznych, za czystą uważano osobę, która kilkakrotnie w ciągu dnia zmieniała bieliznę.

W połowie stulecia wprowadzono zwyczaj mycia dłoni i twarzy. Zaczęto regularnie myć ręce. Stało się to bowiem elementem kodeksu cywilnego. Podanie miednicy z wodą do umycia dłoni oznaczało gest przyjacielski i uprzejmy. Cóż, kiedy w drugiej połowie XVIII w. nadal unikano kąpieli. Lubowano się natomiast w pięknych zapachach. Dla odświeżenia nieprzyjemnego

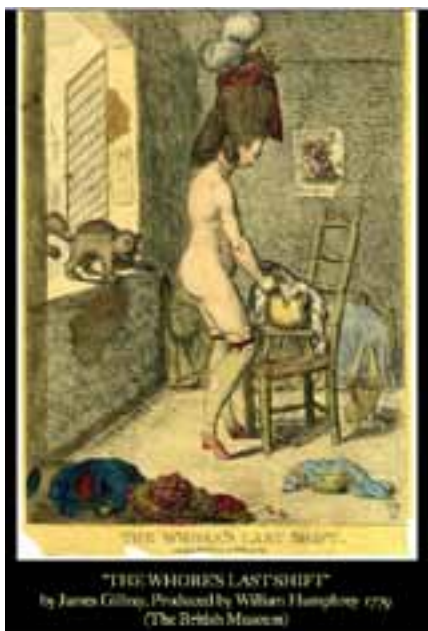
oddechu płukano jamę ustną wodą cynamonową. W celu zniwelowania przykrego zapachu potu, pod pachami i na biodrach, noszono saszetki zapachowe. Używano również perfum i wód zapachowych. W tym czasie w Niemczech pojawiła się słynna do dziś *Eau de Cologne*; nazwa pochodzi od Kolonii, miasta, w którym została wyprodukowana.

Panie, chcące dbać o piękny wygląd, stosowały maseczki upiększające. Były to papki z mlecznej pasty chlebowej i żelatyny. Do wybarwiania piegów używano srebra rozpuszczonego w winie, a zmarszczki likwidowano ziołami.

Wytwarzaniem kosmetyków w XVIII wieku zajmowali się farmaceuci. Dlatego też w aptekach można było nabyć owe specyfiki. Dla bogatszych odbiorców były robione na specjalne zamówienia. Natomiast mniej zamożni kupowali je od wędrownych kupców.



James Gillray, *Ubieranie damy* (1779)



Warto dodać, że składniki dodawane do każdego mazidla były utrzymywane w ścisłej tajemnicy.

Farmaceutyka kosmetyczna była niezwykle intratnym zajęciem. Niestety, chemia jako nauka dopiero raczkowała i bardzo często dodawano do kosmetyków związki toksyczne. Pojawiały się również w obiegu księgi z zapisanymi recepturami takich kosmetyków. Szczęśliwa posiadaczka tajemnej wiedzy, zapisanej na ich stronicach, mogła sama, w zaciszu własnego domu, przygotować sobie na własny użytek potrzebne specyfiki.



Dama podczas ubierania

Nasuwa się pytanie: do czego i w jaki sposób były używane te mazidla. Otóż w osiemnastym stuleciu synonimem piękna i oznaką zdrowia była nieskazitelna, jasna cera. Przy braku odpowiedniej higieny skóra bardzo szybko niszczała, pozostawiając wiele do życzenia. Wspomagano się więc, nanosząc na twarz grubą warstwę bielidla.

Była to gęsta pasta, najczęściej mieszanina talku, tłuszczu (zazwyczaj pachnące olejki) i pigmentu (stosowano

biel bizmutową, biel ołowianą czy tlenki rtęci). Nałożone bielidło utrwalano pudrem (drobno zmielona mąka zbożowa, ryżowa lub talk). Na to kładziono warstwę pudru perłowego lub bizmutowego, który dodawał blasku.

Niedoskonałości cery, takie jak wykwity skórne spowodowane brakiem dbałości o czystość, bądź ślady po ukąszeniu owadów, których nie dało się ukryć pod całą warstwą makijażu, zaklejało muszkami.

Drugą funkcją, jaką spełniały owe pieprzyki, było ukrycie ich znaczenie. Umieszczenie go w okolicy ust oznaczało, że jego posiadaczka ma skłonności do flirtowania. Pieprzyk na lewym policzku oznaczał kobietę w związku, natomiast w kącie oka był sygnałem, że pani jest osobą tętniącą życiem.

Oprócz nieskazitelnego wyglądu cery ważna była też jej świeżość. Tę pozwalał uzyskać róż na policzkach. Był on nakładany bardzo obficie. Odcienie różu były bardzo intensywne: od czerwieni, poprzez róże

aż do fioletów. Konsystencja tego kosmetyku mogła być płynna bądź sypka. Występował też w postaci krepowych płatków, nasączonych tym specyfikiem. Pigmenty dodawane do tego kosmetyku miały najczęściej pochodzenie naturalne (koszenila, czyli rozkruszone owady gatunku zwanego czerwiec kaktusowy, farbownik polny, szafran barwierski, krokosz, drzewo sandałowe). Bywało jednak, że uzyskiwano je z toksycznych substancji chemicznych (cynober, chlorek cyny).

Usta malowano często tym samym różem, barwiczką bądź szminką o podobnym, nieco tylko bardziej nawilżającym, składzie. Od gustu damy zależał kolor. A tych było niemało, od intensywnego, mocno kryjącego czy delikatnego do pół transparentnego.

Na zakończenie makijażu panie malowały na skroniach niebieskie żyłki. Służyła do tego specjalna farbka, zwana błękitnidłem. Wszystko po to, aby cera sprawiała wrażenie porcelanowej i przejrzystej.

Brwi przyciemniano spalonymi migdałami lub korkiem. Oczu praktycznie nie malowano. Pierwsze tusze były mieszaniną olejków i sady. Dość szybko spływały do oczu i rozmazywały się. Dlatego też zrezygnowano z ich używania. Dla dodania oczom blasku, zakraplano je wyciągiem z belladonny, zawierającym atropinę. Efektem tego zabiegu były rozszerzone źrenice i piękne oczy, choć były bardzo wrażliwe na światło słoneczne. Spacer w pełnym słońcu mógł zakończyć się poparzeniem wnętrza oka, a nawet utratą wzroku.

Nie tylko damy stosowały makijaż. Panowie również ulegali modzie w tym względzie, choć nie zawsze w całości, wybierano czasami niektóre jego elementy.

Nie tylko toksyczne związki rtęci i ołowiu, zawarte w kosmetykach, szkodziły ówczesnym kobietom. Równie szkodliwe dla



Jean-François Gamaray (1755-1837), *Toileta intymna*



William Hogarth, *Ubierająca się panna*

zdrowia i urody było niezmywanie makijażu na noc, a rano nakładanie kolejnej, takiej samej warstwy.

Tak postępując modnisa po pewnym czasie na twarzy posiadała sporej grubości maskę, którą usuwała specjalnie do tego przystosowanym nożykiem. Ukazująca się spod tej warstwy cera była szara i zniszczona.



Toaleta. Obraz z pracowni Nicolasa Lancreta (1690-1743)

Zmierzch stulecia przyniósł ze sobą zmianę myślenia o higienie i o samej kąpieli. Niewątpliwie bardzo pomocnymi okazały się pojawiające się w Anglii wynalazki związane z oczyszczaniem ciała i fizjologicznymi potrzebami człowieka. Były to szczoteczki do zębów, water closet (współczesne WC) czy wanna. Z czasem w domach pojawiały się dodatkowe odosobnione pomieszczenia, w których dbano o higienę ciała. Ogromnym osiągnięciem pozwalającym osobom starszym utrzymać atrakcyjny wygląd i ułatwić gryzienie, było w 1776 roku opracowanie technologii produkcji porcelanowych zębów.

Magdalena Bekier ur. w Dębnie. Absolwentka Liceum Ogólnokształcące w Chojnie o profilu biologiczno-chemicznym. Ukończyła także Szkołę Wizażu w Warszawie. Od roku 2001 prowadzi w Dębnie (woj. zachodniopomorskie) pracownię krawiecką rekonstrukcji strojów historycznych. Jest także właścicielką wypożyczalni strojów teatralnych i karnawałowych, które sama projektuje i szyje. Z zamiłowania jest rekonstruktorką okresu wojny siedmioletniej. Należy do europejskiego stowarzyszenia Der Deizpitz. Od roku 2012 ściśle współpracuje przy organizacji Dni Henrykowskich w Siemczynie. Zakochana w siemczyńskim pałacu od pierwszego wejścia.



Janina Kochanowska

Skarby Pomorza Zachodniego – witraże herbowe i figuralne z XVI–XVII w.

Dzieje technik witrażowych

Witraż kojarzy się przede wszystkim ze szkleniem wielkich okien gotyckich katedr, w których średniowieczny mistrz – vitreator tworzył kompozycję z barwnych szkła, wprawionych w ołów. Warto jednak przypomnieć, że barwnego szkła używano w architekturze do wypełniania otworów okiennych już w starożytnym Egipcie i na obszarze Azji Mniejszej. Na tych terenach, wśród znalezisk archeologicznych, często spotykane są odłamki barwnego szkła, datowane nawet już na 2 tysiąclecie p.n.e. Barwne szkła okienne znane są z bliższych naszym czasom Pompeiom i Herkulanum. Taki sposób szklenia przejęły następnie kościoły starochrześcijańskie w Syrii, znany były też w Bizancjum – fragmenty szkła okiennych znaleziono w słynnych świątyniach Hagia Sophia czy San Vitale w Rawennie. Początkowo były to jedynie barwne szybki, tworzące rodzaj prostej mozaiki. Dopiero w „Kronice” biskupa Adalbera z Reims, spisanej w 955 r., znaleźć można wzmiankę o oknach kościoła w Saint Remi, w których „zobaczyć można różne historie”. Tak więc w X w. znany był już witraż figuralny, ale do naszych czasów nie przetrwała w niezmienionej formie ani jedna kompozycja z tego okresu. Najstarsze, dobrze zachowane witraże z postaciami świętych, pochodzą z XII w., a obejrzeć je można w oknach katedry w Mans i Augsburgu.

Technika, jaką stosowano przy szkleniu okien, nie od razu sięgnęła po ołów do oprawy płytek szklanych. W sztuce starochrześcijańskiej jako oprawę stosowano płyty marmurowe, alabastrowe lub drewniane,

w których do wyciętych otworów wstawiano szkło. Znane były też obramienia z brązu, a w kulturze Islamu – ze stiuku (przy czym tu używano jedynie szkła bezbarwnego). Oprawy z tzw. szyny ołowianej zastosowano dopiero w epoce karolińskiej. Badacze dziejów witraży wywodzą to rozwiązanie z techniki emalii komórkowej, w której to właśnie zastosowano zestawienie kompozycyjne: barwną plamę zastygłej emalii, ujętą wyraźnym konturem, utworzonym z odpowiednio ukształtowanych, metalowych prętów.

Dzięki słynnemu dwunastowiecznemu traktatowi Mnicha Teofila, będącemu prawdziwą kopalnią wiedzy o technikach, stosowanych przez artystów, w tym vitreatorów, znamy dokładnie sposób wykonywania średniowiecznych witraży. Wykonanie szklenia wymagało nie byle jakich umiejętności. Miękką masę szklaną wydmuchiwano w rodzaj potężnego balonu, przecinano, wałkowano, uzyskując szkło nierówne, z niewielkimi pęcherzykami powietrza. Było ono barwione tlenkami metali na czerwono, niebiesko, fioletowo, żółto i zielono. Potrafiono też już wtedy uzyskiwać rozmaite odcienie poprzez nakładanie i stapianie razem kilku warstw szkła. Długo, bo aż do XV wieku, szyby cięto rozgrzanym do czerwoności żelaznym prętem. Dopiero późne średniowiecze odkryło możliwość cięcia szkła diamentem. W przypadku witraży figuralnych należało odpowiednio przyciąć szkło, tak, by po oprawieniu powstał zarys konkretnej postaci. Aby uzyskać przestrzenność postaci, nadać twarzy rysy – należało te kawałki szkła pomalować. Stosowano do tego celu czarną, graficzną kreskę, która podkreślała kontury, szczegóły stroju i rysy twarzy. Znane było też lawowanie, nadające postaciom przestrzenność. Po wypaleniu tak przygotowane szybki wkładano w ołowiane ramki, które zaciskano i lutowano.

Kompozycje witraży średniowiecznych, często bardzo skomplikowane, wielofiguralne – powstałe w okresie późnoromańskim i we wczesnym gotyku, są zwykle trudno czytelne. Ogromne okna podzielone są bowiem w tym czasie na małe kwatery. W każdej z nich umieszczona jest oddzielna scena. Patrzącym z dołu witraż tak ukształtowany jawi się jako wspaniała, barwna mozaika, ale ze słabo rozpoznawalnymi kształtami postaci. Dopiero późne średniowiecze wprowadza jednolitą kompozycję całego okna. Podzielone są one nadal poprzecznie ze względów konstrukcyjnych, ale potężne postaci świętych, ujęte w obramienia architektoniczne, wypełniają sobą niemal wszystkie kwatery. Do rozpowszechnienia tego sposobu komponowania okna przyczyniły się w szczególności projekty witraży, tworzone przez Albrechta Dürera.

Kres wielkiemu rozkwitowi barwnych witraży położył okres renesansu, kiedy to zmieniła się estetyka kształtowania wnętrza. Preferowane było teraz oświetlenie wnętrza bezbarwnym światłem, pozwalające na rozproszenie mroków we wnętrzach. Ponadto w krajach luterańskich, w których

objawiło się bardzo silne dążenie do odrzucenia w kościołach zbędnego bogactwa, witraż barwny, wypełniający całe okna – symbol niepotrzebnego przepychu – zanika w XVI w. Pozostaje natomiast jeszcze długo, bo do okresu baroku, w tych krajach katolickich, w których tradycja witraży była bardzo silnie utrwalona, jak we Francji czy Flandrii.

Zanikowi wielkich barwnych kompozycji w oknach towarzyszy natomiast w tym okresie intensywny rozwój witraży bezbarwnych. Szklenie takie znane było od dawna, stosowali je np. w swych kościołach cystersi już w okresie wczesnego gotyku. Występowało też w ratuszach i późnogotyckich kamienicach, w których często, z uwagi na bardzo wysoki koszt – stosowano częściowe szklenie okien¹. W okresie renesansu szklenie okien stało się coraz bardziej powszechne. Stosowano dwa rodzaje szybek: okrągłe, z charakterystycznym zgrubieniem w środku – zwane gomółkami (znane od XIV w.) i wieloboczne: romboidalne lub sześcioboczne (najczęściej tzw. „plaster miodu”). Gomółki to typ szklenia charakterystyczny dla Europy Południowej i Środkowej. Pozostałe formy szybek charakterystyczne są dla obszaru Północnej Europy: Niderlandów, Niemiec i Północnej Polski. Do strefy szklenia okien przy pomocy szybek romboidalnych i sześciobocznych należy też Pomorze Zachodnie.

Z czasem nowożytni vitreatorzy zaczęli popisywać się wręcz bardzo skomplikowanymi układami szybek szklanych, tworząc misterne kompozycje założone na okręgu, owalu czy formach wielobocznych, z centralnie umieszczoną szybką – często o formie gwiazdy. Tego typu autentyczne, renesansowe kompozycje są dziś już bardzo rzadkie i przechowywane są zwykle w muzeach. O urodzie takiego szklenia przekonać się można na przykładzie realizacji z przełomu XIX i XX w., kiedy to powszechnie pojawiały się w kościołach witraże neogotyckie i neorenesansowe. Pięknym przykładem tego rodzaju mistrzowskiego szklenia o skomplikowanym układzie są witraże w dolnych oknach naw bocznych kościoła Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Szczecinku, powstałe około 1908 r. Ich wieloboczne szybki centralne zdobione są kompozycjami en grisaille wg. grafik Dürera.

Zanim barok całkowicie zrezygnował z barwnego szklenia okien i wprowadził proste szybki – prostokątne lub kwadratowe (nadal jednak wprawiane w szyny ołowiane), renesans znalazł niejako pośrednie rozwiązanie. Zrezygnowano wprawdzie z wielkich barwnych kompozycji z przedstawieniami o treściach religijnych, ale pojawił się witraż zwany świeckim, traktowany jako element dekorujący okna ratuszy i domów bogatych mieszczan. W krajach luterzańskich spotykamy go także w oknach kościołów (związanych głównie z rezydencjami pańskimi), gdzie przypominał o hojności, ale też o pobożności fundatorów. Witrażyki tworzyły tam najczęściej rodzaj drzewa genealogicznego patrona danego kościoła,

¹ Szkłem wypełniano często tylko górne kwatery otworów okienne, a dolne były zamykane masywnymi okiennicami, otwieranymi tylko wyjątkowo.

ale nie rezygnowano w tych miniaturowych kompozycjach także z treści religijnych, nadając im znaczenie dydaktyczne.

Nowy, renesansowy witraż był też zupełnie inaczej formowany. O niewielkich rozmiarach, wręcz miniaturowy, wykonany jest najczęściej ze szkła bezbarwnego. Bywają też szybki z lekkim zabarwieniem żółtawym lub zielonkawym. Witrażyk najczęściej ma kształt tonda (okręgu) lub rombu, zdobiony jest czarnym lub brunatnym, konturowo traktowanym rysunkiem, często wzbogaconym lawowaniem. W okresie renesansu witraż nie jest więc intensywnie barwiony w masie, a staje się raczej malarstwem na szkło - bezbarwnym lub pastelowo podbarwionym. Taka forma witraża występuje na Pomorzu Zachodnim i we wczesnym baroku – tj. w 2 połowie XVII w.

To malarstwo na szkło mogło rozwijać się intensywnie dzięki rozpowszechnieniu w XVI w. starej weneckiej techniki (znanej tam już w średniowieczu) – przygotowywania farb emaliowych. Można było je otrzymać z łatwo topliwego szkła, barwionego tlenkami metali, po sproszkowaniu go i utarci z olejkami żywicznymi. Po wykonaniu kompozycji tymi farbami na płycie szklanej, wypalano malaturę w piecu. W XVI w. technika ta była już znana w Niemczech (a więc i na Pomorzu Zachodnim), a w kolejnym stuleciu rozprzestrzeniła się w całej Europie. Malowane tą techniką szybki mają barwy stonowane, jakby przygaszone, bardzo różne od soczystych kolorów średniowiecznego witraża. W XVII w. pojawiają się też witraże malowane tylko jednym kolorem, konturowo (*en grisaille*). Bywają prawdziwymi dziełami nowożytnego miniatorstwa. Spotyka się szklenia kwater okiennych, formowane z wielu medalionów, zawierających postacie świętych, herby lub scenki rodzajowe. Całość bywała ujęta szklanym obramieniem, ozdobnie formowanym.

Nowa, prostsza i tańsza technika, dawała możliwość znacznie łatwiejszego niż w średniowieczu wykonywania witraży, nawet w niewielkich warsztatach. Umożliwiła też narodziny witraża tzw. „gabinetowego” – nie związanego z oknem. Specjalizowały się w tym warsztaty szwajcarskie wokół Jeziora Bodeńskiego, ale też i warsztaty niemieckie. Tego typu witrażyki, wykonywane często na zamówienie osób przejezdnych, stają się swego rodzaju *souvenirem*, przewożonym nawet na duże odległości. Zdobią je herby, pejzaże (często morskie - z okrętem), postaci świętych, świeckie scenki rodzajowe itp. Mogły być zawieszane – jak nazwa wskazuje – w gabinecie, ale też można było je zamontować na stałe w oknie. Taki właśnie witrażyk, pierwotnie zapewne gabinetowy, ze świecką sceną, został wtórnie osadzony w oknie pomorskiego kościoła - w Osiekach, gm. Sianów.

Wielkim przełomem w szkleniu okien było wynalezienie zupełnie nowej, łatwiejszej techniki formowania dużych tafli szklanych poprzez odlewanie i walcowanie. Zastosowano ją w 1687 r. we Francji do produkcji lusterek, potrzebnych w ogromnej ilości do dekoracji barokowych

pałaców. Nowa technika bardzo szybko upowszechniła się, jako że pozwalała na produkcję dużych, gładkich tafli szkła, pozbawionych skaz i pęcherzyków powietrza. Szyby z takich tafli wstawione zostały po raz pierwszy do okien Wersalu w 1710 r. W 2 połowie XVIII w. tafle szkła w drewnianych, profilowanych ramach stały się powszechne w całej Europie. Mimo to na prowincji – m.in. na Pomorzu Zachodnim, bardzo długo utrzymała się tradycja szklenia techniką witrażową przy pomocy niewielkich, bezbarwnych szybek, wprawianych w ołów. Tego typu cenne, zabytkowe szklenie można jeszcze spotkać w kilku wiejskich kościołach na tym terenie: w Dołgich, gm. Ostrowice, Kowalkach, gm. Tychowo, Chociminie, gm. Polanów czy Runowie, gm. Węgorzyno.

W okresie romantyzmu, na fali zainteresowania średniowieczem, następuje odrodzenie szklenia witrażowego w I połowie XIX w. Jest to także widoczne na Pomorzu Zachodnim. Podczas prac remontowych w wielu



Strzepowo tondo witrażowe z prorokiem Danielem w jas

kościółach powstały nowe, ostrołukowe okna, szklone romboidalnym szkłem witrażowym. W większości wypadków zachowane w kościołach witraże renesansowe zostały właśnie wtedy osadzone pieczołowicie w nowych oknach lub nawet przeniesione z rozbieranych, starych kościołów do nowo wzniesionych świątyń (np. Strzepowo, gm. Będzino, Karwin, gm. Karlino, Benice, gm. Kamień czy Górzycza, gm. Gryfice).²

Witraż renesansowy na Pomorzu Zachodnim w świetle prowadzonych badań

Już po przeprowadzeniu tylko wstępnych badań można stwierdzić, że Pomorze Zachodnie wydaje się być istnym zagłębiem zabytkowych witraży w skali całego kraju. Przy czym prawdziwym zaskoczeniem jest fakt, że na tym terenie zachowało się in situ około 100 sztuk miniaturowych witraży z XVI – XVII w. Wmontowane już kolejny raz w nowe oszklenie okien, pozostają nadal w kościołach. Podczas, gdy na Śląsku

2 W opracowaniu wykorzystano m.in. następujące publikacje: B. Filarska, *Szkła starożytne*, Warszawa 1952; E. Frodl-Kraft, *Die Glasmalerei. Entwicklung, Technik, Eigenart*, Wien u. Munchen, 1970; J. Frycz, *Oszklenie nowożytnie*, „Szkło i ceramika”, XXIII, 1972, nr.12, s. 374 -379; *Glas, Form und Farbe*, Bonn 1984; H. Hähle, *Mobile Glasbilder*, Lübeck 1989; G. Jasza, *Mittelalterliche Glasmalereien*, Münster 1986; K. Pawłowska, *Sztuka i technika witrażowa, podstawowe wiadomości dla architektów*, Kraków 1992; *Polskie szkło* (rozdział: witraże), Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk, 1974; *Witraże nowożytne w zbiorach polskich*, katalog wystawy, Warszawa, 1976 -1977. Tamże: Z. Krzymuska-Fafis, *Witraże nowożytne w zbiorach Muzeum Narodowego w Szczecinie*, s. 27-29); A. Wyrobisz, *Produkcja i obróbka szkła od XVI w.* W: *Z dziejów techniki w dawnej Polsce*, Warszawa 1992, s. 411-419.

czy w Małopolsce większość tego typu zabytków od dawno znajduje się w zbiorach muzealnych. Zachodniopomorskie witraże zachowały się głównie w niewielkich kościołach, związanych z rezydencjami pańskimi. Większość z nich przedstawia herby patronów kościołów i ich krewnych, opatrzone stosownymi inskrypcjami. Zachowało się też sporo miniaturowych witraży ze scenami ze Starego i Nowego Testamentu, charakterystycznymi dla, dydaktycznych w wymowie, przedstawień w kościołach luterańskich.



Witraż ze sceną kazania pastora

Badania rozpoczęte przez autorkę w 2014 r. na zlecenie Biura Dokumentacji Zabytków w Szczecinie - nad tym niezwykłym, bo bardzo kruchym dziedzictwem, wykazują, że największe zgrupowanie omawianych witraży występuje na terenie dawnego województwa koszalińskiego. Wyjątkowy zespół tak pod względem liczebności, jak i różnorodności przedstawień, stanowią miniaturowe witrażyki w koście-

le w Łęknie gm. Będzino (w 6 oknach zachowały się 23 sztuki).³ Występują tu zarówno herby szlacheckie, jak i gmerki mieszczkańskie czy mniej lub bardziej rozbudowane przedstawienia emblematyczne. Powstały w orbicie dworu księcia Kazimierza XI, tytularnego biskupa kamieńskiego. Przebywając chętnie w pobliskim Kasimirsburgu, w którym miał letnią rezydencję, książę przekształcił kościół w Łęknie na świątynię rezydencjonalną, dla której ufundował okazały ołtarz o formie pentaptyku. Zachowane tu witraże fundowały zaś osoby związane z dworem księcia Kazimierza, m.in. marszałek dworu,



Łęknio. Witraż herbowy marszałka dworu Ottona von Wede

³ R. Scheller, *Familienwappen auf den Fenstern pommerscher Dorfkirchen – dargestellt am Beispiel Bast Kr. Köslin (Łęknio pow. Koszalin)*, "Pommern", 1986, H. 2 s. 19 – 25, H.3, s. 24 – 28, H. 4, s. 33 – 37

urzędnicy, pastor.

Drugi wspaniały zespół miniaturowych witraży, nieco późniejszy, bo z połowy XVII w., tworzy kompozycję wtórnie zamontowaną w oknach kaplicy Domu Biskupiego w Koszalinie. Tym razem są to witrażki figuralne, z postaciami apostołów i świętych, malowane graficznie czarnym konturem. Owalne, szklane medaliony pochodzą z kościoła w Dobiesławiu, gm. Darłowo. Niezwykle wysoki poziom artystyczny tych miniaturowych przedstawień wskazuje, że powstały zapewne w pracowni artysty, wywodzącego się z dworu książęcego, być może z darłowskiej siedziby wdowiej księżnej Elżbiety Holsztyńskiej. W kilku kościołach, związanych niegdyś z rezydencjami szlachty pomorskiej, zachowały się witrażki herbowe o kształcie tonda lub rombu, wmontowane wtórnie w oszklenie z XIX w. Należą do nich witraże w Karścinie, gm. Karlıno czy Unieradzu gm. Siemyśl. W Chocimlinie, gm. Polanów ocalały nie tylko tonda witrażowe,



Karścino witraż herbowy z fundacji Nicolausa Heidebre



Witraż z Tychówka z herbem Achatiusa von Kleista ob

z malowanym barwnie herbem towarzyszą (zachowane luzem) szybki z zielonkawego szkła, tworzące pierwotnie jego dekoracyjne, prostokątne obramienie.

Również na terenie dawnego województwa szczecińskiego znajdujemy zespoły witraży z przełomu XVI i XVII w., choć nie tworzą one już dziś tak dużych kompozycji, jak np. w Łęknie. Wymienić można zespół witraży z Runowa, gm. Węgorzyno – z herbami rodu von



Kościół w Runowie witraże okna północnego

Rohde, wprawione w szklenie o formie sześciobocznych płytek („plaster miodu”). Doskonałość techniczna tych miniaturowych przedstawień każe domyślać się, że nieznany vitreator mógł być związany z jakimś dużym, prężnym ośrodkiem miejskim. Bardzo interesujący jest zespół witraży herbowych w kościele w Koszewku, gm. Stargard. Przypuszczalnie są to najstarsze witraże pomorskie, powstałe jeszcze w okresie późnego gotyku. Jak podaje H. Lemcke w inwentarzu zabytków⁴, zostały one wtórnie osadzone w XVIII w.(?) w nowym oszkleniu okien. W kilku kościołach na

wspomnianym terenie zachowały się pojedyncze witrażyki: np. figuralny, sześcioboczny z 1661 r. z podobizną św. Jerzego w Nowej



Trzbieieszewo. Witraż herbowy Friedricha Jochima von B



Benice. Jedyńy ocalały witraż herbowy rodu von Flemmi

Dąbrowie, gm. Stara Dąbrowa, lub herbowe - w Trzbieieszewie, gm. Kamień i w Benicach, w tej samej gminie. W tym ostatnim kościele, po uderzeniu pioruna, z dużego zespołu witraży herbowych pozostał jeden⁵. Bardzo malarska, pięknie lawowana kompozycja znajduje się w kościele w Górzycy, nad którym patronat miała rada miejska Gryfic. Jest to tondo ze sceną Nawiedzenia św. Elżbiety, fundowane przez

4 H. Lemcke, *Die Bau – und Kunstdenkmäler d. Regierungsbezirks Stettin*, H. VII, Kries Pyritz, Stettin 1906, s. 74.

5 Wg. danych z karty ewidencyjnej WKZ Szczecin – jeszcze w 1962 r. było tu 9 witrażyków herbowych. Uległy zniszczeniu w 1968 r.

żonę burmistrza – Annę, z domu Teske⁶. W tym kościele znajdowało się również drugie tondo – z widokiem Gryfic, z fundacji samego burmistrza Aegidiusa Brockhusena (1601 r.), niestety, zostało zniszczone w okresie powojennym, gdy, podobnie jak w Benicach, w kościół uderzył piorun.

Trwające ciągle jeszcze prace nad katalogiem witraży przyniosą niewątpliwie wiele dalszych, interesujących odkryć, które pozwolą w przyszłości sformułować ogólne spostrzeżenia, dotyczące całego tego cennego dziedzictwa z okresu renesansu i wczesnego baroku.

Stan zachowania witraży renesansowych i potrzeby konserwatorskie

Częściowo przeprowadzone badania nie dały jeszcze pełnego obrazu potrzeb konserwatorskich zachowanego „szklanego dziedzictwa”. Niemniej już nawet na tym etapie badań można sformułować wstępne wnioski konserwatorskie. Stwierdzić można, że większość zachowanych witraży renesansowych znajduje się w małych, wiejskich kościołach, w których występuje niejednokrotnie ogrom potrzeb związanych z koniecznością remontów, w tym często napraw dachu, zagrożonych runięciem dzwonnicy, zawilgoconych ścian, zaatakowanych przez drewnojady sprzętów we wnętrzach. Nic więc dziwnego, że zabytkowe szklenie nie znajduje się w centrum zainteresowania administratorów parafii. Borykając się z problemem pozyskania funduszy na remonty, nie zwracają oni



Gorzycza. Scena Zwiastowania



Chocimino. Tragiczny stan szklenia witrażowego w oknie

dostatecznej uwagi na stan witraży i towarzyszącego im szklenia, w niektórych wypadkach pochodzącego z XVII lub XVIII w. Z zupełnego braku zainteresowania tego rodzaju zabytkami wzięło się rozwiązanie, jakie zastosowano w kościele filialnym w Chocimlinie (parafia Żydowo). W zewnętrznych oknach prezbiterium zachowane są tam malowane

6 F. Baatz, N. Buske, M. Lissok, *Die Dorfkirchen im historischen Kreis Greifenberg*, Schwerin 2006, s. 59.



Pomianowo. Tondo ze sceną Chrztu Chrystusa 1612 r.

słonięte jest, od strony wnętrza kościoła, wstawionymi do wewnętrznych ram okiennych współczesnymi, fakturalnymi szybami, skutecznie zniekształcającymi wizualnie malowane kompozycje herbowe. Pozostające w zewnętrznych oknach zabytkowe szklenie, bez żadnej osłony, jest już częściowo wykruszone lub celowo wybite.

Nie tylko w tym kościele stan witrażowego szklenia budzi spory niepokój. Niebezpiecznie spękane jest np. tondo witrażowe w Unieradzu, gm. Siemysł. W kościele filialnym w Pomianowie, gm. Białogard zachowane są dwa tonda ze scenami: Chrztu Chrystusa i Wniebowstąpienia. Wprawione zostały wtórnie w prymitywne witrażowe szklenie romboidalne z 1 połowy XX w (?), oprawione w metalowe płaskowniki, dziś już silnie odkształcone. Same tonda, ujęte są w wygięte ołowiane szyny. Jedno z tond ze sceną Chrztu Chrystusa z 1612 r. jest pionowo pęknięte, co przy uszkodzonej, ołowianej oprawie zagraża całkowitym wypadnięciem szkła. Drugie z tond jest słabo czytelne, bo w nieznanym czasie zostało oprawione odwrotnie, tak więc patrząc pod światło widzi się negatyw kompozycji.

Na przywrócenie właściwej oprawy w szynę ołowianą czeka na plebanii w Byszynie wymontowane z okna w kościele w Tychówku tondo witrażowe i jego obramienie z zielonkawego szkła. W tym wypadku jest szansa na właściwe wyeksponowanie jedyne go chyba, zachowanego na Pomorzu Zachodnim, renesansowego witraża z autentycznym obramieniem z epoki.



Karwin. Witraż herbowy Jurgena von Blankenbarga

witrażyki herbowe, z przełomu XVI i XVII w., wprawione w romboidalne szklenie witrażowe przypuszczalnie z tego samego czasu. Część tego szklenia jest już wykruszona. W jednym z okien zamiast romboidalnego szklenia występuje nieco późniejsze, barokowe, w postaci prostokątnych płytek szklanych, ręcznie formowanych. To niezwykle cenne i bardzo dziś rzadkie szklenie za-

Obok miejsc, w których witraże są albo niedostrzegane, albo wręcz zagrożone, są też takie, które stanowią pozytywne przykłady w zakresie opieki nad tymi zabytkami. Istnieją parafie, których administratorzy, zdając sobie sprawę z wartości zachowanego dziedzictwa, otaczają witraże opieką, akceptując także i to, że są

one elementem przyciągającym turystów, a kościoły bywają bez przeszkód udostępniane do zwiedzania. Z taką sytuacją spotkać się można np. w Łęknie, Karwinie, Benicach, Runowie. Witraże w tych kościołach są po renowacji, w dobrym stanie. Co prawda, można mieć zastrzeżenia do sposobu przeprowadzonej przed laty konserwacji w Łęknie. Nieznany konserwator wprowadził tam, jako wypełnienie okien i obramienie delikatnie malowanych, pastelowych kompozycji, żółtawe, fabryczne szkło fakturalne i bardzo agresywne w barwie szkło kobaltowe, które daje mylne wyobrażenie o sposobie szklenia na przełomie XVI i XVII w. Jak bardzo duże znaczenie ma zastosowanie właściwego szkła, wypełniającego przestrzeń wokół miniaturowych kompozycji herbowych, widać w kościele w Karwinie. Na początku XX w. zastosowano tu specjalne, dekoracyjne, pastelowe szklenie tła o skomplikowanym układzie, znane z kompozycji okien w XVII w. Zachowało się ono w dobrym stanie do dziś i stanowi doskonale obramienie dla witrażyków herbowych. O pieczołowitym podejściu, zapewne około 1861 r.⁷, nawet do bardzo zniszczonego, zabytkowego szklenia, świadczą zachowane fragmenty witrażyków herbowych z 1619 r. w kościele w Mechowie, gm. Pyrzyce. Brakujące fragmenty kompozycji uzupełniono tu prawidłowo witrażowym szkłem o neutralnej barwie.

Podsumowując, należy stwierdzić, że renesansowe witraże Pomorza Zachodniego jedynie w niewielkim procencie są zachowane w dobrym stanie, po właściwie przeprowadzonej konserwacji. Większość wymaga podjęcia kompleksowych działań w celu ich ochrony. To niezwykle rzadkie, a przy tym nietrwałe dziedzictwo, powinno być w pierwszej kolejności w całości wpisane do rejestru (do dziś w rejestrze są tylko nieliczne witraże z tej grupy). Ograniczy to niewłaściwe działania renowacyjne czy wprowadzanie zmian niszczących pierwotną kompozycję okna, lub, tak jak w Chocimlinie, uniemożliwiających odbiór wizualny zabytków. Najbardziej zagrożone szklenia powinny być jak najszybciej poddane konserwacji. Aby witraże były docenione i otoczone właściwą opieką, należy we właściwy sposób zaprezentować ich wartości artystyczne i zabytkowe – np. poprzez przygotowanie publikacji i wystawy (np. objazdowej), prezentującej to wyjątkowe dziedzictwo. W przyszłości można by opracować szlak zabytkowych witraży, który przyczyniłby się do lepszego poznania pomorskiego dziedzictwa i promocji regionu.

7 Wykonano wtedy nowe, ostrołukowe okna. Por. *Katalog zabytków sztuki w Polsce, woj. zachodniopomorskie, pow. pyrzycki*, oprac. D. Bartosz, M. Słomiński, Warszawa 2013, s. 100.

Janina Kochanowska, historyk sztuki (KUL), doktor nauk humanistycznych (US). Autorka ponad 50 prac naukowych, dotyczących zabytków Pomorza Zachodniego oraz książek popularnonaukowych o dziedzictwie pomorskim, m. in. *Tajemnice Pomorza* (Szczecin 2004), *Perły Pomorza* (Szczecin 2011). Rzeczoznawca nowożytnej sztuki pomorskiej. Autorka wystaw o sztuce Pomorza, prezentowanych na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie, gdzie od kilku lat prowadzi też otwarte wykłady „Wokół pomorskiego dziedzictwa”. Przez 10 lat - wykładowca Wyższej Szkoły Sztuki Użytkowej w Szczecinie. Od 12 lat współpracuje z Trzebiatowskim Ośrodkiem Kultury, prowadząc każdego roku seminarium naukowe „Trzebiatów – spotkania pomorskie”; redaguje wydawnictwa poseminaryjne.

Honorowy obywatel Trzebiatowa; założycielka i wieloletni prezes stowarzyszenia Akademia Umiejętności. Tradycja, z siedzibą w Leśnie Górnym, badającego i promującego dziedzictwo pomorskie we współpracy z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków i Biurem Dokumentacji Zabytków w Szczecinie. Miłośniczka witraży i kolekcjonerka niemieckiej ceramiki artystycznej lat 30–50. XX w. (kolekcja liczy ponad 500 sztuk).



Maria Witek
Biuro Dokumentacji
Zabytków w Szczecinie



Waldemar Witek
Stowarzyszenie
Konservatorów Zabytków

Budownictwo ryglowe, balast czy dobrodziejstwo ? – doświadczenia konserwatorskie

Rozważania na temat stanu zachowania rodzimego, zachodniopomorskiego budownictwa ryglowego – w ostatnim dziesięcioleciu – nie nastrojają optymistycznie. Stąd też określenie zawarte w tytule „balast czy dobrodziejstwo” jest wysoce uzasadnione. Wielokrotnie w swoich wystąpieniach, czy publikacjach opisywaliśmy znaczenie tego materialnego dziedzictwa, zawsze przytaczając kontekst historyczny: przerwana ciągłość kulturowa, prawie całkowita wymiana ludności po 1945 roku, nowe otoczenie, etc. To wszystko jest nam dobrze znane. Ale po upływie prawie siedemdziesięciu lat od zakończenia II wojny światowej ciągle daje się odczuć swoisty dystans do historycznej, pomorskiej spuścizny.

Budownictwo ryglowe to jeden z najbardziej czytelnych wyróżników krajobrazu kulturowego Pomorza Zachodniego. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu można było w naszym regionie odnaleźć wsie, w których większość budynków wzniesiona była w ten właśnie sposób.

Idea ratowania reliktów budownictwa ryglowego nie jest tylko osobistą krucjatą grupki zapaleńców, ale są to także działania systemowe, zapisane w wojewódzkich dokumentach strategicznych jak chociażby Plan Zagospodarowania Przestrzennego Województwa Zachodniopomorskiego¹, czy Wojewódzki Program Opieki nad Zabytkami na lata

1 Uchwała Nr XLV/530/10 Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego z dn. 10.10.2010 r.

2013-2017 dla Województwa Zachodniopomorskiego². Jedną z instytucji kultury samorządu województwa zachodniopomorskiego, która czynnie realizuje zadanie ochrony dziedzictwa kulturowego, ze szczególnym uwzględnieniem ochrony, opieki i promocji budownictwa ryglowego, jest Biuro Dokumentacji Zabytków. W swoich działaniach propagujących te elementy naszego otoczenia zwraca się ono zarówno do najmłodszego pokolenia, na którym w przyszłości będzie spoczywał obowiązek ochrony historycznej spuścizny, jak i do słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Biuro Dokumentacji Zabytków ściśle współpracuje ze specjalistami z dziedziny konserwatorstwa (od dokumentacji po projektowanie) i ochrony krajobrazu kulturowego, regionalistami, pracownikami samorządowych instytucji kultury, wydziałów promocji, a przede wszystkim właścicielami zabytków.

To zaangażowanie znajduje wyraz we wspólnie organizowanych wydarzeniach edukacyjnych i promocyjnych, realizowanych od 2006 roku, takich jak np.: warsztaty konserwatorsko-budowlane „Dawne konstrukcje – nowe marzenia” (Słowo gm. Darłowo), warsztaty naukowo-konserwatorskie w Sławnie (Urząd Miejski i Urząd Gminy), prelekcje, prezentacje multimedialne, wykłady w Karlinie (przy współpracy Urzędu Miejskiego oraz Muzeum), Włociborzu gm. Dygowo (Dom Pomocy Społecznej), Trzebiatowie (Trzebiatowski Ośrodek Kultury), Kamieniu Pomorskim (Muzeum Historii Ziemi Kamieńskiej) i Stargardzie Szczecińskim (Starostwo Powiatowe).

Mijający czas, naturalny proces dekapitalizacji materiału budowlanego i zmieniające się aspiracje właścicieli czy użytkowników budynków ryglowych, pragnących nowoczesności czy polepszenia funkcjonalności swych domów powodują zanikanie tradycyjnej techniki budowlanej. Najcenniejsze obiekty ryglowe - kościoły, dwory, ratusze czy niektóre chałupy lub małowiatosteczkowe budynki mieszkalne - wpisane są do rejestru zabytków, pozostałe - w większości - ujęte są w wojewódzkich lub gminnych ewidencjach zabytków. Odpowiedzialnością za zachowanie obiektów zabytkowych (wpisanych do rejestru zabytków) polskie prawodawstwo obarcza ich właścicieli, zapewniając jednocześnie możliwość ubiegania się o dofinansowanie remontów. Nie jest to oczywiście obligatoryjne, niestety nie wszyscy mają równe szanse w ubieganiu się o dotacje publiczne.

Najsukuteczniejszą formą działania - przetestowaną w praktyce - jest współpraca i zaangażowanie wielu podmiotów. Pierwsze (podstawowe) ogniwo stanowi właściciel zabytku dążący do jego zachowania. Kolejne to urzędy, samorządy, instytucje - nie tylko egzekwujące przestrzeganie litery prawa, ale także skutecznie wspierające właściciela.

Szczególny przykład stanowi unikatowa, podcieniowa kuźnia ryglowa³ w Dolsku w gminie Dębno. Ten niewielki obiekt wzniesiono w 1781 roku, (data potwierdzona inskrypcją na nadprożu) w folwarku należącym

2 Uchwała Nr XXIII/310/13 Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego z dn. 26.03.2013 r.

3 Nr rej. zabytków: K1.-V-0/7/55 z 22.04.1955 (WKZ Szczecin); 269 z 24.09.1979 (WKZ Gorzów Wlkp); 422 (WKZ Zachodniopomorskie).

do rodziny von Luders. W 2. połowie XIX wieku przeprowadzono remont budynku. Po 1945 roku funkcjonował w nim warsztat kowalско-ślusarski. W latach 50. XX wieku kuźnię remontowano po raz kolejny. Niestety nie przewidziano dla niej żadnej, konkretnej funkcji. Obiekt ulegał stopniowej destrukcji, a zimą 2010 roku podczas silnej wichury został niemal całkowicie zniszczony. Gmina Dębno, będąca właścicielem zabytku natychmiast rozpoczęła przygotowania do prac remontowych, zgodnie z zaleceniami Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Szczecinie. Opracowano stosowne dokumentacje, program prac konserwatorskich, zapewniono nadzór etnograficzny⁴. Samorząd gminny skorzystał z finansowego wsparcia w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich (Odnowa i Rozwój Wsi). Prace zakończono latem w 2010 roku, umieszczając we wnętrzu zakupione w tym celu zabytkowe wyposażenie kuźni. Uratowano wyjątkowy zabytek rodzimego budownictwa, znaleziono dla niego funkcję muzealno-ekspozycyjną. Taka ochrona - *in situ* (w miejscu) - to najbardziej preferowana forma ochrony z uwagi na poszanowanie krajobrazu kulturowego oraz zachowanie kontekstu historycznego. W 2014 roku kuźnia w Dolsku została wyróżniona w konkursie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Zabytek Zadbany”, w kategorii adaptacja obiektów zabytkowych.



Kuźnia w Dolsku - stan zachowania w 2009 r., fot. W. Witek



Kuźnia w Dolsku - kuźnia, katastrofa budowlana fot. W. Witek, 2010



Kuźnia w Dolsku - po rewaloryzacji i rekonstrukcji, fot. W. Witek, 2014

Diametralnie odmienny sposób ratowania zabytku ryglowego zastosowano przy ryglowej chałupie z połowy XIX wieku zlokalizowanej w Mścicach w gminie Będzino⁵. Zrujnowany obiekt nabyła prywatna osoba, która przeprowadziła procedurę wpisania go do rejestru, następnie rozpoczęła starania (lata 2008-2010) o translokację do miejscowości Policko w gminie Manowo

⁴ W. Witek, *Kuźnia w Dolsku. Dokumentacja Etnograficzno-Konserwatorska*, Szczecin 2010 (m-pis WUOZ Szczecin).

⁵ Nr rej. zabytków A-336, z dn. 11.01.2008 (WKZ Zachodniopomorskie).

(ok. 30 km od pierwotnej lokalizacji). Partnerem w tych działaniach był zarówno Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Szczecinie, Delegatura w Koszalinie jak i Biuro Dokumentacji Zabytków w Szczecinie, zatrudniające specjalistów w dziedzinie rodzimego budownictwa ryglowego (etnografowie, architekt). Przygotowano program prac konserwatorskich, a dzięki grantowi z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (pozyskanemu przez BDZ) opracowano inwentaryzację zabytku oraz wykonano znakowanie elementów konstrukcyjnych chałupy. Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że w naszym województwie była to jedyna translokacja zabytku przeprowadzona przez prywatną osobę. Właściciel uzyskał wsparcie pracowników dydaktycznych Politechniki Poznańskiej, którzy wraz z grupą studentów wykonali część wypełnień fachów konstrukcji ryglowej, przy zastosowaniu tradycyjnej techniki i materiałów. Dzięki zastosowaniu murowanej osnowy ścian obwodowych, swoistego „wieszaka” dla historycznej konstrukcji ryglowej, udało się zachować prawie 100% oryginalnych elementów drewnianego szkieletu ścian, a także stropów i więźby dachowej. Poza tym rozwiązanie to umożliwiło wprowadzenie do budynku funkcji użytkowej – usługowej. Dla porównania - niejednokrotnie - obiekty znajdujące się w skansenach, zachowują zaledwie 30-40% starej tkanki. Nawet pokrycie dachowe posiada starą dachówkę ceramiczną, pozyskaną od okolicznych gospodarzy. Oczywiście zabytek został ulokowany w nowym otoczeniu, ale został zachowany i nadal jest wpisany do rejestru i podlega pełnej ochronie konserwatorskiej.



Mścice, gm. Będzino - chałupa, stan zachowania w 2007 r., fot. W. Witek

Policko, gm. Manowa - chałupa z Mścic w trakcie prac konserwatorskich, fot. W. Witek, 2010



Policko, gm. Manowa - chałupa z Mścic po rewaloryzacji, fot. W. Witek, 2010

Kolejnym przykładem dbałości o historyczną spuściznę regionu są starania prywatnego właściciela zabytkowej⁶ (rejestrowej) zagrody chłopskiej w Gosławiu nr 66 w gminie Trzebiatów. Jest to przykład czworobocznej zagrody zamkniętej (*Vierkanthof*) z połowy XIX

6 Nr rej. zabytków A-1344, z dn. 07.08.1997 (WKZ Szczecińskie).

wieku⁷. To historyczne rozplanowanie związane z uwłaszczeniem chłopów oraz podniesieniem produkcji zbóż, ale sama idea tego obejścia chłopskiego jest etnicznie związana z ludem Franków. W tym przypadku budynki gospodarcze przylegają do siebie, nakryte są dachami o jednakowej wysokości kalenicy a chałupa zlokalizowana jest w głębi siedliska. Charakterystycznym elementem był także gnojownik zlokalizowany w centralnym punkcie podwórza gospodarczego. Istotne w tym przypadku jest, że zagroda w dalszym ciągu pełni funkcje siedliska rolniczego.

Po 1945 roku w zagrodzie osiedlono dwie rodziny, co oczywiście nie sprzyjało spójności prac remontowych. Podstawowe znaczenie miało scalenie własności, a od 1997 roku właściciel rozpoczął prace remontowe pod nadzorem konserwatorskim. Obiekty wiejskie - chłopskie stanowią znikomy procent obiektów wpisanych do rejestru zabytków; stąd tak ważne są determinacja i przekonanie właściciela o słuszności jego działań, a „urzędy i instytucje” winny ze szczególną troską wspierać i wskazywać wszelkie możliwe źródła finansowania. W 2014 roku, po 17 latach systematycznych prac konserwatorskich, zakończono etap remontów oraz rekonstrukcji obiektów zabytkowej zagrody. Dla części budynków zaplanowano nowe funkcje: w chałupie, na poddaszu urządzono stylowe pokoje w konwencji agroturystyki, w budynku inwentarskim urządzono izbę muzealną, w której znajdują się eksponaty stanowiące historyczne wyposażenie zagrody chłopskiej, zewidencjonowane przez studentów etnologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W obejściu odbywają się lekcje muzealne, tzw. zielone szkoły, z pokazami tradycyjnego życia w zagrodzie chłopskiej – np. „Od ziarenka do bochenka”. Właściciel będąc sołtysem, czyli lokalnym liderem doskonale rozumie rolę rodzimego dziedzictwa kulturowego, jako nośnika rozwoju turystyki. To doskonały przykład rolnika, który łączy nowoczesność z historią, potrafi pozyskać fundusze zewnętrzne dla swoich działań.



Chałupa w Gosławiu - stan zachowania
w 1983 r., ze zb. WUOZ w Szczecinie

Chałupa w Gosławiu - stan po rewaloryzacji,
fot. W. Witek, 2011

7 W. Witek, *Chałupa nr 66. Dokumentacja Etnograficzno-Konserwatorska*, Szczecin 2012 (m-pis BDZ Szczecin).



Budynek inwentarski w Gosławiu - stan po rewaloryzacji, fot. W. Witek, 2012



Stodoła – budynek bramny w Gosławiu - stan po rewaloryzacji, fot. W. Witek, 2012

Dość powszechna staje się obecnie chęć posiadania domu na wsi. Rozróżnić możemy dwie grupy „rezydentów”. Jedni budują nowe, okazałe i najczęściej mało gustowne rezydencje (odgródzone szpalerami iglaków) w stylu - najdelikatniej mówiąc - eklektyzmu, które agresywnie

ingerują w historyczny krajobraz kulturowy. Grupa mniej liczna, to osoby które w pełni świadomie poszukują starego siedliska „z duszą”, chcąc mu dać drugie życie. Z taką sytuacją mamy do czynienia w Słownie, gm. Darłowo. Nowi właściciele z pietyzmem odrestaurowali swoją część zabytkowej⁸, ryglowej zagrody; stosując przy tym rzemieślnicze techniki oraz naturalny materiał, właściwy dla rodzimego budownictwa. Każdy detal ponad 150-letniej chałupy, który udało się uratować został zachowany. Poważnych kłopotów nastroczał katastrofalny stan techniczny budynku inwentarsko-bramnego (także wpisanego do rejestru zabytków). Podjęcie jakichkolwiek prac przy obiekcie rejestrowym wymaga stosownych zaleceń konserwatorskich, odpowiednich (kosztownych) ekspertyz i dokumentacji, bez względu na to czy dotyczy pałacu czy wiejskiej zagrody. W tym wypadku właściciele uzyskali niewielką dotację z samorządu województwa zachodniopomorskiego, a Biur Dokumentacji Zabytków wykonało stosowną inwentaryzację konserwatorską oraz program prac konserwatorskich. Właściciele przeprowadzili kompleksowy remont, dając obiektowi nową funkcję – galerii artystycznej.



Chałupa w Słownie - stan po rewaloryzacji, fot. W. Witek, 2011



Budynek inwentarsko-bramny w Słownie po pracach remontowych, fot. W. Witek, 2012

Szczególne problemy dotyczą zabytków techniki takich jak np. młyny wodne. Znikają one bezpowrotnie, lub zdewaloryzowane nie są już nawet tytułowym „balastem” a jedynie mało malowniczą ruiną. Największą grupę stanowią obecnie nieużytkowane młyny wodne, ze sporadycznie zachowanymi elementami wyposażenia. Od momentu zaprzestania produkcji młyńskiej wyposażenie demontowano i najczęściej przenoszono do innych obiektów lub złomowano. Młyny, które nie są użytkowane i remontowane lub zabezpieczone w zakresie podstawowym, ulegają szybkiej destrukcji i dewastacji. W ostatnich okresie „zniknął” z krajobrazu kulturowego zabytkowy, ryglowy (XIX-wieczny) młyn w Dolsku, położony w sąsiedztwie okazałego zespołu pałacowo-parkowego. Gmina Dębno była w stanie uratować kuźnię w Dolsku, ale nawet dla jednostki samorządu terytorialnego odrestaurowanie większej liczby zabytków jest niemożliwe.

8 Nr rej. zabytków A-204, z dn. 23.01.2005 (WKZ Zachodniopomorskie).



Ruina młyna wodnego w Dolsku – widok z drogi dojazdowej do wsi, fot. W. Witek, 2014

Niektóre obiekty pozostają w dalszym ciągu w rękach prywatnych właścicieli jak choćby zabytkowy⁹ (z 1895 r.) młyn w Głębocku w gminie Czaplinek, ulokowany w zakolu rzeki Drawy. Obecnie budynek jest nieużytkowany (od ok. 30 lat), o całościowo zachowanej ryglowej konstrukcji ścian. Ten „malowniczy” obiekt, został tymczasowo zabezpieczony przez Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Szczecinie i czeka

„na lepsze czasy”, na potencjalnego inwestora, który zadba o jego wartości zabytkowe i nada obiektowi nową funkcję – np. jako lokalnej atrakcji turystycznej. Aby w takim obiekcie przeprowadzić kompleksowy remont i program prac konserwatorskich, właściciel potrzebuje wsparcia z wielu zewnętrznych źródeł finansowania, ale najpierw musi chcieć zabytek uratować. Trudność polega na tym, że są to zabytki mało spektakularne, a właściciele prywatni pozostają w mniej uprzywilejowanej sytuacji, od np. związków wyznaniowych. Województwo Zachodniopomorskie, jako jedyne w kraju, nie ma na swoim terenie muzeum skansenowskiego, do którego można byłoby tego typu obiekty przenieść i odpowiednio je eksponować.



Młyn wodny w Głębocku - widok od strony rzeki Drawy, fot. W. Witek, 2012

9 Nr rej. zabytków 1139, z dn. 14.10.1980 (WKZ Koszalińskie).

Zachowanie harmonijnie ukształtowanego krajobrazu kulturowego, łączącego elementy historyczne i współczesne to obowiązek nas wszystkich. Rodzime budownictwo ryglowe to nie balast, to materialny dowód zachodniopomorskiej odrębności. „Kraciaste” domy i zagrody znikają bezpowrotnie z naszej przestrzeni kulturowej, zastępowane - bezmyślnie - rezydencjami w najbardziej kiczowatym guście, z „bajkowymi” nawiązaniem (typu wieżyczki, wystawki, lukarny, neonowe elewacje). Ich właściciele odgradzają się od sąsiadów wymyślnymi płotami lub formowanymi, egzotycznymi żywopłotami, tworząc swoje odrębne terytorium.

Z zagranicznych podróży przywozimy zdjęcia niemalże sielankowych miejscowości Niemiec, Francji, czy Wielkiej Brytanii; z ich nierzadko średniowiecznymi budynkami ryglowymi. Podziwiamy „patynę” tej zabudowy, historyczne stolarki, stare tynki, brukowane uliczki. Postarajmy się zachować na naszym Pomorzu Zachodnim chociaż część tych „świadków historii”, traktując tę spuściznę jako pomorską i swojską.



Wiatra przystankowa w Gosławiu, gm. Trzebiatów - fot. W. Witek, 2011

Maria Witek, etnograf, menedżer kultury, starszy kustosz w Biurze Dokumentacji Zabytków w Szczecinie. Absolwentka UAM w Poznaniu – dyplom pod kierunkiem prof. Józefa Burszty; podyplomowych studiów menedżerów kultury – Szkoła Główna Handlowa w Warszawie.

Do 1991 adiunkt w Muzeum Narodowym w Szczecinie, Oddział Historii Miasta. Od 1997 pracownik Biura Dokumentacji Zabytków.

Zajmuje się m.in. tradycyjną zabudową ryglową: wiejską i małomiasteczkową woj. zachodniopomorskiego, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki ochrony krajobrazu kulturowego; współpracą z jednostkami samorządu terytorialnego, instytucjami i osobami fizycznymi w zakresie propagowania i ochrony dóbr kultury.

Członek Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków. Współautor projektu „Żywy skansen Słowo” i warsztatów konserwatorsko-budowlanych. Od lat zaangażowana w organizację Europejskich Dni Dziedzictwa na terenie woj. zachodniopomorskiego.

Prelegent na międzynarodowych konferencjach: „ANTIKON”, „Dzieje Wsi Pomorskiej”, „Spotkania Trzebiatowskie”, „Historia i Kultura Ziemi Sławińskiej”; „Wiejska przestrzeń – zagrożone dziedzictwo” w Kamieniu Śląskim.

Współautorka kilku publikacji, m.in. „Tajemnice codzienności” (2011); „Między słupem i rygłem” (2012).

Waldemar Witek, etnograf, starszy specjalista w Narodowym Instytucie Dziedzictwa, OT Szczecin.

Absolwent UAM w Poznaniu – dyplom pod kierunkiem prof. Józefa Burszty. Praca zawodowa związana z ochroną zabytków: Pracownice Konserwacji Zabytków; Biuro Studiów i Dokumentacji Konserwatorskiej; Biuro Dokumentacji Zabytków w Szczecinie; od 2007 – Regionalny Ośrodek Badań i Dokumentacji Zabytków w Szczecinie (obecnie Narodowy Instytut Dziedzictwa). Członek Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków i Stowarzyszenia Miłośników Tradycji Rybołówstwa Bałtyckiego. Rzeczoznawca w zakresie krajobrazu kulturowego oraz architektury ryglowej.

Autor i współautor licznych dokumentacji dotyczących zabytkowej architektury (sakralnej, ludowej, rezydencjonalno-fołwarczej, przemysłowej i wojskowej), studiów krajobrazu kulturowego do planów zagospodarowania przestrzennego, programów opieki nad zabytkami oraz projektu „Żywy skansen Słowo” i warsztatów konserwatorsko-budowlanych „Dawne konstrukcje – nowe marzenia”.

Prelegent na międzynarodowych konferencjach: „ANITKON”, „Dzieje Wsi Pomorskiej”, „Spotkania Trzebiatowskie”, „Historia i Kultura Ziemi Sławińskiej”, „Zamki i rezydencje na Pomorzu”, „Henrykowskie Dni w Siemczynie”. Autor i współautor ok. 30 artykułów naukowych z zakresu budownictwa ryglowego, fołwarcznego, technicznego oraz kultury ludowej i krajobrazu kulturowego Pomorza Zachodniego.



Marcin Majewski

Najstarsze dzwony na Pomorzu Zachodnim

Początki średniowiecznego ludwisarstwa pomorskiego związane są z odlewnikami kociołków (niem. *Grapengiesser*)¹, o których zapisy odnajdujemy w średniowiecznych dokumentach. W 2008 r. podczas badań archeologicznych prowadzonych w Stargardzie natrafiono po raz pierwszy w Polsce na warsztat odlewniczy specjalizujący się głównie w produkcji brązowych kociołków. Jego funkcjonowanie przypadło na okres od drugiej połowy XIII do trzeciej ćwierci XIV w. Odkryto tu m.in. pozostałości murowanego pieca, wzniesionego na rzucie prostokąta, z otwartą, węższą stroną. Ten rodzaj pieca do topienia metali znany jest od XIII w. W obrębie warstw i samych obiektów odkryto 1722 fragmenty glinianych form zewnętrznych i wewnętrznych grapenów, lichtarzy oraz dzwonów². Odkrycie potwierdziło obecność grapengiserów w Stargardzie już na przełomie XIII i XIV w. – znacznie wcześniej niż wiemy o nich ze źródeł historycznych³. Przyjętą chronologię zdają się potwierdzać dane z innych

1 W miastach nadbałtyckich, także pomorskich, rzemieślników tych nazywano *Grapengeter* lub *Grapengeiter* co w dolnoniemieckim oznacza *odlewnika grapenów*, czyli rzemieślnika zajmującego się wykonywaniem m. in. brązowych, trójnożnych kociołków, które w późnym średniowieczu rozpowszechniły się w basenie Morza Bałtyckiego stanowiąc charakterystyczne naczynie w obszarze oddziaływania kultury hanzeatyckiej.

2 M. Majewski, *Późnośredniowieczny warsztat ludwisarski odkryty na kwartale IX w Stargardzie*, [w:] XVII Sesja Pomorzoznawcza. Vol. 2: Od późnego średniowiecza do czasów nowożytnych, pod red. H. Panera i M. Fudzińskiego, Gdańsk 2013, s. 45-69.

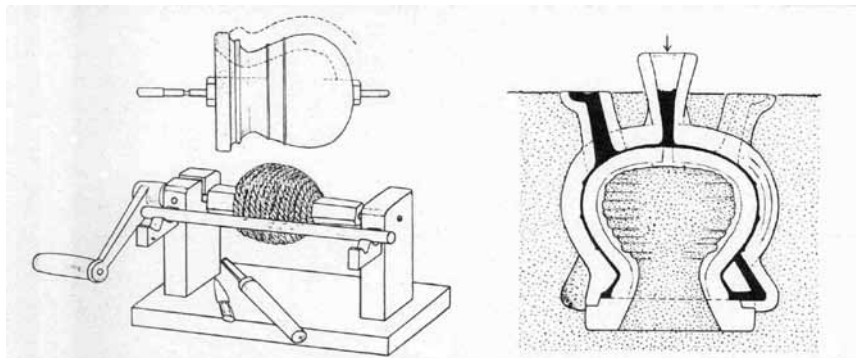
3 F. Boehmer, *Geschichte der Stadt Stargard i. Pomm.*, 1. Bd.: *Geschichte der Stadt im Mittelalter*, Stargard i. Pomm. 1903, s. 335; A. Semrau, *Die Grapengießer und Rotgießer in Preußen*, „Mitteilungen des Copernicus- Vereins für Wissenschaft und Kunst zu Thorn”, H. 26, 1918, s. 37.

ośrodków hanzeatyckich, gdzie brązowe grapeny stały się jednym z bardziej charakterystycznych naczyń kuchennych. Na odkrytych formach nie znaleziono jakichkolwiek gmerków ani znaków miasta. Wydaje się, że miasto, mimo tego, że nie zostało wymienione wśród ośrodków biorących udział w zjeździe w 1354 roku, a ponownie w 1368, 1375 r. (1376 r.), gdzie wydano stosowne zarządzenia dotyczące produkcji oraz oznaczania kociołków, a także handlu nimi, będąc jednak członkiem Hanzy, przestrzegało tych uzgodnień⁴.



Stargard. Stare Miasto. Dawna parcela nr 12 przy ul. Bolesława Chrobrego. Piec i pozostałości warsztatu odlewniczego (2 poł. XIII-3 ćw. XIV w.). Fot. M. Majewski.

Odlewnicy kociołków wykonywali dzwony, a także mniejsze odlewy, takie jak sprzączki, skuwki, klamry, które odnaleziono w jednym z odkrytych w Lubece warsztatów⁵. Jak można się domyślać, pomorscy rzemieślnicy również wytwarzali takie przedmioty. Brak ksiąg czynszów gruntowych, przyjęć prawa miejskiego, etc., nie pozwala na ustalenie pewnej liczby oraz położenia pracowni na terenie ówczesnych miast pomorskich. Potwierdzeniem istnienia większej ilości pracowni odlewniczych w Szczecinie są nazwy ulic, w 1311 roku – *platea ollifusorum*, później *grapengeterstrate*⁶.



Poziome sporządzanie formy i modelu grapena; ustawienie formy grapena do odlewu (wg Drescher H., 1982, s. 157).

4 O. Blümcke, *Die Handwerkszunft im mittelalterlichen Stettin*, "Baltische Studien", Bd. 34, 1884, s. 88; A. Semrau, dz. cyt., s. 37-38.

5 D. Mührenberg, *Mittelalterliches Handwerk in Lübeck im Spiegel archäologischer Funde und Befunde*, "Greifswalder Mitteilungen. Beiträge zur Ur- und Frühgeschichtliche und Mittelalterarchäologie", Bd. 4, 2000: Handwerk – Stadt – Hanse. Ergebnisse der Archäologie zum mittelalterlichen Handwerk im südlichen Ostseeraum. U. Müller (Hrsg.). Ein Kolloquium des Lehrstuhls für Ur- und Frühgeschichte am Historischen Institut, Ernst-Moritz-Arndt-Universität Greifswald, Mai 1998, s. 228.

6 O. Blümcke, dz. cyt., s. 108.



Stargard. Stare Miasto. Rynek Staromiejski. Piec tygłowy do topienia metali przeznaczonych do odlewu dzwonu (XIV w.). Fot. K. Stań.

Pozostaje jedynie sięgnąć do przykładów z innych ośrodków północnoeuropejskich, gdzie warsztaty funkcjonowały zarówno w obrębie murów jak i na zewnątrz. Z zapisów archiwalnych, jednak już nowożytnych, dowiadujemy się, że Rolof Klassen, ludwisarz szczeciński, posiadał swoją pracownię na terenie miasta. W 1614 roku uległa spaleni i mistrz starał się o nową lokalizację giserni, już poza obrębem miasta.

O ile odlewnictwo kociołków mogło odbywać się w pracowniach przydomowych, usytuowanych w głębi parceli działki⁷, to większe prace, związane z wykonaniem dużych dzwonów planowano w bezpośredniej bliskości obiektów, dla których mały być przeznaczone⁸. Technologia z wykorzystaniem tzn. modelu „falszywego” stosowana od drugiej połowy XIII wieku w odlewnictwie kociołków, była identyczna i dla dzwonów.

Forma grapena, dzwonu lub chrzcielnicy tworzona była pionowo z glinianego modelu „falszywego” sporządzanego wzornikiem. W zależności od wysokości przewidywanej formy odlewanej przedmiotu wykopywano na taką głębokość dół. Rozmiary wykopu musiały być na tyle spore, aby ludwisarz mógł pracować dookoła formy. Pośrodku dołu wbijano pal, na którym umieszczano żelazną poprzeczkę lub krzyżak z centralnie wykonanym otworem. Był on przeznaczony do osadzenia ramienia cyrkla – wzornika. Wokół ramienia obracał się wzornik wykonany z deski, w której każdorazowo wycinano profil, jaki miał być odwzorowany na formie. Profil niniejszy służył do ukształtowania wewnętrznej części rdzenia. Deska z profilem zamocowana była do poprzeczki.

Ustawianie formy rozpoczynano od budowy podstawy o wysokości kilkunastu centymetrów i wzniesienia wewnętrznej części rdzenia z cegieł, niekiedy także z dachówek i przewiązania ich gliną. Obracając wzornikiem z wyciętym profilem sprawdzano wymiary rdzenia, tak aby pozostała szpara. Następnie wypełniano ją masą formierską

⁷ M. Gläser, D. Mührenberg, „Moderner” Grapengufi um 1200 in der Lübecker Breiten Straße, „Hamrnaburg”, 12, 1998: Festschrift für Hans Drescher zu seinem 75. Geburtstag, s. 225-231; S. Krabath, *Buntmetallverarbeitung in der mittelalterlichen Stadt Hoxter an der Weser*, [w:] Von Schmieden, Wurfeln und Schreibern. Städtisches Handwerk im Mittelalter. Beiträge des ersten Kolloquiums des Arbeitskreises zur archäologischen Erforschung des mittelalterlichen Handwerks, Stuttgart 1999, s. 138-150.

⁸ M. Grabowski, *Eine Bronze gießerei in Wismar. Untersuchungen im Hof der Schloßanlage Fürstenhof*, „Bodendenkmalpflege in Mecklenburg – Vorpommern”, Jg. 2001-49, s. 253-284; E. Pawlak, M. Krzepkowski,

z gliny i nawozu końskiego, którą wyrównywano wzornikiem. Tak wykonany rdzeń wewnętrzny poddawano suszeniu wysypując od góry, do połowy wysokości, węgiel drzewny, który spalano. Suszenie trwało od połowy do całego dnia, w zależności od wielkości dzwonu. Każdą kolejną warstwę masy nakładano po wysuszeniu poprzedniej. Powierzchnię gotowego rdzenia pokrywano zwilżonym popiołem i przystępowano do wykonania „falszywego” modelu dzwonu za pomocą kolejnego wyciętego profilu w desce wzornika, odpowiadającemu zewnętrznej powierzchni dzwonu.

Model wyrabiano z gliny zmieszanej z owczą wełną, który nakładano na rdzeń i wyrównywano

wzornikiem. Następnie umieszczano modele inskrypcji, plaket i innych dekoracji, która miały się znaleźć na powierzchni dzwonu. Modele odlewano z wosku w formach gipsowych, wykonanych z drewnianego wzoru. Aby przymocować modele dekoracji i inskrypcji powierzchnię „falszywego” modelu zwilżano stopionym woskiem (lub terpentyną) za pomocą pędzla.

Kolejno nakładano warstwę, o niewielkiej grubości. Składała się ona z mieszaniny talku i wosku, ponieważ miała ułatwić oddzielenie „falszywego” modelu od zewnętrznej części formy, zwanej też płaszczem.

Przygotowywano kolejny wzornik, który odpowiadał wymiarom zewnętrznej części formy (płaszcz). Masa formierska dla tego etapu prac składała się z rozdrobnionej i przesianej gliny zmieszanej z owczą wełną i wodą. Powstałą gęstą papkę rozprowadzano pędzlem na „falszywym” modelu. Naniesioną warstwę o grubości około 5 mm suszono na powietrzu, co trwało 12-15 godzin. Kolejno nakładano następne warstwy o nieco większej grubości.

Po wykonaniu powyższych czynności ponownie rozpalano we wnętrzu rdzenia ogień, niezbyt mocny, aczkolwiek wystarczający, by stopić te woskowe modele inskrypcji i dekoracji. Dalej nakładano warstwy masy formierskiej, do której dodawano także włókna konopi, sprzyjające wiązaniu masy. Kształtując wzornikiem zewnętrzną część formy zwracano uwagę, by płaszcz był dłuższy niż model „falszywy”



Gudowo, pow. drawski. Dzwon, ludwisarz nieznan, XV w. Na płaszczu widoczny znak pielgrzymi z wizerunkiem św. Kwiryna. Fot. M. Majewski



Suchowo, pow. drawski. Dzwon, tzw. „mistrz dzwonów sowych”, 1527. Fot. M. Majewski

i zachodził⁹ na podstawę rdzenia. Ostatnią częścią była forma, która miała odtwarzać koronę dzwonu. Modele kabłąków, korony i trzpień sporządzano z wosku. Następnie wkładano model kabłąka wciskając w masę do połowy. Po obeschnięciu połówki formy wyciągano go. Połówek formowano dwanaście, aby złożyć formy dla sześciu kabłąków. Dla trzpień sporządzano formę w ten sam sposób.

Dla zamknięcia górnej części rdzenia formowano z gliny krążek. Po wysuszeniu umieszczano go w otworze zwilżając jego brzegi i zalewając je rzadką gliną sprzyjającą złączeniu z pozostałą masą rdzenia.

Podobny krążek wykonywano z wilgotnej gliny dla zamknięcia otworu modelu „fałszywego” oraz zewnętrznej części formy. W formie umieszczano także żelazny pierścień lub zagięty pręt służący później do zawieszenia serca.

Po oznakowaniu zewnętrznej części formy podstawy rdzenia usuwano z niej cały fałszywy model. Oznakowanie miało być pomocne przy ponownym złożeniu. Rdzeń zwilżany był piwem i przysypywany popiołem, a następnie suszony. Zdjętą formę zewnętrzną czerniono od wewnątrz dymiąc słomą i ponownie nakładano na rdzeń. Pomiedzy częściami formy pozostawała wolna przestrzeń, w którą miał być wlany stop. Dalej obie części formy zamykano od góry formą korony z kanałem wlewowym i odpowietrzeniami, którą oblepiano gliną łącząc z formą zewnętrzną. Wszystko dokładnie suszono w rozpalonym na około ognisku. Dół wokół gotowej formy zasypywano pulchną ziemią, silnie ją ubijając¹⁰.

Topienie metali, odbywało się blisko formy, w tyglach bądź piecach płomiennych. Proces ten trwał od kilkudziesięciu minut do kilku, kilkunastu godzin, w zależności od ilości topionego metalu. Stopiony i dobrze przegrzany metal po przebicciu otworu spustowego pieca spuszczał się przez rynną wykonaną z cegieł, do formy. Oczywiście

9 Pracownia ludwisarska z XIII w. z Poznania Śródk, „Wielkopolskie Sprawozdania Archeologiczne”, t. 6, 2003, s. 153-172. Potwierdzają to również dwa piece tygłowe odkryte na Rynku Staromiejskim w Stargardzie podczas badań archeologicznych w 2009 r., które posłużyły do topienia metali do odlania dzwonów dla tamtejszego kościoła Mariackiego.

10 J. Piaskowski, *Technologia dawnych odlewów artystycznych*, Kraków 1981, s. 104-111.

szybkość zalewania formy była regulowana¹¹. Po wystygnięciu odlew wymagał usunięcia zalewek oraz drobnych napraw. Dotyczyło to głównie partii dekoracji oraz inskrypcji, które dodatkowo czyściono i czyszczono.

Prawdopodobnie do początku XVI wieku niektóre większe dzwony, na potrzeby kościołów pomorskich wykonywali ludwisarze pochodzący z innych ośrodków północnoeuropejskich. Większość z nich jest zupełnie anonimowa, gdyż odlewnicy nie pozostawiali żadnej sygnatury na wykonywanych przez nich instrumentach, bądź sygnowali swe dzieła gmerkami, które pozostają do dziś w większości nie rozpoznane. Zna-



my nazwiska kilku ludwisarzy pochodzących z miast położonych w sąsiednich krajach, np. Johann Karsow¹² i Paul Ratgebe z Gdańska; Rickert de Monkenhagen¹³, Mattheus David, Roggheman z Rostocku, a także z ośrodków znacznie oddalonych, Albert z Norymbergii¹⁴, Lutke Rose z Bielefeld¹⁵, czy Johann Apengeter, który z Saksonii trafił do Kołobrzegu, a następnie przez Rostock do Lubeki i Kilonii¹⁶.

W początkowym okresie dzwony wykonane przez wędrownych ludwisarzy odróżniały się od produktów miejscowych rzemieślników

Pożrzadło Wielkie, pow. drawski. Dzwon, Jost van Westen, ludwisarz stargardzki, 1560. Fot. M. Majewski

11 Tamże, s. 172-175

12 *Zur Glockenkunde Stettins*, "Monatsblätter. Herausgegeben von der Gesellschaft für Pommersche Geschichte und Alterthumskunde", Jg. 15, 1901, s. 125.

13 Die Bet- und Professorenlocke im Dom St. Nikolai zu Greifswald. Hrsgn. von der Domgemeinde St. Nikolai, Greifswald 1999.

14 H. Lemcke, *Die Bau- und Kunstdenkmäler des Regierungsbezirks Stettin*, H. II: Der Kreis Anklam, Stettin 1899, s. 168; tenże, dz. cyt., H. IX: Der Kreis Naugard, Stettin 1910, s. 47, 53, 147.

15 M. Majewski, *Dawne dzwony Trzebiatowa (XIV-XVI w.)*, [w:] Trzebiatów-historia i kultura II. Materiały z konferencji, Trzebiatów, 17-18 maja 2001, pod red. Wojciecha Łysiaka, Poznań 2001, s. 62-63. Nazwiska pozostałych ludwisarzy pochodzą z pomorskich inwentarzy zabytków przełomu XIX i XX wieku, autorstwa E. von Haselberga, L. Böttgera, H. Lemcke, I. Kohte, G. Bronischa i W. Ohle.

16 Wykonał świecznik dla kolegiaty kołobrzesckiej w 1327 roku. Przypisuje się mu, między innymi, także antaby z kolegiaty kołobrzesckiej i kaplicy zamkowej w Szczecinie, datowane na około 1330-1340 roku; por. Z. Krzymuska-Fafius, *Plastyka gotycka na Pomorzu Zachodnim*. Katalog zbiorów Muzeum Pomorza Zachodniego, Szczecin 1962, s. 12, 39-41; M. Przewoźna, *Brązowy siedmioramienny świecznik z kolegiaty kołobrzesckiej*, [w:] *Sztuka Pomorza Zachodniego*, pod red. Z. Świechowskiego, Warszawa 1973, s. 287-304.

lepszą jakością odlewu, liternictwa oraz większym wachlarzem dekoracji płaszcza. Przykładem są nie zachowane, ale znane z przekazów dzwony kościoła św. Mikołaja w Anklam, w Piaseczniku pow. choszczeński oraz kaplicy św. Gertrudy w Stargardzie, czy zachowane w kościele św. Mikołaja w Greifswaldzie, Mariackim w Trzebiatowie i Maszewie.

Dziełem rzemieślnika północnoniemieckiego pochodzenia są tzw. „dzwony sowe” z Warszyna pow. Stargardzki, z Chwastnicy pow. Gryfiński i zamku szczecińskiego, datowane na lata 1524-1527¹⁷. W dekoracji płaszczy zwracają uwagę bardzo plastyczne plakiety przedstawiające św. Krzysztofa, św. Barbarę, Marię z Dzieciątkiem, Chrystusa Ukrzyżowanego, Pokłon Trzech Króli oraz znaczek pielgrzymi ze Sternbergu w Meklemburgii. Nie jest to odosobniony przypadek, aby w dekoracji dzwonu pojawił się znaczek pielgrzymi, któremu przypisywano funkcję apotropaiczną¹⁸, Ciekawymi przykładami z terenu Pomorza są: anonimowy dzwon z Gudowa pow. drawski, z Rogowa pow. stargardzki¹⁹, z Kwasowa pow. sławieński oraz instrument wykonany przez Hansa Hoghe w Mielnie koło Łobza.

W dekoracji płaszcza na „dzwonach sowych” wykorzystano obok plaket tzw. technikę „rytowania” (niem. *Ritzzeichnung*), która charakterystyczna jest dla dekoracji starszych wytworów, datowanych na okres XIII do końca XV wieku. Ten właśnie typ dekoracji posiada dzwon odnaleziony w 1895 roku w korycie rzeki Świny, czy instrumenty wykonywane przez Alberta z Norymbergii²⁰. Z kolei od drugiej połowy XIV

17 J. Kochanowska, *Szczeciński dzwon Maryjny z 1524 roku ze zbiorów Muzeum Narodowego w Szczecinie*, „Materiały Zachodniopomorskie”, 1980, R. XXVI, s. 411-422. Forma dekoracji jest bliska pracom Hinricha z Kampen, Starszego (zm. 1521), osiadłego po 1508 roku w Lubece, który w 1505 wykonał dzwon dla kościoła w Pietrzykowie pow. człuchowski. Z mistrzem „dzwonów sowych” należy wiązać również następujące instrumenty: w Eberswalde, 1518 roku; Bédargowie, pow. choszczeński, 1525; w Gardzku, pow. strzelecko-drezdenecki, 1525; w Suchowie, pow. drawski, 527.

18 K. Köster, *Meister Tilman von Hachenburg. Studien zum Werk eines mittelrheinischen Glockengießers des fünfzehnten Jahrhunderts*, „Jahrbuch der Hessischen kirchengeschichtlichen Vereinigung”, Bd. 8, 1957, s. 1-206; Bd. 10, 1959, s. 77-91; M. Amark, *Pilgrimsmärken på svenska medeltidsklockor*, „Antikvariskt arkiv”, 28, 1965; N.-K. Liebgott, *Afstejninger af pilgrimstegn på danske middelalderlige kirkeklokker*, „Aarbøger for nordisk oldkyndighed og historie”, 1971, s. 195-240; M. Schaugstat, *Mittelalterliche Pilgerzeichen auf Glocken in mecklenburgischen Dorfkirchen*, „Mecklenburgische Jahrbücher”, Jg. 109, 1993, s. 19-54; M. Majewski, *Pilgerzeichen auf Glocken in hinterpommerschen Kirchen*, [w:] *Wallfahrer aus dem Osten. Mittelalterliche Pilgerzeichen zwischen Ostsee, Donau und Seine. Beiträge der Tagung Perspektiven der europäischen Pilgerzeichenforschung* 21. bis 24. April 2010 in Prag, H. Kühne, L. Lambacher, J. Hrdina (Hrsg.), (z serii: „Europäische Wallfahrtsstudien”, Hrsgn. v. H. Kühne, J. Hrdina u. T. T. Müller), Frankfurt am Main 2013, s. 51-68.

19 Obecnie w wieży kościoła św. Jana Chrzciciela w Stargardzie.

20 Alt-Teterin k. Anklam; H. Lemcke, *Die Bau- und Kunstdenkmäler des Regierungsbezirks Stettin*, H. II: *Der Kreis Anklam*, Stettin 1899, s. 168; Dąbrowa Nowogardzka, Mosty, Wierzbiczin, Wołowiec, w pow. goleniowskim: H. Lemcke, *Die Bau- und Kunstdenkmäler des Regierungsbezirks Stettin*, H. IX: *Der Kreis Naugard*, Stettin 1910, s. 47, 53, 147.

wieku w górnej części płaszcza dzwonów, zwanej także szyją, pojawiły się okrągłe, niewielkich rozmiarów plakiety przedstawiające najczęściej sceny z życia Marii i Pasji Chrystusa²¹.

Źródłowe informacje o ludwisarzach osiadłych w pomorskich miastach odnajdujemy dopiero w drugiej połowie XV wieku, należą do nich Stralsund, Szczecin i Stargard²². Dużą ilość nowych dzwonów odlewanych na potrzeby pomorskich kościołów można zauważyć szczególnie w drugiej połowie XVI wieku, a ich wytwarzaniem zajmowali się rzemieślnicy pracujący w Stralsundzie, Stargardzie, Szczecinie, Anklam, Greifswaldzie²³ oraz w Słupsku

i Kołobrzegu. W tym okresie, z dwoma ostatnimi miastami wiązać można działalność dwóch ludwisarzy: Bartholomaeusa Koelera²⁴ (czynny w Kołobrzegu w latach około 1580-1602) i Didericka Beckmanna (czynny w latach około 1574-1594), których dzwony koncentrują się w miejscowościach położonych w najbliższej okolicy Kołobrzegu i Słupska.

Na pozycję przodującego ośrodka ludwisarskiego wysunął się w ciągu drugiej połowy XVI i początku XVII wieku Stargard, który swoimi wyrobami „zarzucił” teren pogranicza pomorsko – nowomarchijsko – polskiego, a w tym i obszar obecnego powiatu drawskiego. Nastąpiło to za sprawą kilku prężnych warsztatów, przede wszystkich rodziny Karstede, działającej w latach 1554-1628, Josta van Westena (1554-1584) i Hansa Monnicka (1587-1616).



Gronowo, pow. drawski. Dzwon, Jochim I Karstede, ludwisarz stargardzki, 1571. Fot. M. Majewski

21 Te ostatnie są niezwykle podobne do wizerunków hostii z form służących do ich wypieku, por. K. M. Rudy, *Manuscripts from Zutphen, Lamb of God Roundels, and a New Iconography of Penance*, „Quarendo”, 41, 2011, s. 369.

22 Hans Gise w Stralsundzie (1439); Marten Matties w Stargardzie (1464); Hans Harder w Szczecinie (1475).

23 Hans Koler, Hans Kolpe, Hans Thurmann w Stralsundzie; Jochim I Karstede, Jost von Westen, Merten Dames?, Jochim II Karstede, Hans Monnick, Jacob Karstede; Jacob Schomaker w Stargardzie; Thomas Bruggemann, Merten Schroder, Jochim Becken, Jochim Teskendorp, Jochim Krumbecke, Peter Krumbecke, Lorenz Bruggemann, Andreas Bruggemann, Andreas Becken, Rolof Klassen, Jacob Stelmaker ze Szczecina; Benedict Hein, Michael Schroder z Anklam; Dinniges Droise z Greifswaldu.

24 F. Merten, *Aus Alt-Kolberger Registern*, „Baltische Studien”, Bd. XLI, 1939, s. 124. Jego dzwon z 1588 roku odnotowano w Jyllinge w Danii; por. H. Nyholm, *Kirkeklokker i Danmark*, Moesgard 1996, s. 42.

Dr Marcin Majewski (ur. 1975-), absolwent Instytutu Prehistorii UAM. Jeszcze jako student uczestniczył w badaniach archeologicznych na terenie zespołu poklasztornego w Bierzwniku. Od 2001 kieruje badaniami wykopaliskowymi na obszarze Starego Miasta w Stargardzie; od 2007 dyrektor placówki. 2005 opublikował pracę doktorską. Podczas badań archeologicznych w Stargardzie skupił się na klasztorze eremitów-augustinianów oraz na zabudowie kwartałowej miasta polokacyjnego. Jego prace naukowe dotyczą szeroko rozumianej kultury materialnej mieszkańców obszaru nadbałtyckiego, ze szczególnym naciskiem na teren Pomorza.

Autor ponad publikacji dotyczących historii Stargardu Szczecińskiego i okolic. Najważniejsze to:

- Dawny Stargard - miasto i jego mieszkańcy (Stargard 2000)
- Katalog zabytków powiatu stargardzkiego (t.1-2) Stargard 2010
- Zabytki powiatu stargardzkiego. Stargard Szczeciński 2013.



Jarosław Leszczelowski

Von Arnimowie z Siemczyna (II)

W poprzednim numerze Zeszytów zakończyliśmy opowieść o siemczyńskiej posiadłości rodziny von Arnim w latach wojen napoleońskich. Opisywałem tam między innymi epizod związany ze splądrowaniem pałacu i majątku ziemskiego. Był to czas częstych rekwizycji i obowiązkowych dostaw, egzekwowanych skutecznie i brutalnie przez francuskie służby kwatermistrzowskie. Po wygaśnięciu działań wojennych na Pomorzu, właściciele miejscowych posiadłości przystąpili do odbudowy swych zrujnowanych gospodarstw.

Sprzedaż Piaseczna

Okres wojen napoleońskich musiał w poważny sposób nadwyrężyć siemczyńską posiadłość. Jeszcze w 1800 r. Heinrich August von Arnim nie narzekał na brak środków finansowych, gdyż właśnie wtedy wykupił z rąk wierzycieli rodowy majątek Werbelow i odważnie inwestował w budynki gospodarcze w Siemczynie. Cztery lata wcześniej znacznie rozbudował pałac, a także zakupił Rzepowo i Piaseczno, wydawnie powiększając siemczyński majątek ziemski. Później przyszedł dramatyczne wydarzenie wojenne, o po ich zakończeniu w 1812 r. Heinrich August zabrał się do odbudowy zrujnowanej wojną majątności. Nie było to jednak łatwe. Nie można też było liczyć na pomoc państwa, gdyż niemal wszystkie pomorskie majątki ziemskie ucierpiały w podobny sposób. Nie było wyjścia, żeby pozyskać środki finansowe właściciel Siemczyna zdecydował się uszczuplić swoje włości o wieś Piaseczno, sprzedając ją Johanowi Gottfriedowi Gruetzmacherowi. Nastąpiło to więc zaledwie

16 lat po zakupie tej miejscowości. Johann Gottfried był potomkiem pastora Johanna Gruetzmachera, który w szesnastym stuleciu poświęcił nowo wybudowany ewangelicki kościół w Piasecznie. Przed zakupem Piaseczna Johann Gottfried mieszkał w Świerczynie, gdzie posiadał pokaźne gospodarstwo i tytuł wolnego sołtysa lennego. W ówczesnym Piasecznie nie było zabudowań folwarcznych i dworu, dlatego Johann Gottfried wzniósł kompleks folwarczy i nową osadę dla robotników rolnych nad północnym brzegiem jeziora Wielki Piasecznik. Wcześniej stare Piaseczno znajdowało się nieco dalej na północ. Wkrótce stara wieś, położona wokół szesnastowiecznego kościółka, zaczęła się wyludniać. Według Fritza Bahra ¹ mieszkańcy starego Piaseczna nie osiedlili się w nowej wsi nad jeziorem, lecz przenieśli się do Rzepowa i Siemczyna. Przy majątku ziemskim powstało więc zupełnie nowe Piaseczno, którego mieszkańcy korzystali jednak z cmentarzyka położonego na dziedzińcu starego kościółka. Chłopskie chałupy w dawnej wsi rozebrano, a obejścia przeznaczono na pola uprawne. Włościanie ze starej osady przenieśli się więc do rzepowsko-siemczyńskiej posiadłości von Arnimów. Dlaczego tak się stało? Być może takie były zapisy kontraktu między von Arnimem a Gruetzmacherem.

Wprawdzie już w 1807 r. w Królestwie Prus zniesiono pańszczyznę, ale w 1812 r. mogli z tego skorzystać tylko nieliczni i najzamożniejsi chłopci. Wątpliwe, żeby tacy mieszkali w ówczesnym Piasecznie. Jeśli więc kontrakt przewidywał pozostanie poddanych przy von Arnimach, to tak się z pewnością stało.



Po lewej: na mapie Barona von Schmettau z 1789 r. zaznaczono dawne położenie Piaseczna. Wieś nie leżała jeszcze bezpośrednio nad brzegiem jeziora Wielki Piasecznik. Po prawej: na mapie Reymanna z połowy XIX w. nowa wieś Blumenwerder leży już nad brzegiem jeziora

¹ F. Bahr, *Auf dem alten Kirchenhugel bei Blumenwerder, Unser Pommernland*, zeszyt 5, Szczecin, 1932, s. 170-171.

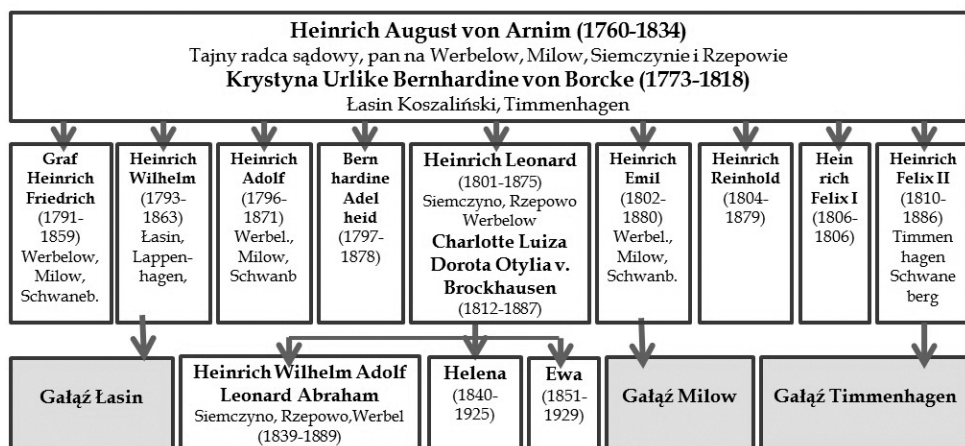
Warto zwrócić uwagę na fakt, że zniesienie pańszczyzny w Prusach było efektem wojen napoleońskich i idei rozprzestrzeniających się po całej Europie wraz ze zwycięskim marszem francuskiej armii rewolucyjnej. W 1811 r. król pruski wydał tzw. edykt regulujący, według którego chłopci mogli stać się właścicielami gospodarstw, na których pracowali, ale pod warunkiem wykupienia się z dotychczasowych zobowiązań pańszczyźnianych.

Bardzo możliwe, że Gruetzmacher ściągnął do nowej osady wolnych osadników z innych miejscowości. Ponadto energiczny Johann Gottfried zbudował szkołę, a w 1819 r. kościół (według innych źródeł w 1820 r.). Te poważne inwestycje zrealizował z własnych środków, pomimo kryzysu ekonomicznego, który ogarnął pruskie państwo.

Heinrichowie z Heirichsdorfu

Tylko najstarszy syn Heiricha Augusta von Arnima – Heinrich Friedrich - urodził się w Berlinie, wszystkie pozostałe dzieci przyszły na świat w siemczyńskim pałacu, a była ich liczna gromadka. Heinrich August wprowadził pewną tradycję rodzinną, którą kontynuowali jego synowie. Otóż każdy męski potomek Heinricha Augusta miał odtąd na pierwsze imię Heinrich, a dopiero drugie było specyficzne dla danej osoby. I tak synowie Heinricha Augusta nosili następujące imiona: Heinrich Friedrich, Heinrich Wilhelm, Heinrich Adolf, Heinrich Leonard, Heinrich Emil, Heinrich Reinhold oraz Heinrich Felix. Reguła ta miała niewątpliwie związek z zakupem wsi Heinrichsdorf (Siemczyno) jako nowej siedziby rodowej.

20 lipca 1790 r. Heinrich August poślubił Krystynę Urlykę Bernardynę von Borcke (podkreślone imię było używane na co dzień) ze Starogrodu Łobeskiego, która wniosła z wianem majątki ziemskie w Łasinie Koszalińskim i Timmenhagen. Majętności rodzinne były więc znaczne. Małżeństwo z Krystyną Borkówną przyniosło von Arnimowi



Fragment drzewa genealogicznego rodziny von Arnim. Na bazie informacji pochodzących od stowarzyszenia „Von Arnim’scher Familienverband e.V”.

dziewięcioro potomstwa, w tym tylko jedną córkę. Synowie podzielił się później posiadłościami, a niektórzy z nich utworzą nowe gałęzie rodziny, nazywane w historiografii rodzinnej „domami”.

Najstarszy syn Heinrich Friedrich oddał się karierze dyplomaty i jako jedyny z tej gałęzi rodziny dostał tytułu barona, do czego jeszcze wrócimy.

Po wprowadzeniu się małżeństwa von Arnimów do Siemczyna na świat przyszedł drugi syn - Heinrich Wilhelm, który później odziedziczył majątki w Łasinie (Lassehne) i Lopiennicy (Lappenhagen). Heinrich Wilhelm stał się założycielem „domu Łasin”.

Niespełna trzy lata później, 9 stycznia 1796 r. urodził się trzeci syn - Heinrich Adolf, a rok po nim (2 maja 1797 r.) córka Bernardina Adelaida. Czwartym synem był późniejszy dziedzic Siemczyna, Rzepowa i Piaseczna i założyciel „domu Siemczyno” - Heinrich Leonard (ur. 29 września 1801 r.), o losach którego opowiem poniżej. 8 grudnia 1802 r. Krystyna von Arnim obdarowała męża piątym synem Heinrichem Emilem, który będzie protoplastą „domu Milow”. W następnych latach w siemczyńskim pałacu przychodzili na świat kolejni synowie: Heinrich Reinhold (16 lipiec 1804 r.) oraz Heinrich Felix (12 stycznia 1806 r.). Ten ostatni zmarł w wieku niemowlęcym, dlatego też kolejnemu synowi nadano takie same imiona i cyfrę rzymską II (Heinrich Felix II urodzony 24 kwietnia 1810 r.). Heinrich Reinhold zmarł bezpotomnie w 1879 r., natomiast Heinrich Felix II odziedziczył Timmenhagen i stał się protoplastą domu związanego z tą miejscowością.

Pierwszą poważną tragedią, która dotknęła Heinricha Augusta i Krystynę, była wspomniana powyżej śmierć pięciomiesięcznego synka - Heinricha Felixa I. Nie wiemy, co było przyczyną tego zgonu. Chłopczyk ten był pierwszym von Arnimem, który został pochowany w Siemczynie. Nasuwa się pytanie, gdzie spoczęły doczesne szczątki tego dziecka. W starej kościelnej krypcie rodziny von der Goltz nikogo chyba już nie chowano. Prawdopodobnie właśnie w czasach rodziny von Arnim założono grobowiec w parku pałacowym, który był później wykorzystywany przez rodzinę von Bredow.

Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami. To przysłowie sprawdziło się w 1807 r., gdyż właśnie wtedy doszło jeszcze do opisanych w poprzednim



Cmentarz w parku pałacowym w Siemczynie

artykule rabunków siemczyńskiej posiadłości przez wojska napoleońskie: francuskie, niemieckie i polskie.

Krystyna von Borcke, pomimo tego, że była trzynastcie lat młodsza od swego małżonka, zmarła już 18 lipca 1818 roku w Siemczynie. Ona również została pochowana w parkowym grobowcu von Arnimów.

Trzy lata później dwudziestoczteroletnia córka Heinricha Augusta poślubiła Ernsta Theodora Alberta Eugena von Borce ze Starogardu Łobeskiego, czyli kuzyna swej zmarłej matki. 5 października 1821 w siemczyńskim pałacu odbyły się ślub i huczne wesele pary młodej.

Heinrich August von Arnim zmarł 19 stycznia 1834 r. i spoczął obok swej żony na cmentarzyku w pałacowym parku.

Dziedzicem Siemczyna, Rzepowa i Piaseczna został Heinrich Leonard. Rodzice zadbali o jego staranne wykształcenie, gdyż ukończył Szkołę Rycerską w Brandenburgu i następnie studia pedagogiczne w Halle. Początkowo robił karierę urzędniczą, będąc referendarzem w wyższych sądach w Koszalinie i Królewcu, jednak po śmierci ojca zwolnił się ze służby państwowej i zamieszkał w Siemczynie, gdzie gospodarzył do swej śmierci. 1 czerwca 1837 r. w pałacu rodziny von Brockhausen w Żołędowie (Mittelfelde) odbył się ślub Heinricha Leonarda z panną Charlottą Luizą Dorotą Ottillą von Brockhausen, która była młodsza od niego o 11 lat. Panna młoda wywodziła się z rodu, który miał swe posiadłości w Żołędowie oraz Mielenku. Małżeństwo miało dziewięcioro dzieci, spośród których aż sześcioro zmarło w wieku niemowlęcym przed osiągnięciem jednego roku życia. Tylko troje rodzeństwa osiągnęło wiek dorosły. Dwa lata po ślubie (13 września 1839 r.) urodził się pierwszy syn - Heinrich Wilhelm Adolf Leonard Abraham, 25 października 1840 r. córka Helena Adelajda Feliksa Ottillia, a 7 lipca 1851 r. kolejna córka Ewa.

Po objęciu siemczyńskiej posiadłości Leonard nie zrezygnował z działalności publicznej, gdyż w 1843 roku został powiatowym posłem do landtagu Prowincji Pomorskiej. Jako członek partii konserwatywnej prowadził ożywioną działalność polityczną. Od roku 1850 był członkiem Pruskiej Izby Poselskiej. W latach 1867-74 wybierany był z okręgu Koszalin 4, który obejmował powiaty drawski, świdwiński i białogardzki. Rok później wybrano go z kolei z okręgu Koszalin 5, obejmującego powiat szczecinecki.

Najważniejszą siemczyńską pamiątką po Heinrichu Leonardzie von Arnimie jest ceglany neogotycki kościół, który został wzniesiony w latach 1854-1856, przy jego współfinansowaniu. Przy



Negotycki kościół wzniesiony w latach 1854-1856 dzięki staraniom Heinricha Leonarda

okazji budowy tej nowej świątyni w jej fundamentach zamurowano tzw. kapsułę czasu. Umieszczono tam dokument, który wyjaśnia okoliczności budowy kościoła. Stara świątynia została rozebrana jeszcze w 1847 roku. Rok później położono fundamenty pod nowy budynek. Oczywiście rozbiórka dotyczyła jedynie szachulcowego zboru, a nie przylegającej do niej murowanej kaplicy von der Goltzów, wzniesionej jeszcze w 1699 r., która stała się przybudówką do nowego ceglanego kościoła. Powstanie tego neogotyckiego zboru było zasługą ówczesnego patrona kościoła - Heinricha Leonarda von Arnima i miejscowego pastora Rudolfa Volratha. Pamiątką po rodzinie patronów są stare kościelne organy, które można obejrzeć, wchodząc na chór. Są one dziś mocno zniszczone, wiele piszczałek powyłamywano, ale mimo to stanowią jeden z ciekawszych elementów wystroju tej wiejskiej świątyni. Na organach widnieje piękny, stylizowany napis w języku niemieckim: *„Te organy подарował tajny radca rzeczywisty Heinrich Friedrich Graf von Arnim, najstarszy brat patrona siemczyńskiego kościoła. 1856”*.

Instytucja patronatu polegała na opiece nad kościołem oraz obowiązku współfinansowania niektórych przedsięwzięć. Funkcję patrona wiejskich kościołów sprawowały najczęściej rodziny szlacheckie z najbliższych majątków ziemskich. Tak było też w Siemczynie, gdzie patronat sprawowali von der Goltzowie, a po nich von Arnimowie. Poza obowiązkiem opieki patroni cieszyli się pewnymi przywilejami, m. in. mieli stałe honorowe miejsca podczas nabożeństw, a także prawo do grzebania członków rodziny w kościelnej krypcie. Z tej drugiej możliwości von Arnimowie



Ceglany kościół w Siemczynie. Na pierwszym planie barokowa kaplica von der Goltzów



Stare organy ufundowane przez Henricha Friedericha grafa von Arnima oraz napis wskazujący na ich fundatora

nie korzystali, gdyż stosunkowo niewielka krypta była już wypełniona trumnami z doczesnymi szczątkami von der Goltzów.

Brat Heinricha Leonarda, fundator siemczyńskich organów, Heinrich Friedrich von Arnim był postacią nietuzinkową. Po klęsce napoleona w Rosji, a może nieco wcześniej, młody von Arnim wstąpił do oddziałów partyzanckich walczących przeciwko francuskiej armii. Robił to tym chętniej, gdyż jako dziecko był świadkiem plądrowania ojcowskiego majątku w Siemczynie. Po zakończeniu wojny owiany sławą bohatera Heinrich Friedrich zaczął robić imponującą karierę w dyplomacji. Początkowo sprawował funkcję sekretarza w pruskich przedstawicielstwach w Sztokholmie i Paryżu. W 1831 r. przypadła mu znacznie poważniejsza i samodzielna posada pruskiego ambasadora w Brukseli. Miał wtedy czterdzieści lat. Po dziesięciu kolejnych latach został ambasadorem w Paryżu, co było bardzo prestiżową funkcją. W latach 1845-48 wysunięto go na nie mniej ważne stanowisko ambasadora w Wiedniu. Szczyt kariery osiągnął 24 lutego 1849 r., kiedy został ministrem spraw zagranicznych królestwa Prus, jednak już 3 maja tegoż roku złożył rezygnację, gdyż nie zgadzał się z kierunkiem ówczesnej polityki. Nie oznaczało to końca jego zawodowej działalności, gdyż w latach 1851-57 piastował stanowisko ambasadora w Wiedniu. Umarł 18 kwietnia 1859 r., nie zostawiając żadnych potomków. Dodajmy jeszcze, że Heinrich Friedrich był nie lada smakoszem, dlatego dla odróżnienia od innych krewniaków nazywany był „Kuchenarnim” (Ciastowy Arnim).

Podczas budowy nowego kościoła w latach 1854-56 odsłonięto wnętrze krypty rodziny von der Goltz. Heinrich Leonard von Arnim kazał wtedy otworzyć metalowy sarkofag, gdzie obok szczątków zmarłego Goltza znaleziono złotą szpadę. Heinrich Leonard odrzucił propozycję żydowskiego mieszkańca Siemczyna - Gabriela Laasera, gdy ten miał zaoferować von Arnimowi 300 talarów za tę szpadę. Heinrich Leonard miał odpowiedzieć, że nie wolno tego przedmiotu odbierać zmarłemu. Pomimo takiego szlachetnego stanowiska patrona kościoła grobowiec i tak został obrabowany w tym czasie, a szpada została skradziona.

W połowie XIX stulecia zarządzana przez Heinricha Leonarda posiadłość siemczyńska miała się chyba bardzo dobrze. Wykonana na potrzeby pruskiej armii przez kartografa Daniela Gottlieba Reymanna mapa pozwala na zapoznanie się z położeniem zasadniczych obiektów gospodarczych tej majątności. W jej obrębie pracowało kilka młynów wodnych: w Rzepowie, Głębocku oraz dwa nad jeziorem Wilczkowo. W Głębocku zmieniono nawet przebieg koryta Drawy, żeby uzyskać potrzebny spadek poziomu wody. W Rzepowie znajdowała się owczarnia, a dwa wiatraki pracowały w Siemczynie i Warniłęgu.

Heinrich Leonard zmarł 18 listopada 1875 r. w Siemczynie i tam został pochowany. Jego małżonka żyła jeszcze 12 lat, do 25 października 1887 r.

Kryzys

Omówienie ostatnich lat von Arnimów w Siemczynie zaczniemy od przytoczenia legendy, która opowiadana była w Siemczynie na początku XX wieku i znalazła się w zbiorze legend powiatu szczecińskiego:

„Pałac w Siemczynie (Heinrichsdorf) był przez długie lata w posiadaniu rodziny von Arnim. Przed wielu laty jeden z właścicieli z tego rodu wydawał znacznie więcej pieniędzy, niż wynosiły przychody miejscowego majątku ziemskiego. Jego syn i spadkobierca musiał z tego powodu żyć bardzo oszczędnie. Niestety, nic to nie pomogło i posiadłość poszła „pod młotek”, a zrozpaczony właściciel popełnił samobójstwo. Z tego powodu rozrzutny ojciec musiał odpokutować swą winę. Od tej pory w pałacu dzieją się dziwne rzeczy, szczególnie w godzinę duchów. Podczas pełni księżyca wszystkie świece na wielkim kandelabrze w Sali Rycerskiej zapalają się samoczynnie, natomiast długi stół nakrywa się licznymi potrawami, jak podczas wielkiego święta. Za stołem zasiada zaś duch starego von Arnima, wokół którego tłoczą się liczni dostojni goście. Wszyscy ubrani są staromodnie: pudrowane peruki, spodnie do kolan i rajstopy. Goście mają poważne miny i bardzo blade oblicza. Pojawiały się też duchy zmarłych służących. Opowiadano też, że w Sali Rycerskiej dał się słyszeć dziki rumor, jak gdyby całe wyposażenie sali było rozrzucone i rozbijane. Kiedy godzina duchów dobiegała do końca, wszystkie duchy z niehumanym wyciem i skargami wycofywały się do tajemniczych ukryć i przejść, natomiast rankiem mieszkańcy pałacu zauważali zawsze duże zmiany w wyglądzie Sali Rycerskiej.”

Legendę należy oczywiście traktować z przymrużeniem oka, lecz niektóre jej elementy budzą zastanowienie w kontekście sytuacji siemczyńskiej posiadłości w końcu XIX wieku. Wrócimy do tego tematu.

Nie ma wątpliwości, że Heinrich Leonard był w znacznie trudniejszej sytuacji niż jego ojciec dysponujący licznymi posiadłościami, a co za tym idzie, pokaźnymi środkami finansowymi. Leonard odziedziczył tylko jedną majątność, gdyż pozostałe włości przypadły jego licznemu rodzeństwu. Powstaje pytanie, czy nie inwestował zbyt odważnie, nie

spodziewając się nadchodzącego kryzysu? Tego nie wiemy, a wskazówki zawarte w legendzie to zbyt mało, by pokusić się nawet na hipotezę.

Być może pierwszym sygnałem nadchodzącego kryzysu była sprawa młyna w Rzepowie. W połowie XIX wieku, zawiązano w Czaplinku Stowarzyszenie Drawy, którego celem było kolejne obniżenie lustra wody jeziora Drawsko. Członkowie tej spółki zainwestowali swoje środki, żeby pogłębić koryto Drawy i w ten sposób odprowadzać więcej wody z jeziora, uzyskując cenny areal ziemi uprawnej, który można było wówczas korzystnie sprzedać lub samodzielnie uprawiać. Innym powodem obniżenia poziomu jezior Drawsko i Żerdno była budowa szosy z Czaplinka do Połczyna Zdroju. Obniżanie lustra wody leżało jednak w sprzeczności z interesami młyna w Rzepowie, należącego do von Arnimów. Członkowie stowarzyszenia postanowili więc działać metodycznie. Wykupili ten młyn, żeby móc już bez przeszkód zabrać się do pogłębiania Drawy w rejonie Rzepowa. Zerwano wtedy zapory służące spiętrzaniu wody, co oznaczało koniec rzemiosła młynarskiego w tej wsi. To obniżenie lustra wody miało miejsce w 1858 r. Sprzedaż młyna przez von Arnimów mogła wskazywać na kłopoty finansowe właścicieli siemczyńskiego majątku, zwłaszcza, że stosunkowo niedawno ponieśli oni znaczne koszty związane z budową kościoła.

Nadeszły bardzo ciężkie czasy dla pomorskiego rolnictwa. Jednym ze skutków wojny secesyjnej w Ameryce Północnej był intensywny proces osadnictwa na tzw. Dzikim Zachodzie. Gwałtownie wzrastał areal ziemi uprawnej w Ameryce, a co za tym idzie, produkcja zboża. W latach siedemdziesiątych XIX stulecia tanie zboże z Ameryki zalało całą Europę. Ceny spadały, a pod koniec lat siedemdziesiątych ogromna liczba majątków ziemskich w Cesarstwie Niemieckim miała poważne kłopoty. Rozpoczął się tzw. kryzys agrarny. Rząd próbował ratować sytuację przez podwyższanie cel, ale nie uratowało to wielu pomorskich posiadłości, które popadały w zadłużenie. W latach osiemdziesiątych XIX w. sytuacja nie uległa poprawie, gdyż na europejskim rynku oprócz amerykańskiego pojawiło się rosyjskie, indyjskie, kanadyjskie, rumuńskie, australijskie i argentyńskie zboże. Wydaje się pewnym, że takie poważne problemy dotknęły bezpośrednio siemczyński majątek von Arnimów.

Heinrich Leonard zmarł w 1875 r., co oznacza, że nie doczekał kryzysu agrarnego, który nadszedł nieco później. Z olbrzymimi trudnościami przyszło się natomiast zmierzyć jego synowi Heinrichowi Wilhelmowi Adolfowi Leonardowi Abrahamowi, który, jak przystało właścicielowi Heinrichsdorfu, używał na co dzień swego pierwszego imienia Heinrich. Nie znamy żadnych faktów dotyczących jego sposobu gospodarowania. Wiadomo jedynie, że w 1885 roku Heinrich sprzedał posiadłość Werbelow w kraju Uckermark. Cztery lata później, 23 października 1889 r. zmarł,

mając zaledwie pięćdziesiąt lat. Czy zmoęła go choroba, czy teę troski związane z gospodarzeniem w bardzo trudnej sytuacji ekonomicznej? A moę wersja z przedstawionej legendy odpowiadała rzeczywistości? Zadałem te pytania członkom stowarzyszenia rodziny von Arnim, ale w dokumentacji rodzinnej również nie ma potrzebnych nam odpowiedzi. Jednak nic nie wskazuje na to, żeby von Arnim popełnił samobójstwo. Kłopoty gospodarcze dotykały wówczas wielu ziemian, lecz nikt z tego powodu nie odbierał sobie życia.

Heinrich był człowiekiem samotnym, nie miał więc potomstwa. Dlatego teę majątność w Siemczynie odziedziczyła prawdopodobnie jego siostra Helena von Hymnen z domu von Arnim. Taka informacja została zapisana w monografii rodzinnej, ale w rozmowie z jej współtwórcą użyłem następującą informację:

„ [...] po śmierci Leonharda von Arnim dziedzicem był jego syn Heinrich. 7 względnie 8 lat po jego śmierci posiadłość została sprzedana. Niejasnym jest, kto odziedziczył i sprzedał majątek w 1889 r. po śmierci Heinricha (kawaler, bez potomków). Prawdopodobnie była to Helena von Hymnen, ur. von Arnim, siostra Heinricha. Jest jedna wskazówka, że ona właśnie sprzedała Heinrichsdorf w 1896 r. – tego jednak nie mogę udokumentować. Jest to więc tylko przypuszczenie. Należy więc powiedzieć, że spadkobiercy Heinricha von Arnim w latach 1896/97 sprzedali tę posiadłość.”

Z drugiej strony w książce adresowej majątków ziemskich z 1892 roku, znajdziemy informację, że posiadłość naleęła do Ewy von Arnim, czyli młodszej siostry Heinricha, która jak widać była niezamężna. Ponadto zapisy w księgach adresowych wskazują, że do sprzedaży siemczyńskiej posiadłości musiało dojść nieco wcześniej, gdyż w 1895 r. jako właścicielka tej posiadłości wymieniona jest Meta von Hensch (później von Puttkammer).

Wróćmy jeszcze do opisanego w legendzie rzekomego bankructwa majątku w Siemczynie. Być moę faktycznie jeszcze za życia Heinricha część posiadłości za długi przejął bank, gdyż w latach dziewięćdziesiątych kosztem 952 hektarów ziemi naleęącej dawniej do von Arnimów utworzono dwadzieścia tzw. gospodarstw rentowych³. W 1890 roku wysęła specjalna ustawa, która umożliwiała powstawanie takich gospodarstw. Osadnicy mogli pozyskać spory areał ziemi, nie posiadając środków na jej zakup, gdyż mogli swe gospodarstwa spłacać przez wiele lat, uiszczając opłaty w postaci tzw. renty. Innymi słowy zakup gospodarstwa kredytował bank, który był właścicielem ziemi do momentu jej pełnej spłaty przez osadnika. Rentowe gospodarstwa powstawały teę poprzez powiększanie istniejących zagród chłopskich.

2 Email do autora od Jaspera von Arnima

3 F. Stelter: *Der Kreis Neustettin*. Holzner Verlag, Würzburg 1972, S. 354.

Innymi słowy w latach dziewięćdziesiątych XIX w. doszło do częściowej parcelacji siemczyńskiej posiadłości. Pomniejszona o 952 hektary została w 1895 r. sprzedana przez rodzinę von Arnim, co zakończyło rozdział dziejów Siemczyna związany z tą rodziną.

Jarosław Leszczelowski (ur. 1963-) ukończył studia informatyczne na Uniwersytecie Bundeswehry w Monachium. Od wielu lat zajmuje się historią Pojezierza Drawskiego. Jest autorem dziewięciu książek o historii tego regionu, m. in.: *Ostatnie stulecie Falkenburga* (2007), *Złocieniec. Przygoda z historią* (2007), *Od nazistowskiej twierdzy do polskich koszar. Historia obiektu w Budowie koło Złocieńca* (2008), *Pojezierze Drawskie zaklęte w starej widokówce* (2008); trzech publikacji broszurowych i wielu artykułów. W 2012 r. po trzydziestu latach powrócił w swoje rodzinne strony. Pracuje w Gdańsku jako menadżer IT. W dniu 28 lutego 2007 r. Rada Miasta Złocieniec nadała mu tytuł Honorowego Obywatela Miasta i Gminy Złocieniec.



Jarosław Leszczelowski

Z dziejów Ordensburga nad Krosinem

W artykule wykorzystałem obszerne fragmenty napisanego przeze mnie rozdziału „Ordensjunkerzy – elita czy zbrodniarze?” zawartego w książce „Od nazistowskiej twierdzy do polskich koszar” oraz fragmenty książki mojego autorstwa „Wokół jeziora Siecino. Wędrówki w pięciu wymiarach”, która ukazała się w sierpniu 2014 r.

Gdzieś na uboczu, nad urokliwym jeziorem Krosino, położonym między Złocięncem a Siemczynem, znajduje się obiekt, który należy do najbardziej intrygujących i tajemniczych na całym terenie Pojezierza Drawskiego. Każdego, kto zapędzi się w te strony, może zaskoczyć widok dwóch strzelistych wież, które jeden z moich przyjaciół obrazowo porównał do tolkienowskiej wieży Barad-dur w krainie Mordoru. Im bardziej zagłębimy się w historię tego obiektu, tym bardziej doceniać będziemy trafność tego porównania.

Mroczny Ordensburg nad Krosinem

Ordensburg (zamek zakonny) nazywany był wcześniej Parteiburgiem (zamek partyjny) lub Schulungsburgiem (zamek szkoleniowy). Te trzy nazwy właściwie oddają jego przeznaczenie; był to więc partyjny ośrodek szkoleniowy dla młodej kadry NSDAP. Nazwa „Ordensburg” wskazuje na charakter tego szkolenia, którego celem miało być ukształtowanie masy bezwarunkowo oddanych Hitlerowi „zakonników” i „bojowników światopoglądowych”. Warto przytoczyć jeszcze zdanie jednego z największych specjalistów, Fritza A. Heinena, który określił ordensburgi jako „monumentalne ślady obłędnego i niezwyklego eksperymentu służącego manipulowaniu ludźmi w interesie przestępczego reżimu”.



Wieże dawnego Ordensburga nad Krosinem, widok od strony południowej. Fot. M. Leszczelowski

Pełny opis historii i architektury Ordensburga nad Krosinem zdecydowanie wykracza poza ramy niniejszego artykułu, dlatego poniżej przedstawię tylko kilka istotnych faktów i informacji.

Budowę nazistowskich ośrodków szkoleniowych finansował początkowo Niemiecki Front Pracy (DAF), który powstał w miejsce wcześniej rozwiązanych związków zawodowych. Miały to być dość prymitywne obiekty, złożone głównie z baraków mieszkalnych. Dopiero architekt Hermann Geissler przekonał władze DAF, że kształcenie nazistowskiej elity wymaga wspanialszych budowli. W ten sposób powstały trzy wielkie ośrodki szkoleniowe, nazywane ordensburgami, które nawiązywały nazwą i wyglądem do średniowiecznych twierdz zakonu krzyżackiego. Ośrodek w Sonthofen (w południowej Bawarii, na skraju



Hitler w Ordensburgu nad Krosinem podczas uroczystości otwarcia w 1936 roku

Alp w krainie Allgaeu, między Kempten i Oberstdorfem) zaprojektował wspomniany Geissler, a dwa pozostałe - w Vogelsang (w górach Eifel, na zachodnim skraju Niemiec w Nadrenii Północnej Westfalii, na południe od miasta Duerren) i w Złocieńcu - Klemens Klotz.

Planowano też utworzenie dwóch następnych ordensburgów: w Malborku i w okupowanej Polsce, w Kazimierzu koło Krakowa (Weichselburg - Zamek Wiślany).

Nazwa ośrodka ewoluowała na przestrzeni lat: początkowo ośrodek nazywano Ordensburg am Krossinsee, co znaczyło Zamek Zakonny nad Krosinem, a 16 maja 1941 roku przyjęto oficjalną, wydłużoną nazwę: NZ Ordensburg. Die Falkenburg am Krossinsee, czyli Narodowosocjalistyczny Zamek Zakonny Falkenburg nad Krosinem; powszechnie stosowano też skrót Kroessinsee lub Croessinsee.

Pompatyczne otwarcia niedokończonych jeszcze ośrodków odbyły się jednocześnie 24 kwietnia 1936 roku, przy czym Ordensburg nad Krosinem otwierał osobiście Adolf Hitler. Szkolenie w tym ośrodku rozpoczęło się jednak dopiero w październiku 1937 roku¹.

Przyciągnięcie tak wielkiej inwestycji do Złocieńca (Falkenburg) było niewątpliwym sukcesem miejscowych władz. To osiągnięcie można wytłumaczyć faktem, że wysoki urzędnik odpowiedzialny za kształcenie nazistowskich kadr partyjnych, Otto Gohdes, pochodził ze Złocieńca i tam wstąpił w szeregi nazistowskiej partii NSDAP. Gohdes jeszcze przed 1936 rokiem powrócił w swoje rodzinne strony, obejmując funkcję komendanta Ordensburga nad Krosinem.

Uczestników szkolenia w ordensburgach nazywano ordensjunkrami, junkrami lub kandydatami na wodzów (Fuehreranwaeter). Szkolenie było dostępne tylko dla starannie dobranych „uebermensców” („nadludzi”). Według zarządzenia Arbeitsanweisung nr 13/1938 o przyjęcie na kurs ubiegać się mogli jedynie mężczyźni o niemieckim obywatelstwie, w wieku od 23 do 26 lat. Kandydat musiał mierzyć bez butów minimum 160 centymetrów i nie mógł nosić okularów, ponadto konieczne było zaświadczenie o aryjskim pochodzeniu i o zdolności do zawarcia związku małżeńskiego. Przyszły fuehrer musiał mieć odbytą służbę wojskową i służbę pracy oraz być osobą w pełni zdrową. Powinien nie tylko być członkiem lub kandydatem do partii, ale i zasłużyć się pewną aktywnością w działalności partyjnej, przy czym w jej toku powinny ujawnić się cechy przywódcze².

Program szkoleniowy obejmował: naukę o rasie (prowadzoną przez biologa i filozofa), historię, naukę światopoglądową, filozofię, kulturę i sztukę, naukę o gospodarce, socjologię, nauki obronne, wiedzę o wrogach światopoglądowych i praktyczną pracę polityczną. Doskonałą analizę treści nauczanych w ordensburgach przeprowadził F. A. Heinen w swojej książce pod intrygującym tytułem „Bezbożni, bezwstydni, pozbawieni sumienia” („Gottlos, schamlos, gewissenlos”)³. Autor

1 R. Sawinski, *Die Ordensburg Kroessinsee in Pommern*, Euskirchen 1997, s. 25

2 Tamże, s. 25-26.

3 F. A. Heinen, *Gottlos, schamlos, gewissenlos. Zum Osteinsatz der Ordensburg-Manschaften*, Duesseldorf 2007, s. 126.

podkreśla, że narodowosocjalistyczna nauka o rasie stanowiła główny punkt ciężkości programu szkoleniowego. Przedmiot ten prowadzony był w duchu skrajnego antysemityzmu. Kluczowym hasłem głoszonej przez nazistów pseudonauki było przekonanie o wyższości tak zwanej rasy nordyckiej⁴. Czystość rasy miała decydować o powodzeniu narodu i państwa, a jej zanieczyszczenie było rzekomo przyczyną upadku wielu kultur. Synonimem zła i przeciwieństwem Aryjczyka był Żyd, który miał wносить stałe zagrożenie „zatruwania krwi ras twórczych”⁵. Takie treści, ubrane w pseudonaukową frazeologię, musiały trafiać na podatny grunt i pogłębiać antysemickie nastawienia słuchaczy. Oprócz Żydów do tak zwanych „podludzi” zaliczono Murzynów, Cyganów, Polaków, Rosjan i inne narody słowiańskie, niesprzymierzone z III Rzeszą⁶.

Dużą uwagę poświęcano kulturze fizycznej, dlatego junkrzy uprawiali wiele dyscyplin sportu: boks, lekkoatletykę, pływanie, jazdę konną, narciarstwo, szybownictwo, szermierkę i żeglarstwo. Program obejmował również musztrę i ćwiczenia wojskowe. Nauka trwała cztery lata, a kandydaci na wodzów szkolili się po jednym roku kolejno w każdym z ordensburgów: Krosino, Vogelsang i Sonthofen.

Szkolenie w ordensburgach zakończył wybuch wojny, gdyż większość słuchaczy i personelu została powołana do służby wojskowej. Obiekt wykorzystywano do innych celów.

Ordensjunkrzy w zdobytej Polsce

W piśmie informacyjnym Głównego Urzędu Personalnego Reichsorganisationsleiters zawarto następujące zestawienie dotyczące stycznia 1940 roku: 1033 ordensjunkrów i członków personelu służyło w Wehrmachcie, 270 realizowało zadania w Kraju Warty (Wielkopolska), na Pomorzu Gdańskim i w Generalnej Guberni, a 120 było odkomenderowanych do pracy w macierzystych okręgach⁷.

Polskiego czytelnika z pewnością zainteresuje zakres zadań realizowanych przez oddziały z ordensburgów na terenach okupowanej Polski. Sporo informacji na ten temat przynosi książka F. A. Heinena⁸, według której pierwsza wyprawa „rasowych wojowników” na Wschód miała miejsce bezpośrednio po zwycięskiej kampanii przeciw Polsce. Cele działań dla „swoich zakonników” precyzyjnie zdefiniował Hitler. Po upadku państwa polskiego miano odtworzyć „historyczną” i „etnograficzną” granicę Rzeszy Niemieckiej, przywrócić spokój i porządek oraz zorganizować na nowo życie gospodarcze, komunikację i „rozwoj cywilizacyjny”. Jednakże najważniejsze zadanie zdefiniowane przez

4 Tamże, s. 25-26.

5 Tamże, s. 27.

6 Tamże, s. 27.

7 R. Sawinski, *Die Ordensburg Kroessinsee in Pommern*, Euskirchen 1997, s. 13.

8 F. A. Heinen, *Gottlos, schamlos, gewissenlos. Zum Osteinsatz der Ordensburg-Manschaften*, Duesseldorf 2007

fuehrera polegało na zaprowadzeniu „nowego porządku etnograficznego”, co oznaczało przymusowe przesiedlenia ludności. Celem Hitlera było zarysowanie wyraźniejszych granic etnicznych i likwidacja znacznego rozproszenia ludności o niemieckich korzeniach⁹. Ta ostatnia, po starannej selekcji, która uwzględniała problematykę rasową, biologiczną, zdrowotną i charakterologiczną, miała być osadzana na terenach Rzeczypospolitej włączonych bezpośrednio do Rzeszy Niemieckiej. I tak do 1 grudnia 1940 roku na tereny Wielkopolski i Pomorza Gdańskiego przybyło około 170 tysięcy Niemców z Estonii, Łotwy, Wołynia, Galicji, „Obszaru Narwi” i Lubelszczyzny. Gdzie mieli zamieszkać ci liczni przybysze? Otóż miejsce dla nich powinno zostać możliwie szybko udostępnione przez brutalne przesiedlenia polskich chłopów i ludności żydowskiej do Generalnej Guberni. Tak zwany Plan Generalny „Wschód” przewidywał radykalną zmianę mapy etnicznej tej części Europy. W dalszej perspektywie niemiecka akcja osiedleńcza miała objąć inne terytoria Polski. Towarzyszyłyby jej oczywiście wysiedlenia miejscowej polskiej ludności na terytorium dawnego Związku Sowieckiego¹⁰.



Mapka ilustrująca akcję osiedlania Niemców ze wschodniej Europy na polskich terenach włączonych do III Rzeszy po klęsce wrześniowej w 1939 r.

Tak wyraźne przypomnienie tych faktów przez Heinena powinno mieć dla polskiego czytelnika szczególną i aktualną wymowę. Wiele osób po zachodniej stronie Odry chciałoby mówić o krzywdzie wypędzeń, ograniczając dyskusję do wydarzeń, które dotknęły ludność niemiecką

9 F. A. Heinen, dz. cyt., s. 44.

10 Tamże, s. 44-45.

w 1945 roku. Tymczasem, jak łatwo się przekonać, orężem masowych czystek etnicznych operowały władze niemieckie już na początku drugiej wojny światowej.

Do zaprowadzania „nowych porządków etnograficznych” użyto między innymi 270 ordensjunkrów i członków stałego personelu ośrodków (stammfuehrer).

Pierwszym ich zadaniem było stworzenie miejsca dla niemieckich przybyszów, innymi słowy „wojownicy rasy” uczestniczyli w brutalnym wyrzucaniu z mieszkań Żydów i Polaków. Ci pierwsi byli deportowani i izolowani w gettach na terenie Generalnej Guberni. Akcja ta nie obejmowała tylko terenów włączonych do Rzeszy. Wysiedlenia prowadzono między innymi w Warszawie, aby utworzyć dzielnicę niemiecką. Na terenie stolicy Polski zadaniem ordensjunkrów była też organizacja dwóch gett dla ludności żydowskiej. W swojej książce Heinen przytacza też kilka relacji z brutalnych akcji w Rawiczu, Łodzi i Poznaniu. Z raportów ordensjunkrów przebija duma ze sprawnie realizowanego zadania, brak tam natomiast śladu najmniejszej nawet refleksji. Na koniec autor książki podsumowuje: „Nie ma prawie żadnej relacji o akcji w Polsce, w której ordensjunkturzy i członkowie personelu z ośrodka Sonthofen nie wyrażaliby swojej nienawiści wobec ludności żydowskiej i pogardliwego stosunku do narodu polskiego”¹¹. Trudno o lepsze podsumowanie.

Sztab specjalny „R”

22 czerwca 1941 roku hitlerowskie Niemcy zaatakowały swojego dotychczasowego sojusznika - Związek Radziecki. Początkowe zwycięstwa Wehrmachtu doprowadziły do zajęcia olbrzymich obszarów, które objąć we władanie miały niemieckie władze cywilne, zarządzane przez ministra Alfreda Rosenberga. Ministrowi do spraw terenów zajętych na wschodzie Europy podporządkowano dwa Reichskomisariaty. Jeden dla Ukrainy i drugi dla Ostlandu, czyli Litwy, Łotwy, Estonii i Rusi Białej. Ukraiński Reichskomisariat podzielono 106 tak zwanych Gebietkomisariatów (komisariaty obszarów), a Reichskomisariat Ostland na 30 takich jednostek. Szef Gebietkomisariatu sprawował władzę porównywalną do niemieckiego Landrata (starosty). Jego zastępcą był tak zwany Stabsleiter (kierownik sztabu), który był odpowiedzialny za politykę i propagandę oraz, co ważniejsze, za „kwestię żydowską”¹².

Skoncentrujmy się na tych dwóch urzędnikach, gdyż, jak się okazuje, te funkcje w zdecydowanej większości obejmowali ordensjunkturzy i członkowie stałego personelu ordensburgów. Ministerstwo Rosenberga wyszukiwało odpowiednich ludzi na te kluczowe stanowiska. Najczęściej wybór padał na ordensjunkrów i członków stałego personelu. Według obliczeń Heinena do władz cywilnych na obszarach zajętych na wschodzie

11 Tamże, s. 46-47.

12 Tamże, s. 50.

Europy powołano co najmniej dwustu dziesięciu ordensjunkrów i członków stałego personelu¹³. Niektórzy z nich do realizacji zadań na zajętych terytoriach zostali odwołani specjalnym rozkazem z frontu.

Potęzną akcję przygotowania, przeszkolenia i wyposażenia administratorów cywilnych uruchomiono w Ordensburgu nad Krosinem, który od sierpnia 1941 roku znalazł się w dyspozycji Ministerstwa ds. Terenów Zajętych na Wschodzie. Komendant Gohdes z dumą wyliczał prace związane z organizacją Sztabu Specjalnego „R”, czyli przygotowaniem i wyposażeniem nazistowskich funkcjonariuszy. W ośrodku zatroszczono się również o odpowiednie ukształtowanie ideologiczne „rycerzy wschodu”, a wykłady były prowadzone przez najwyższych funkcjonariuszy NSDAP. Tym samym Ordensburg nad Krosinem miał bezpośredni związek z wydarzeniami, które rozegrały się na terenach zajętych przez armię niemiecką. Przez ten ośrodek przeszli niemal wszyscy członkowie niemieckich władz cywilnych, które ponoszą bezpośrednią odpowiedzialność za masowe mordy ludności żydowskiej na tych terenach. Przez ośrodek przewinęło się 12 000 podwładnych Alfreda Rosenberga, w tym 9 500 urzędników i 2 500 przywódców politycznych, szefów SA i ordensjunkrów¹⁴.

Pierwszym zadaniem władz cywilnych było uczynienie z zajętych terytoriów „spichlerza Rzeszy” i organizacja zaopatrzeniowego zaplecza dla walczącego Wehrmachtu. W praktyce oznaczało to zniewolenie miejscowej ludności i totalny wyzysk gospodarczy zniszczonego wojną kraju¹⁵. Zadaniem propagandy miało być zachęcenie miejscowej ludności do intensywnej pracy na rzecz Niemiec, co zagwarantowałoby w przyszłości uwolnienie od zagrożenia bolszewizmem. Nauczani pogardy do narodów słowiańskich członkowie władz cywilnych nie byli w stanie przekonać ludności o czystości swoich intencji, co skutkowało koniecznością realizacji nowych zadań: zwalczania narastającej działalności partyzanckiej. Podczas tej walki nie cofano się przed użyciem najbardziej brudnych metod i drakońskich środków. Wszystko na nic. Władze niemieckie nigdy nie stłumiły wzrastającego oporu.

Do innych zadań władz cywilnych należały: organizacja wywózek na przymusowe roboty do Niemiec oraz - w drugiej fazie wojny - niszczenie zasobów kraju przed nadejściem nacierającej Armii Czerwonej.

Równolegle skutecznie pracowała machina, której celem było „ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego”. W swojej książce Heinen uczynił bardzo istotne spostrzeżenie. Na zajętych przez armię niemiecką terenach mieszkała większość europejskich Żydów. W wielu miasteczkach stanowili oni ponad 50% ludności. Ten obszar znalazł się we władaniu ludzi o skrajnie antysemickim nastawieniu, wpajającym im między innymi w ordensburgach¹⁶.

13 Tamże, s. 57.

14 Tamże, s. 52.

15 Tamże, s. 62.

16 Tamże, s. 72.

Sprawnymi trybikami tej maszyny byli ordensjunkturzy, zajmujący kluczowe stanowiska w Gebietkomisariatach. Szybko sporządzano ewidencję ludności żydowskiej. Decyzję o zaliczeniu określonej osoby do narodu żydowskiego podejmowali członkowie władz cywilnych. Jak się później okazało, były to decyzje o życiu lub śmierci. Zanim to nastąpiło, władze niemieckie w cyniczny sposób dopuszczały do spontanicznych lub inspirowanych ekscesów antyżydowskich, realizowanych przez miejscową ludność. Zachowania te częściowo można wytłumaczyć chęcią rewanzu na komunistycznych funkcjonariuszach żydowskiego pochodzenia.

Zaczął się proces wprowadzania coraz większej liczby dyskryminujących zarządzeń, na którego końcu były masowe mordy. Żydzi zostali objęci obowiązkiem meldowania się i noszenia oznaczenia w formie żółtej gwiazdy Dawida. Odizolowaniu ludności żydowskiej służył też zakaz zawierania mieszanych małżeństw i udziału we wspólnych wydarzeniach kulturalnych. Kolejnym krokiem było pozbawienie możliwości udziału w życiu gospodarczym. Ludności żydowskiej wolno było wykonywać tylko pomocnicze prace fizyczne. Żydowskim fachowcom zezwolono na pracę w czysto żydowskich zakładach pracy, znajdujących się pod nadzorem niemieckiej administracji¹⁷. Dalsze przepisy zabraniały zmiany miejsca zamieszkania bez zgody Gebietkomisarza. Żydom nie wolno było chodzić po chodnikach i używać publicznych środków komunikacji. Wszystkie tego typu zarządzenia miały być utrzymywane w tajemnicy i były przekazywane ustnie reprezentantom społeczności żydowskiej¹⁸. Kolejnym krokiem było skupienie ludności żydowskiej w gettach i jej izolacja. Przesiedlenia te były połączone z bezprzykładnym rabunkiem żydowskiej własności. Getta powstawały w większych miastach, a tereny wiejskie były całkowicie „oczyszczane z ludności żydowskiej”.

Dostawy żywności do przeludnionych gett były bardzo ograniczone. Panował tam głód, ścisk, nędza i terror. Zabijanie bez powodu było na porządku dziennym¹⁹. Za sytuację w gettach bezpośrednią odpowiedzialność ponosiły niemieckie władze administracyjne.

Ewidencja ludności żydowskiej, wprowadzenie obowiązku pracy i noszenia gwiazdy, zabór mienia i skoncentrowanie jej w gettach to konsekwentnie prowadzone działania, mające na celu fizyczną likwidację społeczności żydowskiej. Za te drakońskie posunięcia bezpośrednią odpowiedzialność ponosiły niemieckie władze administracyjne, w których czołową rolę odgrywali ordensjunkturzy i członkowie stałego personelu ordensburgów. Gebietkomisarze i ich zastępcy wykonywali te działania z dużym zaangażowaniem i z pełną świadomością tego, co miało wydarzyć się wkrótce.

W drugiej połowie 1942 roku przyszła pamiętna akcja masowych mordów, dokonywanych przez tak zwane Einsatzgruppen, złożone

17 Tamże, s. 75.

18 Tamże, s. 77.

19 Tamże, s. 85.

z oddziałów niemieckiej żandarmerii, SS i lokalnych oddziałów ukraińskich, litewskich i łotewskich. Początkowo fala mordów wywołała stonowane protesty władz cywilnych, które były odpowiedzialne za gospodarcze wykorzystanie podbitych terenów i dla których siła robocza ludności żydowskiej miała duże znaczenie. Nieśmiało protesty dotyczyły jednak nie samych mordów, lecz dokonywania ich w sposób jawny, co zagrażało porządkowi publicznemu i wywoływało niepotrzebną panikę²⁰. Wkrótce sprawy gospodarcze zeszły na dalszy plan, a głównym celem stała się fizyczna likwidacja ludności żydowskiej. W swoich relacjach ordensjunktury będą się przechwalać, że pomimo likwidacji tyłu a tyłu tysięcy Żydów praca frontowego zaplecza ekonomicznego nie została w poważny sposób zakłócona.

Mieszkańcy gett zostali podzieleni na dwie grupy: przydatnych do pracy i „bezużytecznych”. O przydziale do grupy decydowali cywilni urzędnicy, rozstrzygając tym samym o życiu lub śmierci. W 1942 roku niemal w każdym wschodnim mieście dokonano masowych zbrodni na tysiącach Żydów. Mordowano wszystkich: kobiety, dzieci, starców i mężczyzn w sile wieku. Oddziały egzekucyjne częstokroć były pijane, gdyż pomimo całej pogardy dla „podludzi”, trudno było im znieść widok mordowanych tysiącami rodzin żydowskich. Aby uchronić żandarmów od rozterek duchowych, Kryminalno-Techniczny Instytut Policji Kryminalnej Rzeszy dostarczał specjalne samochody, służące mordowaniu ludzi poprzez zagazowanie²¹.

Heinen pisze: *„Dla lepszej organizacji masowych mordów władze cywilne tworzyły w miastach po dwa getta, albo co najmniej dwa oddzielone od siebie osiedla. Jedno dla niezbędnych robotników i drugie dla pozostałych Żydów. Działo się tak w Grodnie, Wilejce, Baranowiczach, Głębokim, Brześciu, Słucku, Słonimiu, Lidzie i Nowogródku”*. Siłom bezpieczeństwa przekazywano listy niezbędnych robotników, żeby mogły sprawnie masakrować pozostałą część ludności²². W kolejnych akcjach mordowano coraz większe grupy Żydów, pomniejszając systematycznie liczbę niezbędnych fachowców, na których w końcu też przyszła kolej. Książka *„Gottlos, schamlos, gewissenlos”* zawiera wiele wstrząsających opisów zbrodniczych akcji. Przytaczane są liczne przykłady przestępczych i nieludzkich zachowań wychowanków ordensburgów. Podczas likwidacji gett zadaniem członków władz cywilnych było zebranie ludności i jej załadunek na środki transportu, które kierowano do leżących w pobliżu miast miejsc kaźni. Wielu Żydów starało się ukrywać w domach, zdając sobie sprawę z celu prowadzonej akcji. Domy były wtedy podpalane, a do uciekających ze swoich kryjówek mieszkańców strzelano. Niektórzy z wychowanków ordensburgów nie ograniczali się do

20 Tamże, s. 81.

21 Tamże, s. 87.

22 Tamże, s. 87.

działań przygotowawczych, lecz uczestniczyli w akcjach, dokonując osobiście mordów na pojedynczych Żydach.

Na terenach wschodnich w okrutny, bezduszny sposób wymordowano niemal całkowicie ludność żydowską. Szukając przyczyn tej straszliwej zbrodni, nie można pominąć nazistowskiego systemu kształcenia elit kierowniczych, którego wizytówką były ordensburgi.

Warte rozważenia jest zagadnienie, czy można każdego ordensjunkra w jednakowy sposób obciążać winą za zbrodnie dokonane na Wschodzie? Z pewnością nie. Każdy przypadek należy rozpatrywać indywidualnie. Poza tym, jak wiemy, zdecydowana większość kursantów została skierowana na front, gdzie wielu z nich poległo. Nie chodzi zresztą o ocenę poszczególnych ludzi, lecz o całościową ocenę idei ordensburgów i systemu kształcenia nazistowskich elit kierowniczych, którego niewątpliwym celem było budzenie nienawiści rasowej do innych narodów, a przede wszystkim do Żydów. Myślę, że właśnie ci najbardziej aktywni członkowie władz cywilnych na Wschodzie, którzy wykazali się szczególnym bestialstwem w toku zaprowadzania „nowego porządku”, byli najwierniejszymi uczniami „wychowawców” z ordensburgów. Pamiętajmy jednak również, że kandydat na ordensjunkra zgłaszał się na ochotnika. Musiał się wykazać wcześniejszą aktywnością w działalności w ramach partii nazistowskiej. Tak więc jego odpowiedzialność jest znacznie większa niż to ma miejsce w przypadku żołnierza powołanego do służby i wykonującego zbrodnicze rozkazy. W przypadku ordensjunkra, działającego we władzach cywilnych na Wschodzie, mamy do czynienia z własną inicjatywą i aktywnością.

Bardzo symptomatyczny jest fakt unikania przez nazistowskich urzędników publikowania dyskryminacyjnych zarządzeń wymierzonych w ludność żydowską. Jak to zostało wspomniane wcześniej, informacje przekazywano ustnie przedstawicielom społeczności żydowskiej. Dlaczego obawiano się publikacji i formułowania tych zarządzeń na piśmie? Odpowiedź jest prosta. Nazistowscy urzędnicy zdawali sobie sprawę, że ich poczynania są bezprawne i przestępcze. Nie można więc mówić o działaniu w zaślepieniu ideologicznym. W sposób charakterystyczny dla przestępców próbowano zacierać ślady prowadzonych działań. Motywem bezprawnych poczynañ, podobnie jak to ma miejsce w przypadku pospolitych przestępców, była chęć uzyskania korzyści osobistych. Heinen podaje przykłady prywatnego wzbogacania się niektórych funkcjonariuszy dzięki zagrabionemu ludności żydowskiej mieniu, ale częściej tą korzyścią osobistą była chęć przypodobania się przełożonym, a przez to możliwość rozwoju własnej kariery. Widać to w raportach Gebietkomisarzy-ordensjunkrów, w których przechwalają się, jak sprawnie „rozwiązali problem

żydowski” na podległym im obszarze. A piszą w tych raportach o mordach na dziesiątkach tysięcy bezbronnych ludzi, w tym kobiet i dzieci.

Ordensburg nad Krosinem jako pomnik-ostrzeżenie

Dzisiaj ośrodek nad jeziorem Krosino pełni funkcję polskich koszar. W izbie tradycji jednostki wojskowej znajduje się jedyna tablica poświęcona przeszłości obiektu, na której oprócz kilku starych zdjęć umieszczono informację o dacie położenia kamienia węgielnego oraz kilka zdań na temat dawnego przeznaczenia ośrodka. Ekspozyty w izbie nawiązują raczej do powojennej historii obiektu i do historycznych polskich związków taktycznych, których tradycję kontynuowała miejscowa brygada. Do mrocznej przeszłości obiektu polscy żołnierze podchodzą widząc z dużą ostrożnością. Rzuca się w oczy brak informacji o roli ośrodka jako bazy szkoleniowo-zaopatrzeniowej hitlerowskiego Ministerstwa ds. Terenów Zajętych na Wschodzie. Tymczasem kompleks dawnego ordensburga stanowi osobliwość nie tylko na Pomorzu Zachodnim, ale w całej Polsce. Na terenie koszar roi się od pamiątek historycznych, dobrze zachowanych starych budynków i zabytków dawnej techniki. Niestety, obiekt nie jest dostępny dla okolicznej ludności i turystów. Mam nadzieję, że unikatowe cechy ośrodka prędzej czy później sprawią, że powstanie tutaj otwarta trasa dla zwiedzających. Leży to w interesie lokalnych społeczności, gdyż region jest dość ubogi w pamiątki historyczne. Nie może to jednak być tylko kolejna atrakcja turystyczna, przez którą beztrosko przebiegać będą grupy zwiedzających. Jak wielokrotnie wspominałem powyżej, Ordensburg nad Krosinem odegrał bardzo istotną rolę jako baza i zaplecze dla działalności niemieckiej administracji na terenach wschodnich. Znaczna część tych terenów należała do 1939 roku do Polski, więc wszystko, co się tam działo, należy i do naszej historii. Nie możemy nigdy zapomnieć o setkach tysięcy polskich obywateli żydowskiego pochodzenia pomordowanych w bestialski sposób na dawnych Kresach Rzeczypospolitej. Tworząc przyszłe muzeum nad Krosinem, powinniśmy właśnie tutaj upamiętnić ofiary masowych zbrodni na Wschodzie. Nie można omawiać historii tego ośrodka, jego budowli i obiektów sportowych bez przekazywania zwiedzającym informacji o pełnym pogardy wobec człowieka, rasistowskim sposobie kształtowania ordensjunkrów i bez zarysowania rozmiarów zbrodni, które były naturalną konsekwencją błędnej i szaleńczej ideologii nazistowskiej. Obiekt w Budowie koło Złocieńca powinien stać się raczej miejscem zadumy i refleksji nad bezmiarem nazistowskich zbrodni i chorego zafascynowania szerokich rzesz niemieckiego społeczeństwa zbrodniczym nacjonalizmem. Nad Krosinem powinien powstać swojego rodzaju pomnik ofiar narodowosocjalistycznej działalności na polskich Kresach, przypomnienie i ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń przed wszelkiego rodzaju nacjonalistycznymi i rasistowskimi ruchami politycznymi.

Powojenne losy obiektu nad Krosinem

W marcu 1945 r. Ordensburg nad Krosinem został zajęty przez polskich żołnierzy bez walki, a jego komendant Otto Gohdes został zabity podczas ucieczki na zachód.

W latach 1947-1950 na terenie dawnego ordensburga zorganizowano Centralny Ośrodek Sportowy, gdzie trenowali sportowcy różnych dyscyplin, m.in. ciężarowcy, lekkoatleci, kajakarze. Trudno dziś zweryfikować bardzo rozpowszechnioną informację, że w Budowie zorganizowano zgrupowanie treningowe polskich olimpijczyków, przygotowujących się do igrzysk w Londynie w 1948 roku. Chyba nie można wykluczyć takiego krótkotrwałego obozu. Ośrodek stanowił w tym czasie niewątpliwie doskonałe miejsce na tego rodzaju przedsięwzięcie. W tym czasie powstała popularna nazwa „olimpijki,” jaką określano budynki mieszkalne wykonane w tak zwanym „burgstylu”.



Widok na ośrodek z północnej wieży. Fot. J. Leszczelowski

W 1951 r. obiekt nad Krosinem został przejęty przez jednostki 20 Dywizji Zmechanizowanej Ludowego Wojska Polskiego, której dowództwo znajdowało się w Szczecinku. Jako pierwszy do Budowa przybył 68 pułk zmechanizowany, od 1952 roku w Budowie stacjonował 73 batalion saperów. Funkcję koszar wojskowych obiekt w Budowie koło Złocieńca pełni do dziś.

Baraki z historią

Osobny rozdział chciałbym poświęcić obiektowi, który związany jest z dawnym Ordensburgiem, ale leży poza terenem dzisiejszych koszar. Jadąc szosą od strony Złocieńca, po przekroczeniu mostu na Drawie dostrzeżemy po prawej stronie nowoczesny kościół parafialny, wybudowany

w latach dwudziestych XX w., oraz rząd baraków (element dawnego Ordensburga), które powstały w latach trzydziestych tego wieku. Określanie tych budynków barakami nie jest do końca uzasadnione, gdyż są to solidne ryglowe budynki z obszernym podpiwniczeniem. W pierwszym z nich, w części podziemnej, mieściła się duża kotłownia, która zasilala wszystkie budynki w ciepłą wodę i zapewniała centralne ogrzewanie, zaś w pierwszym baraku od strony zachodniej w okresie międzywojennym mieściła się kuchnia i kantyna.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy „baraki” zostały wzniesione, można jednak przypuszczać, że było to przed 1936 r. Wszystko wskazuje na to, że pierwotnym przeznaczeniem budowli był obóz RAD (Reichsarbeitsdienst), czyli obóz pracy dla młodzieży. Hitlerowskie państwo przewidywało odbywanie przez młodych ludzi obojga płci obowiązkowej służby-pracy dla Rzeszy. Pewnie junacy RAD uczestniczyli w budowie Ordensburga.

We wrześniu 1939 r. wybuchła wojna. Interesujące nas budynki wykorzystano do urządzenia obozu jenieckiego. Najpierw mieszkało tutaj siedemdziesięciu pięciu (według innych źródeł stu siedemdziesięciu) polskich jeńców wojennych, którzy pracowali na terenie Ordensburga. Żołnierze ci zostali przewiezieni do Budowa z większego obozu w Bornem Sulnowie. Oddajmy głos jednemu z polskich jeńców, Ignacemu Wyrobie:

Gdzieś z początkiem grudnia (1939 r.) załadowano nas do samochodów i wywieziono do pracy w szkole esesmanów (chodzi o Ordensburg nad Krosinem, który nie był szkołą esesmanów – przypis J.L.). Tu umieszczono nas w trzech niedużych barakach ogrodzonych kolczastym płotem. Pilnowani byliśmy przez trzech wachmanów i trzech cywilów. Zupa była gęściejsza. Dopiero tu po raz pierwszy od początku wojny położyłem się na pryczy i na sienniku, a do okrycia otrzymałem pled. Życie płynęło znów jednostajnie. Barak i praca, praca i barak. Po raz pierwszy otrzymaliśmy karty pocztowe. Powiadomiliśmy swoje rodziny, że żyjemy i jesteśmy zdrowi²³.

W maju 1940 roku do Budowa przybyli jeńcy francuscy, którzy zastąpili Polaków. Tych ostatnich pod groźbą śmierci zmuszono do przyjęcia statusu robotników przymusowych, co było przejawem bezprawia. Zorganizowano też swoisty rodzaj targu niewolników, na który zjechali się chłopci i właściciele firm, żeby wybrać sobie ludzi do pracy w gospodarstwach.

Po opuszczeniu baraków przez jeńców kwaterowano tam robotników z organizacji Todta, młodzież z RAD, jak również żołnierzy Wehrmachtu.

Po wojnie w barakach stacjonowały kolejno: 73 batalion saperów i 8 batalion rozpoznawczy. Były tam organizowane również kolonie letnie dla dzieci.

Najciekawszy epizod z historii tego obiektu miał miejsce w listopadzie 1982 r., kiedy w barakach zorganizowano trzymiesięczne

²³ Zarządzenie szefa sztabu Pomorskiego Okręgu Wojskowego nr 0232 (s. 4.), którego kopię udostępnił mi L. Jaranowski.

zgrupowania dla tak zwanej „kompanii specjalnej”, do której powołano działaczy nielegalnego wówczas związku zawodowego Solidarność.

„Kompania specjalna” w Budowie została zorganizowana na podstawie zarządzenia szefa sztabu Pomorskiego Okręgu Wojskowego nr 0232 z 28 października 1982 r. w sprawie powołania żołnierzy rezerwy na ćwiczenia wojskowe. Nazwa tego dokumentu miała charakter kamuflażu, gdyż powoływano również osoby, które nigdy w wojsku nie służyły. Zarządzenie nakazywało stworzenie dwóch kompanii żołnierzy rezerwy w 20 Dywizji Pancerniej w Czarnem i w Budowie. Kompanie miały liczyć siedemdziesięciu pięciu żołnierzy i podoficerów powołanych przez wojewódzkie sztaby wojskowe Warszawskiego Okręgu Wojskowego, obejmującego Polskę południowo-wschodnią. Opisano zakres szkolenia rezerwistów: *Sformowane pododdziały objąć intensywnym szkoleniem w specjalnościach korpusu osobowego inżynierjno-saperskiego, głównie w grupie osobowej budowy dróg, mostów i fortyfikacji oraz grupie przeprawowej, a ponadto wykorzystać do zabezpieczenia wykonywania bieżących prac inżynierskich na poligonach i placach ćwiczeń według specjalnie opracowanych programów, z zachowaniem wszelkich obowiązujących rygorów służby wojskowej.* Symptomatyczne jest ostatnie zdanie zarządzenia: *Kopię zarządzenia zniszczyć w marcu 1983 r.*²⁴. W archiwach IPN znajduje się pismo z 21 października 1982 r. autorstwa dyrektora V departamentu MSW w Warszawie, skierowane do zastępców komendantów wojewódzkich MO. W piśmie znajduje się polecenie *wytypowania osób podejrzanych o organizowanie strajków, zajęć ulicznych, czynną, wrogą działalność (druk, kolportaż), a nienadających się z różnych powodów do internowania lub zatrzymania, w celu powołania ich na ćwiczenia wojskowe lub do odbycia zasadniczej służby wojskowej*²⁵.



Barak z kotłownią w 2007 r.

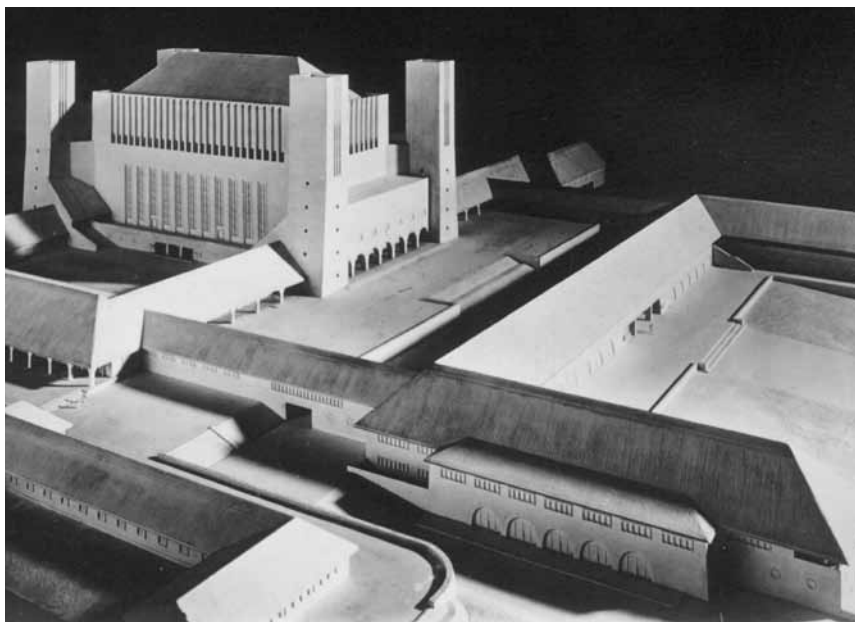
24 Zarządzenie szefa sztabu Pomorskiego Okręgu Wojskowego nr 0232 (s. 4.), którego kopię udostępnił mi L. Jaranowski.

25 <http://internowani.xg.pl/index.php?type=article&aid=515>

Główne obiekty dawnego Ordensburga

Po omówieniu najważniejszych zdarzeń historycznych czas podjąć tematy o mniejszym ładunku emocjonalnym.

Założeniem budowniczych Ordensburga nad Krosinem było harmonijne wkomponowanie go w naturalnie ukształtowaną architekturę pomorskich miejscowości. Z drugiej strony podkreślona miała zostać wyjątkowość tego miejsca poprzez wzniesienie monumentalnych elementów, nawiązujących do historii Niemiec. Nazwa „ordensburg” była wyraźnym odniesieniem do łańcucha krzyżackich twierdz wzniesionych przed wiekami na wschodzie. Stosunkowo niskie, podłużne, kryte strzechą budowle miały z kolei nawiązywać do dawnych osiedli starogermańskich. Nad równymi rzędami takich budynków górowała wysoka okrągła wieża, która przypominała wieżę zamkową. Podobno taki wygląd ośrodka nie wzbudził entuzjazmu Hitlera. Tak czy inaczej zdecydowano się na rozebranie owej wieży, zamiast której planowano budowę czterech innych - o kwadratowym przekroju. Wieże otaczałyby gigantyczny budynek „domu wiedzy”, który stanowiłby rodzaj nazi-stowskiej „świątyni”.



Model Ordensburga nad Krosinem. Cztery gigantyczne wieże miały otaczać nigdy niewybudowany „dom wiedzy”. Powstały jedynie dwie wieże i fragment trzeciej

W centralnej części ośrodka wybudowano coś w rodzaju granitowego amfiteatru, który swoim wyglądem miał nawiązywać do miejsc świętowania plemion germańskich. Na pięciu granitowych stopniach umieszczono drewniane siedzenia. Obiekt ten nie jest dzisiaj użytkowany, ale zachował się dość dobrze.



Kamienny amfiteatr i domy słuchaczy

Wśród największych budowli, które zachowały się do dziś, wymienić należy komendanturę, aulę, domy: gościnny, dwurodzinny i wspólnotowy, ale dwa pierwsze obiekty straciły swój pierwotny wygląd w wyniku pożaru w 1967 r.



Budynek komendantury zimą 1943 roku



Maszynownia urządzeń grzewczych

Na zakończenie trzeba wspomnieć, że w części podziemnej ośrodka znajdowała się potężna instalacja ciepłownicza. Były tam: kotłownia, aparatornia, rozdzielnia i tzw. pomieszczenie diesla. Wszystkie budynki ośrodka podłączono do centralnego ogrzewania. Kotły parowe opalane były olejem napędowym, ale

na skutek braku surowców w czasie wojny przystosowano je do opalania węglem. Cztery kotły pracowały na rzecz CO, a cztery inne wykorzystywane były do ogrzewania wody w łaźniach, pralni i kuchni. Kotłownia była w pełni zautomatyzowana, nawet węgiel dostarczany był taśmociągiem, a popiół usuwano maszynowo, dlatego do obsługi całej kotłowni potrzebne były tylko dwie osoby. Jeśli naturalny ciąg komina okazywał się niewystarczający, automatycznie włączały się pompy ssące powietrze²⁶.

Na wyobraźnię zarówno powojennych mieszkańców Złocieńca, jak też stacjonujących tutaj polskich żołnierzy, mocno oddziaływały dwa podziemne kanały grzewcze: południowy i północny. Kanały miały dwa metry wysokości, a ich ściany były wyłożone grubymi rurami grzewczymi²⁷.

Ze świata legend i współczesnych mitów

Odrębnym i bardzo interesującym zagadnieniem jest prawdziwe bogactwo mitów, jakie narosły wokół dawnego Ordensburga nad Krosinem. Pomimo tego, że nie mają one wiele wspólnego z rzeczywistością, jednak ilustrują znakomicie mechanizmy powstawania regionalnych legend, które są przecież w dużym stopniu przedmiotem opisu w niniejszej książce. W Od lat pięćdziesiątych XX w. Wojsko Polskie swoje koszarzy urządziło w Budowie, odcinając zwykłym śmiertelnikom dostęp do dawnego Ordensburga. Sytuacja ta zawsze stymulowała powstawanie mitów i - jak się okazuje - ten proces nadal ma się doskonale. Zjawisko kształtowania się legend świadczy też o żywym zainteresowaniu historią tego obiektu.

Nie sposób wymienić wszystkich współczesnych legend dotyczących tego obiektu. Poniżej przedstawiam listę najbardziej popularnych:

- nazistowski ośrodek szkoleniowy miał być połączony tunelem ze starym zamkiem w Złocieńcu;
- pod ośrodkiem miały pracować podziemne fabryki;
- istniało podziemne miasto, do którego prowadzić miały dwie windy, znajdujące się pod pomnikiem w pobliżu stadionu;
- tunele z Ordensburga nad Krosinem miały też biec pod jeziorem. Wejścia do nich umiejscawiano m.in. w domu gościnnym i dwurodzinnym;
- na czterech wieżach (wybudowano jedynie dwie) miała stanąć gigantyczna hala sportowa;
- wielka hala miała wisieć na gigantycznych łańcuchach, które zakotwiczone byłyby na szczytach wież;
- płyta miejscowego stadionu miała mieć podgrzewaną nawierzchnię;
- bieżnia już w latach trzydziestych XX wieku pokryta była tartanem;

26 F. Brill, *Die Burggemeinschaft. NS Ordensburg „Falkenburg am Krossinsee”*, odcinek 11/ 1943, s. 4.

27 Tamże, s. 5.

- w wodach Krosina natomiast miał istnieć ośrodek szkoleniowy dla personelu pływającego miniaturowymi łodziami podwodnymi;
- w Ordensburgu szkolono jednostki specjalne lub esesmanów;
- pod ośrodkiem miały pracować gigantyczne podziemne fabryki;
- podziemne miasto, do którego prowadziły dwie windy, znajdujące się pod pomnikiem położonym w pobliżu stadionu;
- na terenie ośrodka zasiano rzekomo bardzo specyficzną trawę, która rosła tylko do pożądanej wysokości;
- jeden z budynków miał być zbudowany dla życiowej towarzyszk Hitlera - Ewy Braun, stąd do dziś mówi się o tak zwanej willi Ewy Braun;
- obiekt miał być wyposażony w specjalny system gaśniczy, który włączyć potrafili jednak tylko Niemcy;
- istniał podziemny szpital zapasowy, wykorzystywany w przypadku wojny.



Według jednej z legend w tym pomniku miały być ukryte windy, którymi można było zjechać do tajemniczych podziemnych obiektów. Fot. J. Leszczelowski

Każda studzienka lub dziura w ziemi staje się w wyobraźni pasjonatów tajemniczym wejściem do podziemnych obiektów, a każdy kawałek betonu dawnym bunkrem. Pewnie rozczaruję niektórych czytelników, ale muszę powiedzieć, że wszystkie te opowieści można między bajki włożyć. Tworzą one jedynie sympatyczny koloryt i chyba w jakiś sposób promują ten obiekt.

Z drugiej strony - nie chcę wskazać, że o dawnym obiekcie nad Krosinem wszystko wiadomo i nie ma tam nierozwiązanych zagadek. Obiekt ten wciąż kryje wiele sekretów, które pewnie nie są jednak tak bardzo spektakularne, ale to nie powinno zniechęcać do prowadzenia badań.

Po wskazaniu powyższej listy współczesnych mitów chciałbym dołożyć także swoją cegielkę, konstruuując nową budowską legendę poprzez zestawienie starej opowieści i kilku faktów historycznych. Na zakończenie niniejszego artykułu przedstawiam twór, który powstał z tak przyrządzonej mikstury.

Kilkaset metrów na zachód od bramy dzisiejszych koszar położona była niegdyś leśniczówka Alexandertal, która została zniszczona w 1945 r. W jej okolicy płynął strumień, a nad nim rosło wielkie drzewo o trzech pniach. Ta osobliwość przyrodnicza zrodziła następującą legendę:

W pierwszej połowie dziewiętnastego stulecia w pobliżu leśniczówki, nad strumieniem zwanym kiedyś Krosińskim, rosła wielka sosna o trzech zrosniętych pniach. Nazywano ją w miejscowej gwarze ludowej: Dreebohm (niem. Dreibaum), czyli po polsku trójdrzewem. Miejsce, w którym rosła, cieszyło się złą sławą, ponieważ właśnie pod tym drzewem miał mieć swoją siedzibę sam diabeł. Opowiadano też, że przybył tu kiedyś z odległych stron pewien mężczyzna i rozpytywał o Dreebohm, gdyż doprowadzony do skrajnej rozpacz zachowaniem swojej złej żony, postanowił oddać swą duszę czartowi²⁸.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ta krótka legenda brzmi jak przepowiednia. Nie chodzi mi oczywiście o fragment dotyczący chęci oddania się diabłu z powodu zręczliwej małżonki. Otóż, jak wiemy, w bezpośrednim sąsiedztwie tego miejsca sto lat później, w kwietniu 1936 r. wybudowano i otwarto monumentalny obiekt szkoleniowy zwany Ordensburgiem nad Krosinem. Tysiące młodych ludzi z całych Niemiec pilnie zgłębiało tu tajniki iście diabelskiej faszystowskiej ideologii. „Mistrzowie” w partyjnych mundurach NSDAP zaszczepiali im nienawiść do innych ludzkich istot, które nie były niemieckiej narodowości i aryjskiej rasy, cokolwiek to ostatnie znaczyło. Nazywali siebie junkrami zakonnymi (niem. Ordensjunker), bo rzeczywiście sensem ich życia miała być odtąd bezkrytyczna wiara w nieomylnego i doskonałego wodza, nazistowskiego mesjasza - Adolfa Hitlera, który był niewątpliwie współczesnym wcieleniem diabła.



Trzy wieże nad Ordensburgiem niczym diabelskie trójdrzewo

Ale na tym nie koniec analogii. 24 kwietnia 1936 r. nad Krosino przybył sam diabeł – Adolf Hitler – żeby dokonać otwarcia nowo wybudowanego obiektu. Wtedy w Ordensburgu wznosiła się tylko jedna okrągła wieża. Wygląd obiektu nie przypadł jednak do gustu fuehrerowi. Po jego wyjeździe zdecydowano się na szeroko zakrojoną

28 O. Knoop, *Volkssagen. Erzählungen und Schwänke aus dem Kreise Dramburg*, Koszalin 1926, s. 54.

przebudowę. Wkrótce wyrosły kolejne dwie monumentalne wieże, tym razem o podstawie czworokątnej. Teraz nad diabelskim ośrodkiem górowały trzy wieże, które kojarzą mi się z dawnym diabelskim Dreebohmem (trójdzwem). Diabeł swoim niezadowoleniem doprowadził do powstania nowego trójdzwu, które rosło nad jego nową diabelską siedzibą – nazistowskim Ordensburgiem. Kilka lat później zdecydowano się na rozbiórkę najstarszej okrągłej wieży, jednocześnie jednak rozpoczęto budowę kolejnej czworokątnej. Miało być ich cztery, ale udało się wznieść jedynie trzecią, i to tylko do wysokości piętnastu metrów. Tak więc nad Ordensburgiem ponownie wznosiły się trzy wieże Dreebohmu. Kres istnieniu trzeciej, niedokończonych wieży położyli dopiero polscy saperzy pod koniec lat pięćdziesiątych XX w. Zwróćmy jeszcze uwagę na fakt, że w całych Niemczech powstały trzy ordensburgi, a pełny cykl szkolenia obejmował trzy lata nauki, przy czym każdy rok słuchacze spędzali w innym ośrodku. Innymi słowy trzy odrębne ośrodki wkomponowane były w jedną instytucję kształcenia, tak jak trzy odrębne pnie zrosnięte były w jedno trójdzw.

Bibliografia

- F. Brill, *Die Burggemeinschaft. NS Ordensburg „Falkenburg am Krossinsee”*, odcinek 11/ 1943
- F. A. Heinen, *Gottlos, schamlos, gewissenlos. Zum Osteinsatz der Ordensburg-Manschaften*, Duesseldorf 2007,
- U. Jahn, *Volkssagen aus Pommern und Rügen*, Berlin 1889 r.
- O. Knopp, A. Heller, *Volkssagen. Erzaehlungen und Schwaenke aus dem Kreise Dramburg*, Koszalin 1926 r.
- J. Leszczelowski, *Legends na szlakach Pojezierza Drawskiego*, Drawsko Pomorskie 2006 r.
- J. Leszczelowski, *Ostatnie stulecie Falkenburga*, Warszawa 2007 r.
- J. Leszczelowski, *Złocieniec nie całkiem odzyskany*, Warszawa 2009 r.
- J. Leszczelowski, *Wokół jeziora Siecino*, Stawno 2014 r.
- R. Sawiński, J. Leszczelowski, *Od nazistowskiej twierdzy do polskich koszar*, Warszawa 2008 r.
- R. Sawiński, *Die Ordensburg Kroessinsee in Pommern*, Euskirchen 1997 r.



Zbigniew Januszaniec

Czaplinecki kalejdoskop historyczny (1)

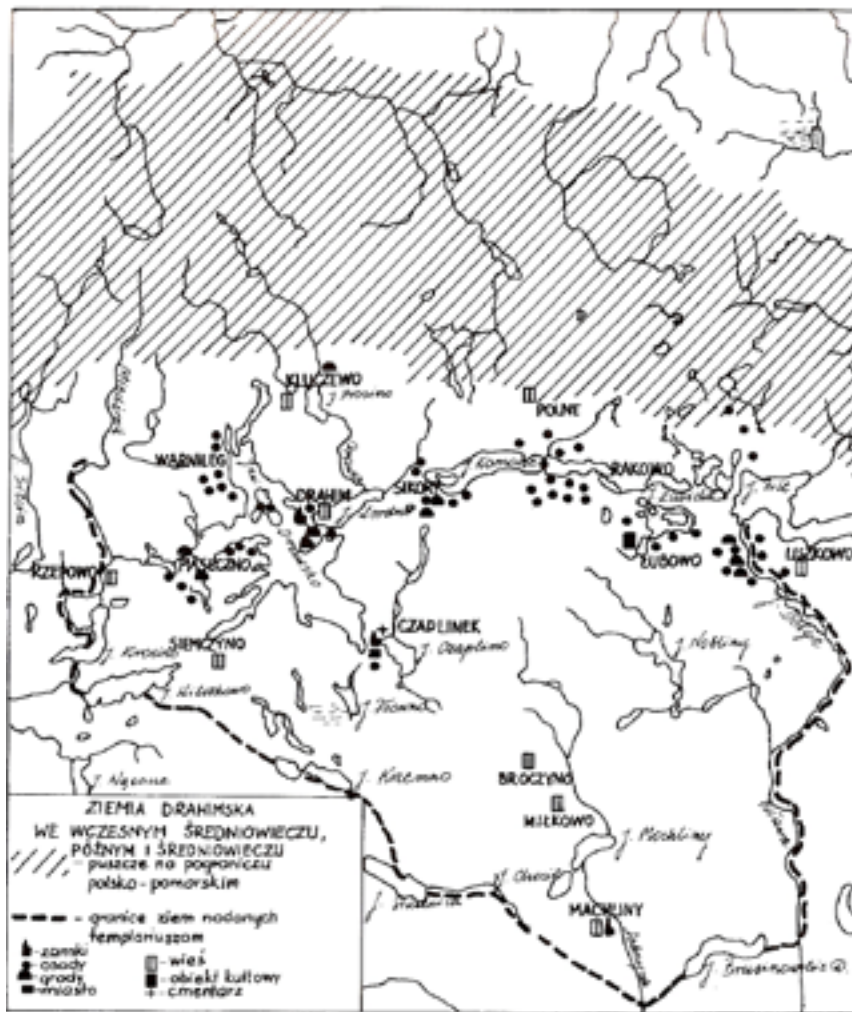
W poszukiwaniu początków miasta

W okresie od VIII do XII w. w środkowej części pogranicza wielkopolsko-pomorskiego wykształciło się kilka znaczących skupisk osadniczych. Do najbardziej znanych należy skupisko co najmniej 7 grodzisk i ponad 20 osad otwartych w okolicach jeziora Drawsko i górnego biegu Drawy. Badania archeologiczne pozwoliły uprawdopodobnić, że istniejące w tym rejonie wczesnośredniowieczne grody stanowiły rubież obronną Pomorzan na pograniczu z Wielkopolską. Badacze są zgodni co do tego, że szczególnie ważną rolę w tym rejonie pełnił gród w Drahimiu (obecnie Stare Drawsko). Wskazywałoby na to centralne położenie tego grodu wobec całego skupiska osadniczego, a także jego lokalizacja w wąskim przesmyku między dwoma głębokimi jeziorami Drawsko i Żerdno, a więc w miejscu o wysokich walorach obronnych. Za tą hipotezą przemawia także strategiczne położenie grodu przy ważnym szlaku komunikacyjnym, łączącym Wielkopolskę z Pomorzem - przy Szlaku Solnym.

Dzieje wczesnośredniowiecznego osadnictwa na obszarze dzisiejszego miasta Czaplinka wiąże się na ogół z losami całego skupiska grodów i osad skupionych wokół Drahimia. Podzielone są jednak zdania badaczy w określeniu typu osady, będącej początkowym stadium rozwojowym późniejszego miasta.

Przed przystąpieniem do rozważań na temat początków Czaplinki spójrzmy na mapę osadnictwa wczesnośredniowiecznego

i średniowiecznego w rejonie Starego Drawskiego według Henryka Janochy¹. Na mapie tej zaznaczone są również granice komandorii templariuszy, których pobyt na ziemi czaplineckiej – o czym również będzie mowa w dalszej części opracowania – zaowocował nadaniem Czaplinkowi praw miejskich.



Jeden z poglądów głosi, że na wzniesieniu, na którym stoi obecnie kościół pw. Świętej Trójcy (tzw. „mały kościółek”) istniał we wczesnym średniowieczu gród obronny. Na rozpowszechnienie tego poglądu wpłynęła prawdopodobnie informacja W. Łęgi, który stwierdził, że: *w Czaplinku znajduje się grodzisko wyżynne półkoliste zwane Schlossberg, otoczone wałami półkolistymi szerokości około 40 m, długości około 100 m².*

1 *Czaplinek i Starostwo Drahimskie*. Praca zbiorowa. Rys. G. Bezowska KTSK. Koszalin 1985.

2 W. Łęga, *Kultura Pomorza we wczesnym średniowieczu na podstawie wykopalisk*. Toruń, 1930.

Prace archeologiczne przeprowadzone w latach 1963-1967 przez Oddział Polskiego Towarzystwa Archeologicznego w Koszalinie objęły swym zakresem między innymi zbadanie domniemanego miejsca grodziska w Czaplinku. Wykonane w sąsiedztwie „małego kościółka” sondażowe prace wykopaliskowe nie potwierdziły jednak informacji o istnieniu w tym miejscu warownego grodu. W związku z tym, że grody takie wznoszono z reguły w miejscach wyeksponowanych w stosunku do otoczenia i posiadających określone walory obronne, przeprowadzono podobne prace również na terenie parku miejskiego przy ul. Złocienieckiej przy zbiegu ze Zbożową. Prace te nie przyniosły także rezultatu. Na wynik prac mógł wpłynąć ich sondażowy charakter. Ponadto ślady grodziska mogły ulec zatarciu. Jednak fakt, że nie odkryto śladów wczesnośredniowiecznego grodu sprawił, że niektórzy badacze są obecnie skłonni do twierdzenia, iż informacja zawarta w pracy W. Łęgi nie dotyczyła grodziska zlokalizowanego na obszarze obecnego miasta, lecz jednego z grodzisk znajdujących się w najbliższej okolicy.

Za hipotezą o istnieniu w Czaplinku wczesnośredniowiecznego grodu mogłyby przemawiać względy topograficzne, zwłaszcza znakomite warunki obronne i położenie przy ważnym szlaku handlowym, a także przykłady innych miast, które powstając na obszarach charakteryzujących się wielowiekową ciągłością osadniczą, rozwijały się bardzo często tam, gdzie istniały wczesnośredniowieczne grody.

Odminną koncepcję reprezentuje H. Münch³, który uważa, że Czaplinek w okresie przedlokacyjnym był *osadą o nieokreślonym bliżej charakterze* lub, że *mogła tu być niewielka otwarta osada typu targowego przy drodze z Drahimia do Walcza*. Osady tego typu zazwyczaj były nieobwarowane i na ogół tylko luźno związane z grodem zasadniczym, którym w tym przypadku był – według Müncha – oddalony o około 5 km gród w Drahimiu. Za taką hipotezą przemawiać mógłby fakt, że koło Czaplinka zbiegały się dwie odnogi słynnego Szlaku Solnego (odnoga prowadząca przez Połczyn i odnoga prowadząca przez Barwice). Ponadto szlak ten przecinał w tym rejonie ważną drogę o przebiegu równoleżnikowym. O tym, że taki układ dróg utworzył się w rejonie Czaplinka, a nie Drahimia, zdecydowało ukształtowanie terenu, a przede wszystkim rozmieszczenie jezior – naturalnych przeszkód terenowych. Aktualnie wydaje się dominować pogląd zbieżny z koncepcją Müncha, iż początek przyszłemu miastu dała osada targowa, związana ze Szlakiem Solnym i z zespołem osadniczym, skupionym wokół Drahimia, która rozwinęła się w dogodnym i naturalnie obronnym miejscu, w przesmyku między jeziorami Drawsko i Czaplino.

Można uznać, że przebiegające przez rejon Czaplinka drogi mogły sprzyjać zarówno powstaniu tu grodu kontrolującego ruch na szlakach komunikacyjnych, jak i ukształtowaniu się na obszarze dzisiejszego

3 H. Münch, *Geneza rozplanowania miast wielkopolskich XIII-XIV w.* PAU, „Prace Komisji Atlasu Historycznego Polski”, z. IV, Kraków, 1946.

miasta osady targowej. Przy próbach zdefiniowania czynników, które mogły stworzyć warunki do rozwinięcia się w Czaplinku ośrodka osadniczego i przekształcenia się go w organizm miejski, można zauważyć wyraźny związek Czaplinka ze Szlakiem Solnym, łączącym Kołobrzeg z Wielkopolską. Na związek taki może wskazywać porównanie odległości drogowych między powstałymi przy tym szlaku miastami. Przy założeniu, że dzisiejsze drogi pokrywają się w niemalym stopniu z przebiegiem dawnych szlaków, otrzymujemy następujące zestawienie odstępów między miejscowościami:

Chodzież-Piła	30 km
Piła- Wałcz	27 km
Wałcz-Czaplinek	38 km
Czaplinek-Połczyn	28 km
Połczyn-Białogard	29 km
Białogard-Kołobrzeg	37 km

Dostrzegalna regularność tych odstępów (widoczna zresztą również przy badaniu związków między osadnictwem a siecią dróg na innych terenach) związana jest – zdaniem historyków – z odległościami możliwymi do przebycia przez zaprzęg w ciągu jednego dnia. Z podanego wyżej zestawienia wynika, że dzienne etapy podróży, wiodące przez tereny równinne, a więc łatwiejsze do przebycia, były nieco dłuższe, niż etapy prowadzące przez teren pofałdowany. Kupcy, po przebyciu kolejnego etapu podróży, najczęściej zatrzymywali się w miejscowościach mogących zapewnić bezpieczeństwo oraz możliwość wymiany handlowej. Miejscowości takie z czasem wchodziły w skład systemu osad obsługujących dany szlak komunikacyjny i rozwijających się w oparciu o ruch na tym szlaku.

Wiele wskazuje na to, że Czaplinek mógł być tego typu osadą. Jeżeli ta hipoteza jest słuszna, to na podstawie analizy miejscowych warunków topograficznych można przyjąć, że w rejonie obecnego rynku przed powstaniem miasta mogła być zlokalizowana osada z placem targowym. Atrakcyjna lokalizacja takiej osady przy szlaku handlowym, w miejscu o znakomitych warunkach obronnych, mogła zadecydować o późniejszym rozwinięciu się jej w miasto. O naturalnych walorach obronnych tego miejsca decydowało położenie na wyniosłości między dwoma jeziorami, w przesmyku, którego obronność od strony północnej dodatkowo wzmacniał głęboki wąwóz z płynącą jego dnem strugą. Na wzniesieniu, gdzie jest dziś „mały kościółek”, mógł się znajdować gródek obronny, strzegący osady od strony południowej.

Inny pogląd głosi, że w okresie przedlokacyjnym Czaplinek był małą osadą rybacką.

Nie można także wykluczyć, że przed przybyciem templariuszy istniały na obszarze dzisiejszego miasta w różnych okresach historycznych różne formy osadnictwa.

Wszystkie przedstawione wyżej hipotezy o charakterze osady przedlokacyjnej w Czaplinku, opierają się głównie na wnioskach z ukształtowania terenu i z przebiegu tutejszych dróg, a także na, zaobserwowanej na przykładach innych miejscowości o bardziej poznanej historii, wprost zadziwiającej trwałości wielu elementów rozplanowania przestrzennego. Niektóre z tych elementów, ukształtowane w zamierzonej przeszłości, jak np. główne osie osad, pokrywające się z ważnymi szlakami komunikacyjnymi, place targowe czy też te elementy, które są związane z topografią terenu, funkcjonowały zazwyczaj przez całe stulecia. One też często funkcjonują do dzisiaj, nie zmienione w swych zasadniczych kształtach.

Ostatecznego rozwiązania zagadek związanych z przedlokacyjną przeszłością Czaplinka mogłyby dostarczyć jednak tylko szczegółowe badania archeologiczne.

W XIII w., w wyniku długiego procesu kształtowania się granicy pomorsko-wielkopolskiej, obszar położony nad jeziorem Drawsko i wzdłuż górnego biegu rzeki Drawy stanowił najbardziej na północ wysuniętą część Wielkopolski. Można się domyślać, że Szlak Solny w zasadniczym stopniu przyczynił się do uformowania takiego przebiegu północnej granicy ziem wielkopolskich poprzez wyznaczenie jednego z kierunków polskiej ekspansji terytorialnej skierowanej ku Bałtykowi. O losach północnej rubieży Wielkopolski w dużym stopniu zaważyło to, że znajdowała się ona na jednym z głównych kierunków ekspansji margrabiów brandenburskich.

W końcu XIII w. Przemysław II, książę Wielkopolski, podpisał w Pyzdrach przywilej, nadający opisany wyżej obszar zakonowi templariuszy. Na siedzibę nowo utworzonej komandorii templariusze obrali istniejącą słowiańską osadę Czaplinek. Wzniesli tu zameczek obronny, z którego kierowali nadanymi terenami. Zdaniem większości badaczy stał on w miejscu obecnego zabytkowego kościółka pod wezwaniem Świętej Trójcy. Przemysław II sprowadził templariuszy do Czaplinka głównie w celu obrony północnych krańców ziem wielkopolskich przed ekspansją margrabiów brandenburskich. Dalekowzroczną politykę przypłacił on życiem w roku 1296, gdy był już królem Polski. Został podstępnie zamordowany w Rogoźnie. Istnieje powszechna opinia, że morderstwa dokonano z inspiracji margrabiów brandenburskich. Po śmierci Przemysława II ziemia czaplinecka, administrowana nadal przez templariuszy, przeszła około 1300 roku w posiadanie Brandenburgii. W roku 1312 papież rozwiązał zakon templariuszy, polecając przekazanie jego dóbr zakonowi joannitów. Wbrew postanowieniu papieża, w roku 1319 Brandenburczycy przekazali zwierzchnictwo nad zawładniętą komandorią czaplinecką biskupom kamieńskim. Ich nadzór trwał do roku 1345, kiedy to nastąpiło ostateczne przekazanie tych terenów joannitom.

Na te burzliwe lata przypadł pierwszy okres kształtowania się miasta Czaplinka. Nie ma wśród historyków zgody, co do dokładnej daty nadania praw miejskich. Na podstawie zachowanych w dokumentach źródłowych wzmianek, autorzy publikacji historycznych podają najczęściej, że Czaplinek uzyskał status miasta między rokiem 1290 a 1334. Niektórzy historycy twierdzą, że nadanie praw miejskich mogło nastąpić w 1291 r. Mimo tak znacznych rozbieżności w datowaniu tego wydarzenia, wśród wielu badaczy panuje przekonanie, że założenie miasta należy wiązać z okresem panowania templariuszy, którzy rozwinęli akcję kolonizacyjną, sprowadzając do Czaplinka osadników z Niemiec i z terenów pomorskich wcześniej skolonizowanych przez Brandenburgię. Pamiątką po obecności templariuszy jest niemiecka nazwa miasta: Tempelburg. W literaturze stwierdza się najczęściej, że jako centrum przyszłego miasta wytyczono u podnóża zamku regularny plac targowy, wokół którego z czasem rozbudowane zostało miasto z charakterystyczną dla średniowiecza siatką ulic, dzielących miejską zabudowę na czworokątne bloki. Strome skarpy, opadające w stronę jezior i mokradeł oraz głęboka dolina z płynącą jej dnem strugą zapewniły Czaplinkowi tak znakomite warunki obronne, że - jak twierdzą badacze - nigdy nie musiano otaczać miasta pierścieniem murów.

Kłopoty z metryką

W 1986 r. Czaplinek obchodził 700-lecie istnienia. W większości miast obchody takie związane są z rocznicą nadania praw miejskich. W Czaplinku było inaczej, ponieważ data nadania Czaplinkowi praw miejskich jest nieznana. Nawiedzające miasto pożary, a także zawieruchy wojenne sprawiły, że nie zachowały się żadne dokumenty, pozwalające dokładnie określić tę datę. Pojawia się zatem pytanie: rocznicę jakiego wydarzenia obchodzono w Czaplinku w roku 1986?

Wyjaśnienie odnajdujemy w folderze wydanym w tym roku przez Obywatelski Komitet Obchodów 700-lecia Czaplinka. Czytamy w nim między innymi: *W roku 1286 książę Wielkopolski Przemysław II nadał Zakonowi Templariuszy obszary w rejonie jez. Drawsko i górnego biegu rzeki Drawy. Czaplinek obrano za siedzibę, z której kierowano nadanymi ziemiami. W 1986 roku mija 700 lat od tego historycznego wydarzenia. Akt nadania wystawiony przez Przemysława II jest najstarszym dokumentem z historii Czaplinka i okolic. Wobec nieprzetrawiania materiałów faktograficznych, umożliwiających ściśle ustalenie daty nadania Czaplinkowi praw miejskich uznano, iż rocznica tego wydarzenia zasługuje na uczczenie jako jubileusz miasta.*

Podobne wyjaśnienie prezentuje wydana w czerwcu 1986 r. okolicznościowa jednodniówka „Głos Czaplinka” w umieszczonym na pierwszej stronie artykule *Co wydarzyło się w Czaplinku 700 lat temu*. W początkowym fragmencie tekstu czytamy: *21 listopada 1286 roku*

Przemysław II, książę Wielkopolski, późniejszy król Polski, wystawił w Pызdrach przywilej, nadający Zakonowi Templariuszy znaczne obszary w rejonie jez. Drawsko i górnego biegu rzeki Drawy. Sprowadzeniu templariusze obrali za swą siedzibę Czaplinek, z którego kierowali nadanymi terenami. Podnosiło to rangę Czaplinka i najprawdopodobniej w połączeniu z innymi czynnikami miastotwórczymi przyczyniło się do tego, iż wkrótce otrzymał on prawa miejskie. Wobec braku dokumentów określających dokładną datę nadania praw miejskich, miasto uznano za swą metrykę akt wystawiony przez Przemysława II.

Napisany w języku łacińskim akt nadania Przemysława II⁴ przetrwał do naszych czasów tylko w odpisie⁵. Obecnie Kodeks dostępny jest w wersji elektronicznej np. w Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej, ale w roku 1986 podczas przygotowań do obchodów jubileuszowych ktoś z Czaplinka musiał się pofatygować do Poznania, by dotrzeć do oryginału tej książki i zdobyć kserokopie dwóch stron z treścią dokumentu Przemysława II. Oto reprodukcje dwóch fragmentów tak zdobytych kserokopii, w których widnieje data. Najpierw - początek dokumentu z nagłówkiem, w którym twórcy *Kodeksu* podali datę 19 listopada 1286.

Nr. 570.

Premisl secundus dux Polonie et Cracovie 1286 Nov. 19, Pysser; confert fratribus militiac Templi desertum circa lacum Drawsk situm.

Biblioteka X. X. Czartoryskich. Teki Naruszenicza. (Z pergaminu oryginału, który się znajdował w archiwie króla Stanisława Augusta). — J. Chr. Beckmann, Beschreib. d. ritterlich. Johanniter-Ordens. Anhang. (Transsumpt potwierdzony przez: Kazimirus rex Polonie etc. 1368 Nov. 30, Poznanie).

In nomine Domini amen. Quoniam ea que aguntur in tempore, simul labuntur cum tempore nisi literarum seu testium munimine fuerint perheunata, nos igitur Premisl secundus, Dei gracia dux Polonie et Cracovie, notum facimus tam presentibus quam futuris presens scriptum inspecturis, quod religiosos viros fratres milicie Templi Ierolimiani pro religione et honorificentia sua tanto propensius zelo nos Christianitatis decet diligere, quo specialis dilectionis fervorem super orientalis Ecclesie tutela exhibent efficacem. Ducti igitur inspiratione divina, eiusque benivolenciam

Poniżej widzimy końcową część dokumentu z zapisaną datą wystawienia. Fragment łacińskiego tekstu, który precyzuje rok wystawienia dokumentu, ma następujące brzmienie: **anno gracie Domini millesimo CC.LXXX sexto**. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zapis ten oznacza rok 1286. Interpretacji wymaga tylko data dzienna przedstawiona w formie opisowej. Ale o tym nieco później.

4 Posługuję się popularną współczesną formą: *Przemysław*, choć zgodnie z historycznymi przekazami imię księcia właściwie brzmiało: *Przemysł*.

5 *Kodeks Dyplomatyczny Wielkopolski* t. I z 1877 r. Dokument nr 570.

tulimus, in nostram protectionem et tutelam specialem. Item damus eisdem fratribus milicie Templi licenciam largam construendi et edificandi municiones, castra, civitates, pro eorum comodo, posse et utilitate: cum nos et omnes nostri successores dictorum fratrum dinoscamur veri patroni et heredes. Ne vero huiusce factum per nos vel successores nostros debeat aliquo modo violari, presentes nostri sigilli munimine fecimus roborari presentibus hiis testibus: comite Bogislavo subcamerario Poznaniensi, domino Dirzsierayo, Crsiwosant milite, domino Petro Droggeslavi, domino Beniamyn, pan Iancke, pan Chualde (sic), domino Tylone preposito de Santogk, et aliis viris quam plurimis fidedignis. Datum Pyser tercia feria proxima ante diem beatę virginis Katherine, anno gracie Domini millesimo CC.LXXX sexto, per manus notarii curie nostre.

Kierując się rzetelnością, trzeba wspomnieć, że dokument ten kryje pewną zagadkę. Nazywa on Przemysława II księciem Wielkopolski i Krakowa (*dux Polonie et Cracovie*), podczas gdy inne źródła wskazują, że prawo do tytułowania się księciem Krakowa uzyskał on dopiero w 1290 r.

Ta intrygująca niespójność zapisów skłoniła historyków do dociekań. Zastanawiano się, czy niespójność ta spowodowana została tym, że dokument był np. sporządzony lub odtworzony po fakcie, z opóźnieniem (może podczas porządkowania kancelarii młodego księcia krakowskiego, przyszłego króla Polski), czy też należy po prostu skorygować datę widniejącą na dokumencie. Zwolennicy tego ostatniego poglądu twierdzą, że odpowiednia interpretacja zapisów zawartych w akcie nadania pozwala skorygować datę 19.11.1286, podaną w *Kodeksie Dyplomatycznym Wielkopolskim* na 21.11.1290. Do najbardziej znanych należą badania prowadzone przez prof. Stanisława Krzyżanowskiego, który w roku 1890 swoje wnioski z badań dokumentów z kancelarii Przemysława II, w tym interesującego nas aktu nadania, opublikował w tomie VIII „Pamiętnika Wydziału Filologicznego i Filozoficzno-Historycznego Akademii Umiejętności w Krakowie” oraz w książce *Dyplomy i kancelaryja Przemysława II*. Na autorytet tego właśnie badacza powołują się historycy, którzy postulują zmianę datowania na rok 1290. Jednak nawet najbardziej prawdopodobne teorie i hipotezy nie zmieniają faktu, że w dokumencie podany jest rok 1286.

Warto dodać jako ciekawostkę, że autorzy niektórych opracowań historycznych, podając w dacie wystawienia dokumentu Przemysława II rok 1286, zmieniają jednocześnie dzień miesiąca z 19 listopada na 21 listopada. Podawanie różnych dat dziennych jest efektem różnej interpretacji zawartego w akcie nadania sformułowania określającego dzień jego wystawienia, które otrzymało następujące brzmienie: *tercia feria proxima ante diem beate virginis Katherine*, co można przetłumaczyć: *w najbliższy wtorek przed dniem Świętej Katarzyny Dziewicy*.

Jak widać, sprawa metryki naszego miasta jest dość zagadkowa. Kłopoty z metryką nie są zresztą obce również innym miastom, bywają one często przedmiotem dyskusji i sporów nie zawsze mających szansę na szybkie rozstrzygnięcie. Niedostatek danych źródłowych powoduje bowiem, że wiele faktów historycznych nie zostało do końca zbadanych i wyjaśnionych. Dlatego też, poruszając się w kręgu zagadnień historycznych, należy zawsze pamiętać, że w opisach naszych dziejów, obok faktów i dat jednoznacznie udokumentowanych, istnieją również takie, które oparte są na hipotezach badaczy.

Ta właśnie okoliczność zadecydowała o wyborze roku 1986 na obchody 700-lecia. Zachowując ostrożność przy korzystaniu z materiałów faktograficznych przyjęto wówczas za punkt wyjścia datę zapisaną w dokumentach źródłowych. Przyjmowanie innej daty, opartej na jakichkolwiek, nawet najbardziej prawdopodobnych hipotezach, uznano za zbyt ryzykowne. Uznano, że jubileuszowe uroczystości muszą mieć swoje uzasadnienie w dacie figurującej na dokumencie uznanym za metrykę miasta.

O wyborze daty obchodów 700-lecia miasta zdecydował niepodważalny fakt, że w zachowanym odpisie tego dokumentu podany jest rok 1286. W dokumencie tym nie ma żadnej wzmianki o Czaplinku, gdyż skupia się on głównie na opisie granic ziem nadanych templariuszom. Dokument Przemysława II jest więc dla Czaplinka metryką wyłącznie symboliczną.



Mimo upływu lat, data obchodów 700-lecia wciąż pozostaje w pamięci mieszkańców. O jubileuszu tym stale przypomina nazwa Osiedla 700-lecia oraz ustawiony na staromiejskim rynku pamiątkowy głaz z napisem 700 LAT CZAPLINKA 1286-1986, a także boczny ołtarz z tablicą pamiątkową w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego i rzeźba rybaka, zdobiąca czaplinecki rynek.

Niewiele jednak osób zna szczegóły dotyczące rocznicy obchodzonej w 1986 roku. Wiele osób wciąż błędnie sądzi,

że w 1986 roku obchodzono jubileusz 700-lecia nadania Czaplinkowi praw miejskich, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest to mit. Jako przykład może posłużyć lokalna ciekawostka, którą jest zaprojektowana

i wyemitowana przez miejscowych pasjonatów w lipcu 2010 roku czaplinska pamiątkowa moneta „7 czapli”.



Na pomysłowo zaprojektowanej, interesującej pod względem graficznym i estetycznie wykonanej monecie umieszczony został błędny – nie mający potwierdzenia w żadnych dokumentach historycznych – napis: *Prawa Miejskie od 1286 r.* Twórcy tej monety ulegli – niestety – popularnemu mitowi. Wielka szkoda, że ciekawa inicjatywa bicia lokalnej, pamiątkowej monety może teraz przyczyniać się do utrwalania i rozpowszechniania nieprawdziwej informacji o dacie nadania Czaplinkowi praw miejskich.

Zbigniew Januszaniec - ur. 1945, ekonomista, absolwent Wydziału Inżynieryjno-Ekonomicznego Transportu Politechniki Szczecińskiej; kierunek studiów: ekonomika transportu, doświadczenie zawodowe: bankowość spółdzielcza. Działacz społeczny, regionalista, autor wielu publikacji historycznych i krajoznawczych poświęconych głównie terenom Pojezierza Drawskiego, ze szczególnym uwzględnieniem Czaplinka i jego okolic.



Zbigniew Mieczkowski

Gniazdo rodowe Güntersbergów nad Drawą 1299 – 1734. Od zabójstwa Przemysła II do wymarcia linii rodowej

W ostatnim okresie historycy dość często powracają do Nowomarchijskiej Księgi Ziemskiej margrabiego Ludwika Starszego z 1337 roku (dalej Landbuch). Jedną z osi dyskusji wokół tego dokumentu dotyczy roli rodu Güntersbergów na burzliwym pograniczu Brandenburgii, Pomorza Zachodniego, Wielkopolski i Zakonu Krzyżackiego. W wielkim uogólnieniu istniały na tym terenie trzy ważne gniazda rodowe. Pierwsze (reckie) nad Iną w rejonie wsi zamkowych Bytów – Wapnica, gdzie nieopodal znajdowało się Güntersberg – dzisiejsze Nosowo. Kolejne (krajęńskie) leżało w widłach Gwdy i Noteci. Jego centrum stanowił zamek w Ujściu. Nas najbardziej interesuje to trzecie, położone na lewym brzegu Drawy, gdzie w oparciu o zamki w Lubieszewie i Kaliszu Pomorskim – wyodrębnił się dość duży kompleks kilkudziesięciu wsi. Dystrykt ten przez wieki utożsamiany był z włościami określanymi jako „Bona illorum de Gruthow (posiadłościami panów de Gruthow) - identyfikowanych jako Güntersbergowie z „Terra Callis” – ziemi kaliskiej.



Herb rodu Güntersbergów z pocz. XIV w.

Początki Güntersbergów na Pomorzu Zachodnim

Wielki ród Güntersbergów przybył do Szczecina przed 1278 rokiem prawdopodobnie z gór Harz, gdzie istnieje do dziś miasto Güntersberg. Jest wielce prawdopodobne, że zanim zajęli oni miejsce wśród elit Szczecina, wcześniej osiedlili się na ziemi wkrzańskiej, gdzie w okolicach Angermünde istniała wieś Güntersberg. Przedstawiciele tej rodziny szybko opanowali wiele posiadłości w obecnych powiatach: szczecińskim, stargardzkim, choszczeńskim, drawskim, wałeckim i pilskim. Szczególnie rodzina ta stała się popularna na pograniczu Księstwa Zachodniopomorskiego, Nowej Marchii i Polski. Faktem historycznym pozostaje, że Jakub I Güntersberg był rajcą szczecińskim, którego książe Bogusław IV wymienia wśród świadków nadania przywilejów cysterkom szczecińskim w 1277 roku. Jako szczeciński radny, Jakub wielokrotnie występował w czynnościach prawnych księcia, za które otrzymywał wynagrodzenie 20 grzywien fenigów z mennicy szczecińskiej i komory celnej Bogusława IV. Miał on w tym czasie prawdopodobnie około 40 lat, gdyż podnoszono w tych czynnościach prawa dziedziczne jego synów, którzy musieli być już pełnoletni.

Jego pozycja jako rajcy miejskiego Szczecina rosła, czego wyrazem było to, iż szybko awansował ze stanu mieszczańskiego do orszaku rycerskiego z siedzibą na zamku Rawenstein w dzisiejszej Wapnicy. Stał się też właścicielem takich pobliskich wsi, jak Butow (Bytów) i Güntersberg (Nosowo). Paul van Niessen uważał, że rodzina ta po 1284 roku wykazała się nielojalnością względem Bogusława IV i po zacieśnieniu związków z Brandenburgią przeniosła się do Nowej Marchii. Fakt ten ma kolosalne znaczenie dla miejsca i roli, jaką ten ród odegrał w przyszłości na interesującym nas terenie.

Herb rodziny Güntersbergów od 1300 roku ulegał wielu modyfikacjom ze względu na mnogość linii rodowych. Jego kolejne mutacje są skażone presją heraldyczną linii skandynawskiej tej rodziny. Wspólnym motywem wszystkich jego wersji zawsze były trzy głowy dzika. W Nowej Marchii najczęściej używanym herbem był ten zamieszczony wyżej. Identyczny wizerunek przyjęła rodzina von Zadow, blisko spokrewniona z Güntersbergami. Herb przedstawia na czerwonym tle srebrną tarczę z poprzecznie przecinającą ją belką i umieszczonymi na niej trzema łbami dzików z otwartymi pyskami i wysuniętymi



Skandynawska wersja herbu Güntersbergów

językami. W górnej części tarczy umieszczono hełm zbroi rycerskiej, nad nim zaś czerwoną spiczastą czapkę z powtórным wizerunkiem trzech dziaków na srebrnej ukośnej belce. W wersji skandynawskiej zamiast czapki jest kapelusz, zakończony trzema piórami czapli: białym, czerwonym i czarnym. Linia spokrewniona z rodziną Arenswalde używała w swoim herbie motywu dwóch łbów dzika, co odzwierciedla płyta epitafijna z kościoła w Reczu. Pewne uzasadnienie dla wizerunku herbu Güntersbergów stanowi poniższa legenda.

Pomorski książę Bogusław posiadał na wyspie jeziora w Wapnicy, pomiędzy Reczem i Suchaniem, swój zamek. Ta solidna warownia zabezpieczała burzliwe pogranicze pomiędzy Polską a Pomorzem. Rozdzielający te dwie strony las obfitował w dziczyznę. Na sędziwych dębach swe gniazda zakładały sokoły. Od tego faktu przyjęła się nazwa – Sokoli Las. To stąd sokolnicy pozyskiwali młode ptaki, by je przysposabiać do polowań, głównie na czaple, które łupiły z ryb wapnickie jezioro. Czaple pióra, jako trofeum myśliwskie, zdobiły kapelusze szlachetnie urodzonych kobiet. Podobnie ozdobiony kapelusz myśliwski posiadał również książę Bogusław, który za futrzanym otokiem z gronostaja nosił sześć czaplich piór. Pewnego razu książę ze swoją żoną udał się na polowanie do Sokolego Lasu. Nagle pojawił się olbrzymi dzik, za którym książę ze swym łowieckim orszakiem oraz sforą psów udał się w pogoń. Na czele pościgu poruszał się Bogusław na pięknym karoszu. Gdy sfora osaczyła zgonioną ofiarę, książę zeskoczył z konia i zadał dzikowi śmiertelne uderzenie mieczem. W tym samym momencie dwa inne, rozsierdzone odyńce rzuciły się na księcia. Gdy upadł na ziemię, a śmierć zajrzała mu w oczy, pojawił się pasterz Günter ze wsi Falkenwalde, który w lesie wypasał konie. Jednego dzika zabił oszczepem, a drugiego powalił uderzeniem topora. Gdy nadjechała świta, książę zaczął wychwalać koniopasa za odwagę. W pewnym momencie, zgodnie ze starym obyczajem, nakazał mu uklęknąć i uderzając go lekko trzy razy mieczem w plecy, pasował na rycerza. Na pamiątkę ocalenia życia Bogusław podarował świeżo upieczonemu rycerzowi swój kapelusz z wpiętymi w otok z futra gronostaja trofeami myśliwskimi i sześcioma czapliwymi piórami. Książę zezwolił też na przy-



Stylizowany herb Güntersbergów (rys. G.J. Brzustowicz)

ozdobienie ofiarowanego kapelusza wizerunkiem trzech głów dzika. Dał także zgodę na zbudowanie we wsi rycerza zamku, który powstał na obecnym placu przy kościele. Wieś ta, od tamtego momentu, od imienia rycerza przez wieki nosiła miano Güntersberg, a dopiero po 1945 roku przyjęła nazwę Noso-wo. Dla podkreślenia rycerskości i podniesienia rangi wsi zamkowej,

Bogusław podarował Günterowi tyle ziemi, ile ten zdołał objechać jednego dnia na swoim rączym koniu. Z biegiem lat rodzina Güntersbergów przejęła książęcy zamek w Wapnicy, a w okolicy stworzyła dość obszerne gniazdo rodowe.

Motyw dzika, wielokrotnie powielany w herbie Güntersbergów, miał w średniowieczu bardzo nośne przesłanie wśród rodów rycerskich. Dzikowi przypisywano wręcz demoniczne właściwości. Odyniec był utożsamiany z rycerzem lasów i miał symbolizować siłę oraz odwagę. Na tarczy rycerza potwierdzał jego męstwo, potęgę i brutalność w walce do upadłego. Rycerz polujący na dziki i spożywający ich mięso uważany był za przejmującego od tego zwierzęcia jego siłę.

Czy Jakub Güntersberg vel Kaszuba jest zabójcą polskiego króla Przemysła II i założycielem Lubieszewa?

W zasadzie od pierwszej wzmianki z 1320 roku niemieckiej nazwy Guntershagen (również w 1337 r.) oraz Guntirshagen (1349 r.) w źródłach historycznych nazwa tej miejscowości ulegała tylko nieznacznym zmianom do 1945 roku. Dotyczy to pojawienia się przegłosu „ü”, akcentującego drugą zgłoskę w nazwie wsi oraz licznych zniekształceń pojedynczych liter w nazewnictwie miejscowości, zapisanych w obu wydaniach Landbucha z 1337 roku. Pochodzenie nazwy miejscowości jest dość jednoznaczne, gdyż w jej etymologii dominują tylko dwie poważne hipotezy. Pierwsza wskazuje na powszechne w XIV wieku w „Terra Callies” nazwisko rodowe Güntersbergów. Druga akcentuje dość pospolite imię Günter, często używane na pograniczu polsko-niemieckim. Nie przesadzamy ani nie odrzucamy żadnej z tych wersji, gdyż fakty przemawiają jednoznacznie za nazwiskiem i imieniem jednocześnie. Przy takim założeniu potwierdzałyby się historyczna wersja, że początkiem Lubieszewa jest moment nadania w 1299 roku położonych tu łąnów Jakubowi I Güntersbergowi, jako „nagrody” za jego udział w wyprawie margrabiów brandenburskich z 1296 roku przeciwko królowi polskiemu Przemysłowi II. Utożsamiany jest on z mordercą polskiego króla, Jakubem Kaszubą.



Przemysł II wg J. Matejki

Hipotezę taką wysnuł wielki autorytet dziejów Nowej Marchii, profesor Edward Rymar.

Wyjaśnienie związków Jakuba I Güntersberga z Jakubem Kaszubą ma fundamentalne znaczenie dla przypisania ojcostwa w założeniu Lubieszewa oraz określenia daty jego powstania. Nie mamy podstaw wątpić ani nie mamy takiej wiedzy, by podważać wersję profesora Edwarda Rymara. Tym bardziej, że na przestrzeni dość długiego okresu nie doczekała się ona poważniejszej, konkurencyjnej hipotezy, weryfikującej jego dociekania

naukowe. Będziemy jednak ją wspierać faktami związanymi z historią Lubieszewa (Güntershausen). Sam profesor zastrzegł, że ze względu na fragmentaryczność materiału źródłowego jego wersja ma wymiar wyłącz-



Zabójstwo Przemysła II wg J. Matejki

nie domniemania. Podstawowa jego teza sprowadza się do tego, że Jakub I Güntersberg to ta sama postać, co Jakub Kaszuba, morderca polskiego króla Przemysła II spod Rogoźna z 1296 roku.

Przykładem nielojalności Jakuba Güntersberga i jego synów względem księcia Bogusława IV było oddanie bez oporu w 1295 roku zamku w Wapnicy Brandenburczykom. Rok później wystąpili oni po stronie margrabiów brandenburskich w akcji zbrojnej przeciwko królowi polskiemu Przemysłowi II. Jako motywy tej wyprawy wymienia się niechęć przeciwko niedawnej koronacji lub pomszczenie wcześniej przypisanego królowi zabójstwa pierwszej żony, księżniczki meklemburskiej Ludgardy, wnuczki Barnima. Rankiem w środę popielcową 8 lutego 1296 roku wojska brandenburskie najechały Rogoźno, gdzie po nocnych, zapustnych hulankach z wielką ilością trunków odpoczywał Przemysł II. W walce król odniósł liczne rany, które hamowały ucieczkę napastników podczas próby jego uprowadzenia. Porzucono go więc nieopodal wsi Sierniki (Porąblice), a niejaki Jakub Kaszuba prawdopodobnie dobił rannego króla nożem. Inna wersja mówi o poćwiartowaniu ciała Przemysła II. Obecność Jacoba Kaszube odnotowano w dobrach cysterskich, gdzie przed akcją w Rogoźnie i po niej wielokrotnie przebywał. Jakuba z Wołogoszczy, która należała do włości Güntersbergów, wymieniono jeszcze w 1297 roku wśród urzędników margrabiów brandenburskich. Nie dziwi przyjęcie przez niego pseudonimu, gdyż nawet w tamtych barbarzyńskich czasach zabójstwo króla było

czymś nadzwyczajnym w stosunkach dyplomatycznych. Nie usprawiedliwia tego czynu kwestionowanie przez część ówczesnej Europy faktu, że koronacja Przemysła II dokonała się 26 czerwca 1295 roku z rąk arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba Świnki bez formalnej akceptacji papieskiej. Nieco ponad pół roku później ten orędownik zjednoczenia Polski po podziale dzielnicowym już nie żył. Okoliczności tej zbrodni do dziś budzą wiele kontrowersji wśród historyków. Niektórzy widzą w niej współudział trzeciej żony króla - Małgorzaty, córki Albrechta III, margrabiego brandenburskiego z Meklemburgii. Inni, których jest znacznie więcej, wskazują



Mord Przemysła II wg W. Gersona

na zdradę możnych, wielkopolskich rodów Nałęczów i Zarebów. Sławni polscy malarze Jan Matejko i Wojciech Gerson namalowali wspaniałe dwie wersje śmierci polskiego króla. Jedna przedstawia śmierć w walce, druga pokazuje, że był to ohydny mord.

Wywód profesora Edwarda Rymara, że Jakub I Güntersberg po przejściu na służbę u margrabiów brandenburskich skrył się pod nazwiskiem Kaszuby, jest bardzo długi. Choć ze względu na upływ czasu nie ma dowodu wprost na tę hipotezę, to pogląd ten jest bardzo spójny i przejrzysty. Kaszubami nazywano w tym czasie mieszkańców pogranicza górnej Drawy i Wielkopolski. Zdaniem profesora E. Rymara nazwiska tego nie można przypisać do żadnej innej miejscowości na tym terenie, niż ówczesne włości tej rodziny. Natomiast imię Jakub, spośród innych występujących na tym terenie, wskazuje na Güntersberga.

W 1299 roku Jakub I Güntersberg vel Kaszuba za udział w wyprawie pod Rogoźno i zabójstwo polskiego króla został sowiec wynagrodzony włościami na wschód od Drawy, wśród których było i Lubieszewo. Jest to

ważny moment w tworzeniu potęgi tego rodu na pograniczu Nowej Marchii i Wielkopolski, gdzie po skoligaceniu się z rodziną Kenstelów stali się



Zamek Güntersbergów w Kaliszu Pom.

oni prawdziwymi potentatami dóbr pomiędzy Złocieńcem, Kaliszem, Drawnem i Mirosławcem. Stworzyli tu gniazdo rodowe znacznie przekraczające swym rozmiarem dotychczasowy recki „kompleks” Wapnica – Bytowo – Nosowo i „krajeński” w rejonie Ujścia, gdzie Gwda wpada do Noteci. Niebawem, ok. 1350 roku poszerzyli go o włości w Lubieniowie, Kraśniku i Kiełpi-

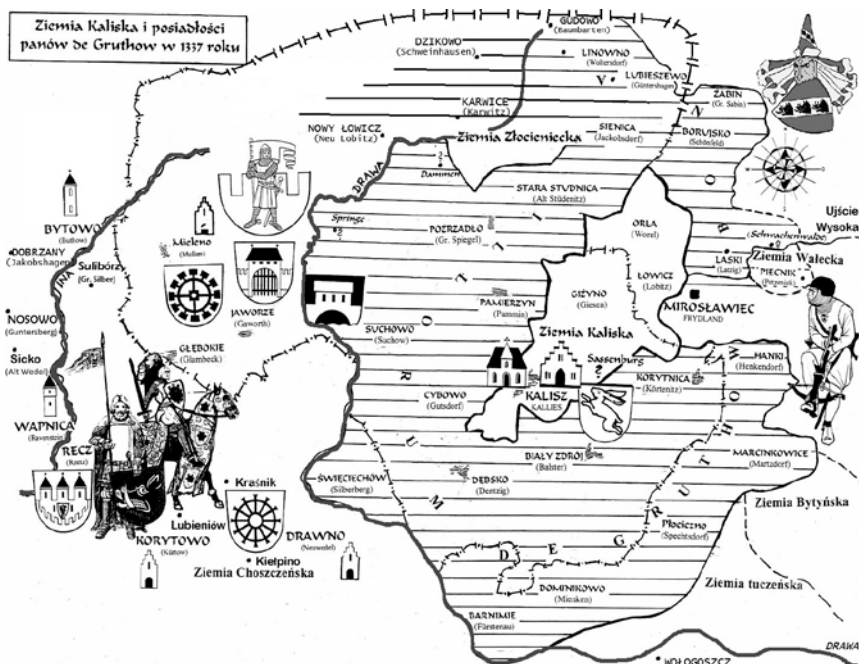
nie w ziemi choszczeńskiej. Lubieszewo w tym układzie odgrywało bardzo ważną rolę, gdyż było wsią zamkową, podnoszącą prestiż tej rodziny, zanim stali się oni panami na zamku w Kaliszu. Już po odbudowaniu zamku w Wapnicy Güntersbergowie weszli do elitarnego grona rycerstwa zamkowego, z niemiecka zwanego „Schlossgesessene”.

Należy z tego wnioskować, że Lubieszewo powstało pomiędzy rokiem 1299 a 1304. Podzielać więc pogląd prof. E. Rymara, który odnośnie powstania tej wsi napisał: „Od końca XIII wieku wieś należy do Güntersbergów, którzy mieli tu jedną z głównych siedzib zamkowych”.

Panowanie Güntersbergów herbu trzy głowy dzika nad Drawą

Według prof. Edwarda Rymara Jakub I Güntersberg po otrzymaniu w 1299 roku swych posiadłości nad Drawą zaszył się na stałe we wsi Wołogoszcz koło Dobiegniewa. Od 1304 roku obserwujemy na tym terenie wyjątkową aktywność jego synów: Güntera, Janeke i Waltera, którzy budują tu potęgę tego rodu. Już w 1299 roku odnotowano obecność dwóch pierwszych w Choszcznie, w trakcie potwierdzenia dóbr dla pęczyckich cysterek. W 1304 roku notowani są oni w Dzikowie (Schweinhausen). Należy zaakcentować prawidłowość, że po panowaniu tej rodziny tylko w trzech wsiach po prawej stronie Drawy – Dzikowie, Karwicach i Nowym Łowiczu - opanowała ona kilkadziesiąt wsi na wschód od tej rzeki. Oprócz Lubieszewa stali się właścicielami całych lub części takich wsi, jak: Płociczno, Świeciechów, Marcinkowice, Hanki, Borujsko, Żabin, Łaski Waleckie, Barnimie, Dominikowo, Chomętowo, Stara Korytnica, Biały Zdrój, Piecnik, Dębsko, Cybowo, Suchowo, Pomierzyn, Pożrzadło Wielkie, Stara Studnica, Sienica, Springe (młyn k. Zatonia), Linowno, Gudowo, Niemieńsko, Sadowo.

Z przedstawioną wcześniej hipotezą powstania Lubieszewa nieco w sprzeczności czasowej stoi legenda, zaczerpnięta ze zbioru podań ludowych Otto Knoopa. W rozdziale „Jak powstała wieś Güntershausen” wspomina on, że w czasie walk Szwedów o Pomorze do mieszkającego



Posiadłości panów de Gruthow na Ziemi Kaliskiej w 1337 r. (za G.J. Brzustowicz)

nad brzegiem jeziora Lubie Güntera przybył Wielki Elektor. W trakcie rozmowy Günter wskazał mu położenie wojsk szwedzkich. Informacje te przyczyniły się do zaskoczenia i pokonania Szwedów. Za pomoc w odniesieniu zwycięstwa Günter otrzymał włości, które od jego imienia otrzymały nazwę Güntershagen. Zważywszy na to, że w każdej legendzie jest część prawdy historycznej, należy oddzielić fakty od mitów. Bezspornym faktem historycznym jest przyznanie Jakubowi I Güntersbergowi łań w Lubieszewie za wyprawę z 1296 roku pod Rogoźno. Fałszem natomiast jest wymienianie w tej legendzie Szwedów. Prawdopodobnie autor legendy miał na myśli Polaków i towarzyszących im Litwinów, którzy pod wodzą Władysława Łokietka czynili w tym rejonie w 1326 roku olbrzymie spustoszenie. Jednak w tym czasie panem na Lubieszewie był już syn Jakuba I – Günter Güntersberg, który faktycznie mógł rozbudowywać wieś na włościach przyznanych ojcu. To prawdopodobnie od jego imienia, a jednocześnie i nazwiska, pochodzi nazwa wsi.

Próby interpretacji tej legendy podjął się przed 1886 rokiem W. Kort, nauczyciel z pobliskich Karwic. Zauważył on, że Lubieszewo musiało powstać jeszcze przed pojawieniem się na Pomorzu Szwedów. Przytoczył argument, że w źródłach wieś ta z zamkiem występowała już w 1364 roku. Z pewnością nawiązał on do księgi ziemskiej margrabiego Ludwika Starszego z 1337 roku, gdzie dwukrotnie wymieniono nazwę wsi i zamek należący do Nowej Marchii. Georg Wilhelm von Raumer, redaktor jednego z dwóch wydań Landbucha z 1337 roku, pośrednio dowodzi, że wieś została zbudowana

przez Güntera z Güntersbergów, do których, według księgi ziemskiej z 1375 roku cesarza Karola IV, wciąż jeszcze należała. Godzi się w tym miejscu przypomnieć, że Günter był jednym z trzech synów Jakuba I, który otrzymał nadania w Lubieszewie w 1299 roku. Nie wdając się w semantykę, uważamy Jakuba za pierwszego właściciela tutejszych łąnów. Natomiast jego syn Günter prawdopodobnie dopiero zbudował wieś. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem nazwał ją od swojego imienia. Uzupełniając nazwę końcówką „-hagen”, co oznaczało pustkę po wypaleniu lasu, dał przekaz, że zakładał ją „na surowym korzeniu”, tzn. od podstaw.

Za wyprawę pod Rogoźno Jakub Güntersberg otrzymał też połowę sąsiedniego Linowna. Druga połowa w tym czasie należała do Wedlów, których za tę samą akcję margrabia nagroził częścią ziemi złocienieckiej. Prawdopodobne jest, że obie te miejscowości mają jednakową metrykę. Nie wiemy, która z rodzin jest założycielem tej wsi. Jeśli ojcostwo przypiszemy Güntersbergom, to jej założycielem mógł być Walter, brat Güntera z Lubieszewa, późniejszy proboszcz w Drawsku, który nadał wsi nazwę Woltersdorf

14) Das Land Calles war nach dem neumärkischen Landbuch ganz umgeben von den Gütern derer von Bruthom. Eine solche Familie kommt sonst nicht vor und Wohlbrück vermuthet daher, daß von den von Brunkow, deren Stammhaus Brunk im Neuhofstrich liegt, die Rede sei. Mir ist indessen nicht ganz unwahrscheinlich, daß gelesen werden müsse: de Buethow und dann wäre von den Güntersbergen die Rede, welche im Jahre 1336 von Markgraf Ludwig die Erlaubniß erhielten, in Butow (Bütow, Arnswalder Kreises) eine Feste zu bauen, denen aber derselbe Markgraf schon 1338 befohl, das castrum Butowe wieder einzureißen und statt dessen ihr Schloß Rabensteyn bei Neetz in Pommern, welches ihnen der Markgraf zerstört hatte, wieder aufzubauen. Da die Güntersberge mithin gerade zur Zeit der Abfassung des neumärkischen Landbuchs mit Erbauung des Schlosses zu Bütow beschäftigt gewesen sein müssen, so ist es nicht unwahrscheinlich, daß sie damals kurzweg illi de Buethow genannt wurden. Hierzu kommt, daß Güntershagen am Lubefsee als Hauptbesitzung zweimal im Landbuch genannt wird, welches auch 1364 (Guntershagen, Conradshagen) und in Kaiser Carls Landbuch (Günthershagen) als ein zur Neumark gehöriges Schloß vorkommt und zweifelsohne von einem Günter von Güntersberg angelegt ist, denen es nach Kaiser Carls Landbuch noch damals (nebst Eraginick) gehörte. Gewiß ist es, daß die von Güntersberg bis zu ihrem Aussterben hier große Güter, namentlich Bälster, besaßen, welches König Friedrich Wilhelm I.

Fragment komentarza do Landbucha z 1337 r. dotyczący zamku w Lubieszewie (za W. Raumerem)

od swojego imienia. Natomiast ze źródeł dowiadujemy się, że w należącym do Wedlów pobliskim Łowiczu Wałęckim na początku XIV wieku mieszkał rycerz Walter Woltersdorf. Wielce prawdopodobne jest, że Wedlowie jako właściciele Łowicza, wówczas nazywanego Starym (Alt), swojego lennika mogli przenieść ok. 15 kilometrów na zachód, by zakładał tam wieś na surowym korzeniu. Być może od jego imienia i nazwiska pochodzi więc nazwa Woltersdorf, przypisana tej wsi aż do 1945 roku. Jednak bardziej wiarygodną wersją wydaje się pochodzenie nazwy wsi od Waltera Güntersberga.

Rangę ówczesnego Lubieszewa podnosi umieszczony w Landbuchu zapis, że jest ono jedną z głównych siedzib Güntersbergów z zamkiem.

Nie mógł w tym czasie konkurować z Güntershausen Kalisz, gdzie Güntersbergowie dopiero w 1373 roku przejęli od Wedlów zamek. Natomiast istnienie zamku w Lubieszewie dwukrotnie było potwierdzone już w 1364 roku. Obok wspomnianej księgi ziemskiej z 1337 roku fakt ten został powtórzony w układzie cesarza Karola IV, margrabiego Ludwika Rzymianina i Ottona Brandenburskiego z 1364 roku, gdzie zamek w Güntershausen wymieniana się pośród innych warowni w Nowej Marchii. Akcentuje się tam, że „zamek (...) z całą pewnością został zbudowany przez Güntera z Güntersbergów, do których według księgi ziemskiej cesarza Karola jeszcze należał”.

Nie mamy danych, co do rozmiarów tej budowli obronnej, która wskazywałaby na pozycję rodziny. Zamek nie jest opisany w dość bogatej literaturze, poświęconej zamkom średniowiecznym. Prawdopodobnie, jak większość zamków rycerskich z tego okresu w Nowej Marchii, była to budowla typu drewniano - ziemnego. Główne elementy takich obiektów stanowiły wówczas kłody z twardego drewna dębowego, układane na przemian na planie czworoboku wzdłuż i w poprzek, uzupełniane gliną i przysypane ziemią. W środku takiego „kopca” stał w kształcie wieży dom mieszkalny rycerza. Wysokość wałów ziemnych wahała się od 4 do 9 metrów. Wymiary majdanów oscylowały w granicach 25-30 metrów, a ich kształt zbliżony był do kwadratu. Taki opis daje autorytet w dziedzinie budowli warownych na terenie Pomorza Zachodniego - Zbigniew Radacki. Wzoruje się on na zamku rycerskim z Ostrego Barda w gminie Połczyn Zdrój, zbudowanym po 1332 roku przez osiadły tu ród von dem Wolde z Rugii. Należy nadmienić, że rodzina ta miała prawdopodobnie podobny zamek w pobliskim Olesznie w czasach, gdy należało do niej także jezioro Lubie. Nieco później posiadała też połowę zamku w Złocińcu. Budowle te trochę na wyrost nazywane były zamkami. Ich powstawanie było skutkiem strat, jakie wystąpiły na tym terenie po najeździe Władysława Łokietka z 1326 roku. Dla utrzymania stanu posiadania margrabiów w Nowej Marchii i podniesienia bezpieczeństwa tej prowincji, zamki tego typu powstały jeszcze w pobliskich miejscowościach: Jankowie, Olesznie, Studnicy, Mielnie Starogardzkim oraz Jaworzu i miały strzec spokoju margrabiów na burzliwym pograniczu. Zamek w Lubieszewie stał z pewnością na miejscu starego grodziska na półwyspie jeziora Lubie. Odcinała go od „lądu” fosa, po której do dzisiaj pozostał wyraźny ślad. Zasada budowy grodzisk w takich miejscach najbardziej obrazowo przedstawiona jest w średniowiecznym opisie Ibrahima ibn Jakuba – „*Gdy ci (Słowianie) chcieli budować gród, szukali*



Efekt pracy bobrów na lubieszewskim grodzisku (fot. ZM)

scach najbardziej obrazowo przedstawiona jest w średniowiecznym opisie Ibrahima ibn Jakuba – „*Gdy ci (Słowianie) chcieli budować gród, szukali*

wilgotnych terenów, zasobnych w wodę i trzęsawiska. Wyznaczali tu kuliste lub czworoboczne place według postaci, jaką gród mógł przybrać. Potem kopali fosy, wyrzucając ziemię. Ziemię tę umacniali dylami i belkami, by odpowiadała odpornością murów z gliny. Gdy wał osiągnął pożądaną wysokość, na brzegu wyznaczonym zakładano bramę, a od niej nad wodą fosy drewniany most”. Obecnie to urokliwe miejsce skutecznie penetrują bobry, zakładając tu swoje żeremie.

Bona illorum de Gruthow – Güntersbergowie czy Wedlowie?

W wywodzie dotyczącym początków panowania rodu Güntersbergów na ziemi kaliskiej jest wiele nieścisłości i sporo niekonsekwencji w interpretacji źródeł. Największe wątpliwości współcześnie budzi identyfikacja terminu „panowie de Gruthow”. Przez wieki panował pogląd, że mianem tym określani zostali w Landbuchu z 1337 roku Güntersbergowie, a nie Wedlowie, jak próbuje to obecnie uzasadnić niemiecki historyk Christian Gahlbeck. Główna wątpliwość sprowadzana jest do tego, że ród ten nie posiadał w tym czasie w rejonie Kalisza większych dóbr. Stoi to w oczywistej sprzeczności z uznaną wówczas, wysoką pozycją tej rodziny. Jej znaczenie potwierdza fakt, że przedstawiciele tego rodu, obok Wedłów, byli świadkami lokacji Wałcza i Kalisza w 1303 roku. Jeszcze przed spisaniem Landbuchu posiadali w latach 1316-1336 zamek w Ujściu nad Notecią i wiele dóbr ziemskich nad Gwdą. Atrybutem wysokiej pozycji tej rodziny było rozległe gniazdo rodowe w rejonie Wapnicy, Bytowa i Nosowa, nazywanego wówczas „Güntersberg”. Posiadali tu też takie miejscowości jak: Dobrzany, Sulibórz, Suliborek i Rybaki. Ważną rangę polityczną tego rodu potwierdziło przyznanie jej przez margrabiego brandenburskiego



Tarcza Güntersbergów z zamku w Wapnicy (Int.)

go 24 lipca 1336 roku przywileju budowy zamku w Bytowie. Przeniesienie tego przywileju rok później na umocnienie zamku w pobliskiej Wapnicy, przy jednoczesnym nakazaniu zburzenia ledwo co rozpoczętej budowli w Bytowie, miało prawdopodobnie uzasadnienie w ówczesnej strategii militarnej i lepszym położeniu Wapnicy. Decyzja margrabiego Ludwika co do tych dwóch położonych po sąsiedzku zamków zbiegła się też z obietnicą władcy czynienia kroków dyplomatycznych w celu odzyskania przez Güntersbergów ich zamku rodowego w Ujściu nad Notecią. Nieco później, od 31 marca 1354 roku, uzyskali oni zgodę na

budowę kolejnego zamku w Kraśniku koło Drawna. Powstało tu kolejne ich gniazdo rodowe, w skład którego wchodził jeszcze Lubieniów i Kiełpino. Na Ziemi Choszczeńskiej posiadali jeszcze Radaczewo, Sławęcín, Piasecznik, Pomień, Strumienno, Chomętowo i Kolsk. Pół wieku później Güntersbergowie władali też połową zamku w Pęczynie.

Faktem jest, że na początku XIV wieku Güntersbergowie poprzez spokrewnienie stali się właścicielami większości dóbr należących do Kenstelów, którzy w rejonie Kalisza byli dotychczas potentatami ziemskimi. Za taką tezę przemawia to, że rodzina ta zaczęła dopisywać do swojego nazwiska przydomek „Kenstel”, by po niedługim czasie nazwisko to całkowicie uległo zapomnieniu. Güntersbergowie ukrywali się jeszcze pod wieloma innymi nazwiskami z tego terenu: Rewenstein, Arenswald, Zadow. Wspólnie rodziny te z czasem zlały się w jeden potężny klan Güntersbergów herbu trzy głowy dzika.

Ród Güntersbergów w tym czasie kroczył po dworach i salonach na równi z Wedłami. Oprócz udziału w lokacji Wałcza (Janeke) i Kalisza w 1303 roku, świadkowali oni powołaniu w 1304 roku filii zakonu norbertanek z Białoboków i w 1320 roku drawskiej filii augustianek z Pyrzyc. Rok wcześniej dwaj bracia, Günter i Janeke Güntersbergowie, byli wymienieni wśród świadków lokacji Choszczna (29.09.1319) i Chojny (4.10.1319). Potwierdzeniem ich wysokiej pozycji było wiele misji dyplomatycznych i mediacyjnych, jakie powierzali im nawet skłóceni z sobą monarchowie, zabiegając o ich względy i poparcie. Ród ten wielokrotnie też w imieniu rycerstwa nowomarchijskiego składał hołdy lenne władcom, ale też przyjmował potwierdzenia do coraz rozleglejszych włości.

Jak dowodzi Anna Malinowska w swoich przyczynkach do historii Drawska, przedstawiciel tej rodziny – Walter - był już w 1320 roku proboszczem w Dramburgu. Tutaj, jako syna Jakuba I, założyciela Lubieszewa oraz brata Güntera i Janeke, identyfikuje go również profesor Rymar. Niebawem, bo w 1326 roku, na mocy decyzji papieża Jana XXII Walter Güntersberg awansował na kanonika katedralnego w Kamieniu. Jednocześnie utrzymywał on swoje probostwo w Drawsku, zarządzane do 1329 roku przez wyznaczonego wikariusza. Dość dobrze jest udokumentowana jego dalsza droga życiowa jako archidiakona w Demmin na Pomorzu Przednim i wcześniejsza jego funkcja, od 5 stycznia 1327 roku, jako notariusza księcia pomorskiego w Szczecinie. Ostatni raz w roli kanonika kapituły kamieńskiej odnotowano go w źródłach z 10 kwietnia 1339 roku. Zmarł 16 października tego samego roku.

Nie podzielam poglądu niemieckiego historyka Christiana Gahlbecka, że wymienieni w Landbuchu z 1337 roku „panowie de Grüthow” to Wedlowie, a nie Güntersbergowie. Jego teza burzy panujący od wieków pogląd, że tym mianem określano Güntersbergów. Wymienione w najważniejszym źródle historycznym z tamtego okresu, jakim jest

księga ziemska margrabiego Ludwika Starszego z 1337 roku, wsie zaliczone do „Bona illorum de Gruthow” to rozległe włości Güntersbergów. Władali oni tu 27 całymi wsiami, a w dwóch kolejnych posiadali połowę arealów. Łącznie posiadali w nich 1.800 łanów. Gra literami i wyrazami Gruthow, Kürtow, Bütow nie jest przekonująca, gdyż cały Landbuch roi się od takich literówek.

Nie wdając się w dywagacje z poważnymi historykami, pozostając na trwającym przez wieki stanowisku, że Gruthow to w istocie Bytów, leżący w połowie drogi pomiędzy Reczem a Ińskiem, gdzie Güntersbergowie mieli swoje gniazdo rodowe jeszcze przed włościami wokół Kalisza. Termin „panowie de Gruthow” wziął prawdopodobnie swoje pochodzenie odmiejscowe z zaakcentowaniem pierwszej litery nazwiska Güntersbergów, którego wysoką pozycję w okresie rodzenia się Landbucha z 1337 roku trudno jest kwestionować. Jeśli w tym najważniejszym źródle historycznym występują wielokrotnie obok siebie te największe na tym terenie rodziny – Güntersbergowie i Wedlowie, to trudno jest uzasadnić tezę o zaszyfrowaniu drugiej z nich terminem „panowie de Gruthow”. Wedlowie mieli wówczas w tym regionie niekwestionowaną, nieomal książęcą pozycję. Dlatego prawdopodobnie w Landbuchu chodziło o dodatkowe podkreślenie dyplomatycznej pozycji Güntersbergów, którzy potrafili wykorzystać koniunkturę, by wznieść się na szczyty stanu rycerskiego



Enklawa „Bona illorum de Gruthow” z 1337 r. (za W. Raumerem)

w Nowej Marchii. Wyróżnienie w Landbuchu „Terra Kallisz”, której właścicielem był Henryk von Wedel (Hinric de Wedel) i dóbr tuczeńskich (et primo terra Tenczick) Ludolfa de Wedla, a także niewątpliwie Wedlów z dwóch „terra” Złocieniec oraz Bytyń i bezpośrednio po nich wymienienie „panów de Gruthow” (Bona illorum de Gruthow) wskazuje, że idzie tu o inną rodzinę niż Wedlowie. Innych „panów” o równie wysokiej pozycji jak Güntersbergowie w rejonie Kalisza w tym czasie nie było. Należy domniemywać, że autor Landbuchu, wyodrębniając „Bona illorum de Gruthow”, otoczoną licznymi „terra”, należącymi do Wedlów, chciał wskazać na olbrzymią dysproporcję pomiędzy prawie księstwem Wedlów a „nowobogackim” dystryktem, należącym do Güntersbergów. Określenie „dystrykt” odnosi się do jego zestawienia z wszystkimi „terra”, należącymi do Wedlów, gdyż obszarowo „Bona...”, należąca do de Gruthow, była kilkanaście razy większa powierzchnioowo od dóbr Wedlów z enklawy „Terra Callies”, którą stanowiło miasto i tylko trzy wsie. Wobec braku jednoznacznych źródeł spór ten pozostaje nadal otwarty.

Stanowisko Christiana Gahlbeka, identyfikujące po wiekach „panów de Gruthow” jako Wedlów, oparte na różnicy ich pozycji, może być traktowane wyłącznie jako hipoteza. Jeśli uwzględnimy fakty, że oryginał Landbuchu Ludwika Starszego z 1337 zaginął, podobnie jak jego kopia wykonana po 1375 roku, a dostępna jego wersja, mówiąca o stanie posiadłości w Nowej Marchii z okresu 1334 – 1372, datowana jest na pierwszą połowę XV wieku, trudno kwestionować wysoką pozycję Güntersbergów.

Güntersbergowie z Kalisza i Lubieszewa

Powróćmy jednak do historii czterech wieków panowania rodu Güntersbergów na tym terenie, ze szczególnym odniesieniem się do jednego z gniazd rodowych, jakim w średniowieczu było Güntershausen. W 1349 roku Lubieszewo liczyło 105 łanów, z czego 28 było opuszczonych, a cztery tradycyjnie należały do kościoła. Wszystkie w tym czasie z pewnością należały do Güntersbergów. Zawyżenie arealu Güntershausen ponad ówczesną regułę, że wsie liczyły po 64 łany, może mieć związek z faktem przejęcia części gruntów po wsi Springe. Po 1326 roku pozostał po niej wyłącznie młyn (Springmühle), który przez wieki kojarzony był z Lubieszewem, a nie Sienicą.

O randze Güntersbergów na tym terenie świadczy też fakt, że wieś Wysokę, leżącą w widłach Noteci i Gwdy nieopodal Ujścia, w 1366 roku potwierdził „swym wiernym braciom” Jakubowi, Walterowi i Heningowi Güntersbergom



Kazimierz Wielki wg J. Matejki (Int.)

król Kazimierz Wielki, przypominając, że „dobra te otrzymali od jego przodków”. Miał tu na myśli z pewnością układ z 18 czerwca 1325 roku z Nakłą, gdy jego ojciec Władysław Łokietek, montował koalicję przed wyprawą do Nowej Marchii, przeprowadzoną rok później. Nawiązywał też prawdopodobnie do nadań nad Drawą, jakie Przemysław II przyznał w rejonie Kalisza Kenstelom, których później „wchłonęli” Günterbergowie. Oprócz powyższego potwierdzenia dóbr w Krajnie polski król przyznawał Güntersbergom cztery inne przywileje, m.in.: dziedziczenia dóbr, budowy twierdz i prawo do oczyszczenia się przysięgą w przypadku zarzutu potwarzy. Hojność królewska miała na celu zyskanie przychylności tego znaczącego klanu rycerskiego na burzliwym pograniczu. Posunięcie to miało wielkie znaczenie dyplomatyczne w kontekście „układu drawskiego” z 1368 roku, gdy Polska w zamian za Recz z jego zamkiem odzyskała zwierzchnictwo nad joannicką komandorią w rejonie Czaplinka oraz tereny pomiędzy Drawą a Płociczną, które w większości wchodziły w skład „Bona illorum de Gruthow”, należącej do innej linii Güntersbergów. Należy w tym miejscu odnotować, że Lubieszewem w 1374 roku włada Henning Güntersberg. Znamienną datą jest tu 19 lipca 1378 roku, gdy cesarz Karol IV w Pradze potwierdził braciom Jakubowi i Henrykowi von Güntersbergom oraz „wszystkim ich kuzynom” dobra pomiędzy Drawą a Notecią. Przypieczętował tym aktem prawa tego rodu do Lubieszewa i połowy pobliskiego Linowna, a przede wszystkim wójtostwo w „Terra Callies” i prawo do zamku w Kaliszu jako siedziby rodowej. Güntersbergowie otrzymali też zapewnienie, że „wyżsi urzędnicy cesarscy do wójtostwa nie będą się wtrącać”. To od tego momentu zaczyna się wyrażanie rysować granica biegnąca po Drawie, dzieląca włości największych na tym terenie rodów Güntersbergów i Wedlów. Prawie regułą było, że ci pierwsi mieli swe włości po lewej stronie rzeki, a ci drudzy panowali na prawobrzeżu Drawy. Nazwy wsi należące do Güntersbergów zostały wymienione wcześniej. Według Grzegorza Brzustowicza, w trakcie najazdu księcia szczecińskiego Świętobora I w 1378 roku na Człopę jego wojska zniszczyły doszczętnie wieś Białoserbie - obecny Biały Zdrój, należącą do polskiego rycerza Sędziwoja Nałęcz. Z faktu tego wyciąga on wniosek, że żona Sędziwoja mogła wywodzić się z interesującego nas rodu, skoro wieś ta po tym fakcie weszła w orbitę wpływów Güntersbergów.

Choć Drawsko postrzegane było jako miasto Goltzów, a później Wedlów, to odnotowaliśmy tu już w 1320 roku obecność Güntersbergów za sprawą proboszcza Waltera, syna założyciela Lubieszewa - Jakuba I. Natomiast Jakub II, najprawdopodobniej syn Henninga z Lubieszewa, został w 1364 roku sołtysem w ówczesnym Dramburg.

Niezmiernie barwną postacią na terenie ziemi kaliskiej, ale i na całym pograniczu Polski, ziem Zakonu Krzyżackiego, Brandenburgii i Nowej Marchii, był drugi syn Henninga z Lubieszewa - Henryk Güntersberg. Przejął on po ojcu Jakubie II, zmarłym w 1398 roku, oraz dziadku

Henningu włości pomiędzy Drawą i Notecią, a ponadto 17 lutego 1399 roku z rąk króla Zygmunta Luksemburskiego otrzymał dziedziczne lenno w wójtostwie kaliskim wraz z potwierdzeniem prawa do zamku. Dodatkowo władca gwarantował mu wyłączność do tego lenna, deklarując, że nie wyznaczy na tym terenie innego starosty. Pełnił on wiele funkcji publicznych i misji dyplomatycznych. Pierwszą z nich, bezpośrednio po objęciu posady wójta kaliskiego, była rola mediatora w sporze rodziny von dem Borne z Myśliborzem 29 grudnia 1399 roku. Następnego roku kwitował w imieniu Zygmunta Luksemburskiego odebranie kilku rat za sprzedaż ziemi drawskiej Zakonowi Krzyżackiemu.

W 1400 roku Zakon Krzyżacki kupił ziemię drawską, a na przełomie lat 1401/02 stał się właścicielem całej Nowej Marchii. Jednak 18 kwietnia 1402 roku król Zygmunt kolejny raz potwierdził Henrykowi von Güntersbergowi prawo do włości pomiędzy Notecią i Drawą, które wcześniej nadał mu Karol IV Luksemburg. 25 lipca 1402 roku po przejęciu całej Nowej Marchii przez Krzyżaków Henryk Güntersberg był w Malborku świadkiem uczczenia tego wydarzenia. Konsekwencją tego faktu było złożenie przez rycerstwo nowomarchijskie hołdu nowym władcom. Odbyło się to w Choszcznie w dniach 8-9 sierpnia 1402 roku, a na czele rycerstwa kroczył Henryk von Güntersberg z Kalisza, którego część włości leżała w Lubieszewie. W uroczystości tej – jeśli takim terminem można określić



Zbrojni z drużyny Güntersbergów (rys. G.J. Brzustowicz)

hołd poddańczy – towarzyszyło Henrykowi siedmiu synów: Burchard, Ekhard, Hans, Henning, Andrzej, Jakub i Ulryk. Zastrzeżenie co do świętowania powyższego hołdu znajduje swoje uzasadnienie w fakcie, że po nim nastął okres wyjątkowego opodatkowania tutejszych mieszkańców przez zakon. Grzegorz Brzustowicz, charakteryzując posiadłości Henryka, zauważa, że pan na zamku w Kaliszu i właściciel łąnów w Lubieszewie w 1403 roku miał również swoją siedzibę w Linownie. Jego syn, Ekhard von Güntersberg, w 1440 roku pisał list z sąsiedniego Lubieszewa do wielkiego mistrza Zakonu Krzyżackiego. Akcentując ówczesną pozycję Henryka Güntersberga, należy zaznaczyć jego częstą obecność

na zamku w Malborku, która potwierdza wasalską lojalność względem Zakonu Krzyżackiego jeszcze przed klęską pod Grunwaldem.

Zwrot wiarygodności rodu od ślubowanej wierności Kazimierzowi Wielkiemu do serwilizmu względem zakonu był nadzwyczajny. Kiedy spróbujemy ocenić sytuację polityczną w tym rejonie, dostrzeżemy, że ród Güntersbergów długo był zaliczany do zwolenników Polski. Potwierdzeniem tego faktu jest pełnienie przez wielu z nich urzędu burgrabiów w polskim wówczas Wałczu, w którym posiadali też zamek. Najpełniej uwagę do Polski z tamtego okresu obrazuje dokument z 14 czerwca 1406 roku, z którego dowiadujemy się, że przedstawiciele kilku linii Güntersbergów czują się poddanymi polskiego króla Władysława Jagiełły: „(...) pod opiekę króla pokornie się oddaliśmy i słowami niniejszego dokumentu oddajemy się wraz z dobrami, które mamy pod rządami jego majestatu”.

W następnych latach powyższy „układ wałecki” został wystawiony na wielką próbę. Krzyżacy, szukając sprzymierzeńców wśród rycerstwa nowomarchijskiego przed konfrontacją z Polską, której finał nastąpił w bitwie pod Grunwaldem, już 16 października 1408 roku przyznali Henrykowi Güntersbergowi przywileje w rejonie Kalisza. Niemal równo rok później, 22 września 1409 roku, wielki mistrz Zakonu Krzyżackiego powtórnie potwierdził prawo tego rodu do Kalisza i jego przyległości, w tym również do Lubieszewa. Wówczas Henryk von Güntersberg wykonywał wiele misji dyplomatycznych na rzecz zakonu. Dlatego nie było większych problemów z uwolnieniem jesienią 1410 roku z niewoli krzyżackiej spokrewnionych z Güntersbergami Jakuba Kenstela i Tyde von Zadowa.

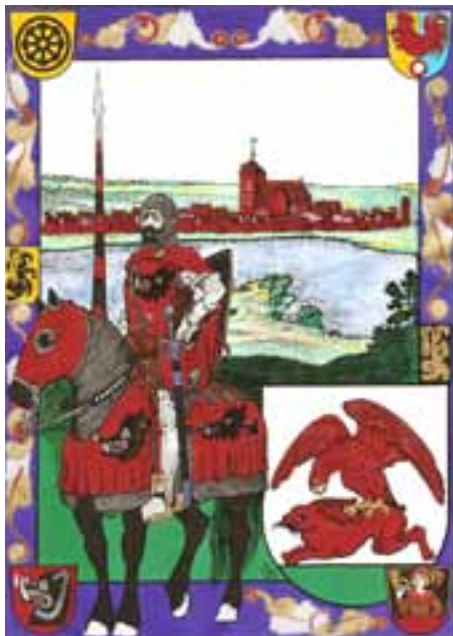
Pojawienie się Zakonu Krzyżackiego na tym terenie jeszcze bardziej skomplikowało sytuację polityczno-militarną na burzliwym brandenburskim pograniczu, do którego zawsze pretensje zgłaszali Pomorzanie i Polacy. Już w 1404 roku, podczas walk z Pomorzanami zniszczeniu uległy należące do Henryka i Burharda von Güntersbergów Linowno i Białe Zdrój. W tym samym roku Hansowi Güntersbergowi zabrano bydło z Żabina i Żabinka oraz kolejny raz spustoszone Linowno. Nadmienić należy, że w tym czasie do Güntersbergów należało całe Lubieszewo i tylko połowa Linowna, którego drugą częścią władali Wedlowie.

Po zwycięskiej bitwie pod Grunwaldem Güntersbergowie znaleźli się w trudnym położeniu w relacjach z Polakami. Król Władysław Jagiełło niedawnych sprzymierzeńców zakonu potraktował ostro i osadził w Kaliszu polskich rycerzy z nakielszczyzny. Osłabienie pozycji Güntersbergów spowodowało podjęcie próby odzyskania dawnej, wiodącej pozycji przez Wedłów, którzy zorganizowali kilka zbrojnych wypraw na posiadłości Henryka i jego synów. W rejestrze szkód, sporządzonym w 1414 roku, znalazło się również Linowno. Biorąc pod uwagę fakt, że

ówczesny Woltersdorf podzielony był pomiędzy te zwaśnione rody, można powiedzieć, że wojna prowadzona tu była na miedzy. Walki pomiędzy tymi rodami trwały jeszcze w 1416 roku i, by je zakończyć, Henryk von Güntersberg poprosił o pomoc Krzyżaków, grożąc w swoim liście do wielkiego mistrza, że w razie odmowy zwróci się o wsparcie do Polski. Waśnie trwały jeszcze długo. Ustały dopiero pomiędzy 1424 a 1434 rokiem, gdy Burhard von Güntersberg wydał swoją córkę za mąż za Hansa von Wedla z Krępcewa.

Sytuacja kaliskich Güntersbergów mocno się skomplikowała w latach 1433–1436, gdy do Polski na krótko powróciło Choszczno oraz włości i zamki Wedlów ze Złocieńca, Mirosławca, Tuczna i Drawna. Wierni zakonowi panowie z Kalisza i okolic zostali w osamotnieniu na tym niespokojnym pograniczu. Sytuację tę wiosną 1433 roku wykorzystali sprzymierzeni z Polską Czesi, którzy pod wodzą Jana Czapka-Sana z Pilzna wyprawili się do Nowej Marchii. Czech za tę akcję został wynagrodzony przez polskiego króla Władysława Jagiełłę m.in. wielbłądem, który do dziś występuje w herbie Pilzna. Podobnie postąpili dwa lata później śląscy husyci, którzy pod przywództwem Piotra Polaka najechali na ziemię kaliską. 27 października 1435 roku spalili Kalisz oraz spłądowali niemal wszystkie wioski należące do Güntersbergów, w tym Lubieszewo, Linowno, Starą Studnicę i Karwice. Jako wyrównywanie przez zakon strat swoich sprzymierzeńców w czasie trwających tu permanentnie konfliktów trzeba traktować decyzję wielkiego mistrza Zakonu Krzyżackiego z 4 czerwca 1439 roku, przyznającą prawo Güntersbergom do pobierania renty w owsie z bedy (podatek wiejski) w Linownie.

W 1454 roku Nowa Marchia powraca spod panowania krzyżackiego pod rządy elektora brandenburskiego. Na czele licznych przedstawicieli rodu Güntersbergów, składających hołd nowemu władcy, kroczył Henryk II z Kalisza, który był wnukiem Henryka I Güntersberga, zmarłego w 1420 roku. Po okresie wojny trzynastoletniej (1454-1466), gdy Güntersbergowie ponieśli olbrzymie straty, wyliczane na 6-8 tysięcy guldenów, nastał na ziemi kaliskiej okres względnego spokoju i nastąpił rozwój majątków rycerskich. Wieloletnie zaangażowanie się tego rodu



Rycerz z kaliskiej drużyny Güntersbergów
(rys. G.J. Brzustowicz)

po stronie Krzyżaków doprowadziło po opuszczeniu przez zakon Nowej Marchii do marginalizacji znaczenia Güntersbergów. Kalisz w tym czasie należał do najmniejszych miast w Nowej Marchii i odprowadzał dla władcy tej prowincji w Kostrzynie podatek w wysokości zaledwie 1 talar, 6 groszy i 6,5 feniga.

Grzegorz Brzustowicz odnotowuje jeszcze w linii kaliskiej Güntersbergów następujących właścicieli łąnów w Lubieszewie: braci Valtina i Ekharda w latach 1565-1588 oraz Adama w latach 1604-1644. Dwaj pierwsi w 1571 roku posiadali tu 6 łąnów. Dodatkowe 3,5 łąna tego samego roku Ekhard zawłaszczył bez zgody władcy z Kostrzyna od Jaspera von Ratzena. W 1584 roku w podobny sposób powiększył swój majątek o dalsze 4 łąny, przyłączone po zbiegłym ze wsi Hansie Wolfie. Bracia Güntersbergowie posiadali równolegle w tym czasie 15 łąnów w Kaliszu i 6 łąnów w Nowym Łowiczu oraz kolejne dwa łąny w tej wsi, kupione w 1572 roku bez konsensusu władcy od chłopca Paula Schiena. Posiadali też 3 łąny w Suchowie.

W 1565 roku władca Nowej Marchii, Jan Kostrzyński, nakazał sporządzenie matrykuły lennej do celów wojskowych. Jej efektem było m.in. przeprowadzanie ćwiczeń wojskowych w podległych mu powiatach. Tworząc ddział wojska z powiatu drawskiego, który zgodnie z powyższą matrykulą liczył 34 jeźdźców, aż 13 wystawili ze swoich dóbr Günterbergowie. W tej liczbie była 9-konna drużyna z prywatnego miasta Kalisza, zaliczanego do dóbr zamkowych. Pozostałych jeźdźców z prywatnego okręgu Güntersbergów, nazywanego „Kallieser Land”, wystawiali właściciele większych posiadłości wiejskich, należących do tej rodziny. Zapewne wśród nich był przynajmniej jeden uzbrojony konny z Lubieszewa. Dodatkowych czterech jeźdźców wystawiali lennicy Güntersbergów. Następną lustracja wojska odbyła się 18 marca 1583 roku, gromadząc w Drawsku już 90 jeźdźców.

W 1608 roku miasto Kalisz wraz z zamkiem należało do braci Joachima, Krzysztofa i Adama von Güntersbergów. Wszyscy trzej bracia byli też w tym czasie, wspólnie z Franzem von Borcke, współwłaścicielami wsi: Lubieszewo, Gudowo, Sienica, Linowno i Borujsko. W odniesieniu do Lubieszewa to wspólne władanie trwało od 1499 roku, gdy nastąpił podział wsi pomiędzy Güntersbergów i Borcków. Do Güntersbergów należały w tym czasie całe wsie: Pomierzyn, Pożrzadło Wielkie, Biały Zdrój i Buttersdorf. Z wyciągu z protokołu własności ziemskich z 17 lutego 1631 roku dowiadujemy się, że bracia Valtin i Eggert Güntersbergowie posiadają w Lubieszewie 6 łąnów. Po 1644 roku współwłaścicielem Kalisza, Lubieszewa i Dębska był syn Adama Güntersberga - Joachim Krzysztof. W tym okresie nastąpiło wiele skoligaceń tego rodu z rodzinami pomorskimi i polskimi. Stąd często przedstawiciele tego klanu byli nazywani z polska „Junterbergami” lub wprost „Kaliskimi”.

Sagę rodu Güntersbergów na ziemi kaliskiej i w Lubieszewie kończymy przypomnieniem ich stanu posiadania z 1664 roku. W tym roku dziedzicem wszystkich dóbr rodowych, potwierdzanych wcześniej w 1536 i 1550 roku, zostaje rotmistrz Hans Adam von Güntersberg, syn zmarłego Joachima Krzysztofa. Odziedziczył on po przodkach: miasto i zamek w Kaliszu oraz wioski: Pożrzadło Wielkie, Pomierzyn, Cybowo, Biały Zdrój, Suchowo, Starą Korytnicę, Karwice i Nowy Łowicz oraz połowy takich wsi jak: Dębsko, Sienica, Żabin. Rodzina ta posiadała także części wsi: Lubieszewo, Stary Łowicz (Wałęcki), Linowno, Gudowo, Borujsko, Sadów i Piecnik. Jednak po śmierci Krzysztofa, w akcie notarialnym z 29 maja 1689 roku, brakuje majątku z Lubieszewa. Otóż w tym roku kończy się panowanie Güntersbergów w Güntersshagen. Ich majątek za długi przejmuje Ernst Boguslav von Krockow. Po śmierci Hansa Adama 15 kwietnia 1707 roku wśród dóbr odziedziczonych przez Ewalda Fryderyka von Güntersberga, którymi 31 lipca 1708 roku podzielił się ze swoim bratem Hansem Adamem juniorem, również nie występują niedawne łąny z Lubieszewa oraz z takich sąsiednich wsi, jak m.in.: Karwice, Gudowo, Linowno i Żabin.

Powyższy stan odzwierciedlono też w słynnej klasyfikacji łąnów z 1718 roku. Starszy z braci, Ewald Fryderyk, zmarł 16 lutego 1732 roku. Należy zaznaczyć, że kaliski zamek Güntersbergów, tj. siedziba rodowa, przeszedł w ręce von Goltzów już w 1731 roku. Majątek odziedziczyły wdowa po Ewaldzie i ich córki, które pozawierały pomiędzy sobą umowy podziałowe. Ich majątek powiększył się dwa lata później o włości po zmarłym Hansie Adamie. W związku z brakiem męskiego potomka po 358 latach zakończyło się panowanie Güntersbergów na ziemi kaliskiej.

W 1714 roku, w wyniku nieurodzaju i wysokich podatków, nastąpił exodus Niemców z dóbr Güntersbergów do Polski. Z Kalisza i Białego Zdroju w ciągu kilku dni wyjechało 15 rodzin. Ponowna fala emigracji nastąpiła w 1745 roku. Wówczas z Lubieszewa wyjechały rodziny Martina i Michaela Krügerów oraz jeden knecht, a Linowno opuściły rodziny Petera i Hansa Neumannów. By zatrzymać ten proces, u polskich urzędników interweniował król pruski Fryderyk Wielki.

Przy założeniu przedstawionym na początku tego rozdziału, że pierwszym nadaniem były łąny przyznane w 1299 roku Jakubowi I Güntersbergowi, a kresem tego rodu w Lubieszewie jest 1689 rok, to ich panowanie zakończyło się tu po 390 latach. Wyliczenia te mogą zawierać pewne niedokładności, gdyż tak zacny i wielki ród na przestrzeni kilku wieków spokrewnił się po kądzieli z innymi dużymi rodzinami z tego terenu, m.in. z Wedłami, Borcke i Goltzami, które przetrwały tu do 1945 roku. Fakt skoligacenia z Güntersbergami podniósł Reimer von Zadow, urodzony tuż przed wybuchem II wojny światowej w Starym Worowie. Jest on autorem rozdziału „Rozważania o przeszłości miasta Drawsko

Pomorskie 1297-1997”, zamieszczonego w książce „Przyczynki do historii miasta” wydanej z okazji 700-lecia jego lokacji. Powołuje się on na swoje wspólne korzenie z wymarłą rodziną Güntersbergów. Zapewne chodziło mu o związki pokrewieństwa klanu Henryka Güntersberga z przedstawicielami rodziny Tyde von Zadowa w XV wieku oraz późniejsze władanie 22 łanami dworskimi i trzema kościelnymi w Płocicznie i Sadowie, ze wszystkich stron okrażonymi włościami Güntersbergów.

Ostatnim reliktem po tym słynnym rodzie był odnotowywany jeszcze w 1804 roku folwark Sophienau – obecna nazwa terenowa Zofijówka, należący do dawnego majątku Güntersbergów z Bytowa koło Recza. Leżał on tuż przy ujściu Drawy z jeziora Lubie. Jest wielce zastanawiające, jak ta niewielka, choć bardzo urokliwa enklawa znalazła się w posiadaniu linii reckiej, otoczona ze wszystkich stron włościami Güntersbergów kalisko-lubieszewskich. Czyżby był to gest kuzynów z Lubieszewa, by podzielić się i wspólnie upajać nadzwyczajną estetyką i bogactwem natury jeziora Lubie?

Literatura

- Brzustowicz G. J, Dzieje rodu von Güntersbergów, cz.1, Rycerze dzikiej świni, „Ziemia Gorzowska”, nr 31, s. 5, cz. 2, Po obu stronach granicy, nr 32, s. 6, Gorzów Wlkp. 1994.
- Brzustowicz G. J, Recz nad Iną od lokacji do rozkwitu w XVII wieku, Recz-Choszczno 2008.
- Brzustowicz G. J, Rycerze i młyn szlifierski. Studia z dziejów dawnego miasta Kalisza Pomorskiego i rycerstwa ziemi kaliskiej, Kalisz - Choszczno 2004.
- Das Neumärkisches Landbuch Markgraf Ludwigs des Aelteren vom Jahre 1337, hrsg. L. Gollmert, Berlin 1862.
- Der Landkreis Dramburg, red. K. Ruprecht, Hamburg 1976.
- Die Neumark Brandenburg im Jahre 1337 oder Markgrafs Ludwig des Aelteren Neumarkisches Landbuch aus dieser Zeit, hrsg. G.W Raumer, Berlin 1837.
- Drawsko Pomorskie 1297 – 1997. Studia z dziejów miasta, red. B. Polak, Koszalin 1997.
- Malinowska A., Schönrock H., von Zadow R., Beiträge zur Stadtgeschichte 1297-1997, Dravenborch Dramburg Drawsko, Przyczynki do historii miasta, Szczecin 1997.
- Mieczkowski Z., Dzieje Lubieszewa i jeziora Lubie, Lubieszewo 2014.
- Niessen P., Geschichte der Stadt Dramburg, Stettin 1897.
- Radacki Z., Średniowieczne zamki Pomorza Zachodniego, Warszawa 1976.
- Rymar E., Güntersbergowie. Szczeciński rajca – mordercą polskiego króla? Początki kariery rodu, (w): Kopijnicy, szyprowie, tenutariusze, „Gdańskie Studia z Dziejów Średniowiecza”, nr 8, Gdańsk 2002.
- Rymar E., Polsko-litewska wyprawa zbrojna do Marchii Brandenburskiej w 1326 roku, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny”, Nr 7,

T.1, Gorzów Wlkp. 2000.

Rymar E., Rycerstwo Nowej Marchii w czasach margrabiego Jana Kostrzyńskiego, „Rocznik Lubuski”, T. XXVII, cz. I, Gorzów 2001.

Walachowicz J., Geneza i ustrój polityczny Nowej Marchii do początków XIV wieku, Warszawa-Poznań 1980.

Pułkownik Doktor Zbigniew Mieczkowski (ur.1952-), emerytowany oficer Wojska Polskiego. W armii zajmował liczne stanowiska od „zielonego garnizonu” do szefa oddziału w Dowództwie Wojsk Lądowych w Warszawie. Najdłużej, bo 17 lat spędził na poligonie drawskim. Absolwent Akademii Obrony Narodowej z tytułem doktora. Z licznych odznaczeń najwyżej ceni „Gryfa Pomorskiego – Za zasługi dla Pomorza Zachodniego”. Po zakończeniu służby wojskowej osiadł w Linownie pod Drawskiem Pomorskim, gdzie stworzył swój matecznik „Ranczo pod Mieczem”. Żyjąc w symbiozie z naturą uprawia las, hodzi ryby, daniela i jelenie. Swoim bogatym doświadczeniem wynikającym z zarządzania dużymi zespołami ludzkimi oraz wiedzą wyniesioną z pięciu uczelni dzieli się wykładając w szkole wyższej.



Wiesław Krzywicki

*„Żeglarstwo to nie sport - to charakter.”
(sir Francis Chichester)*

Antoni Tołłoczko. Żeglarz wierny młodzieńczym ideałom



Antoni Tołłoczko

19 lipca 2014 roku, w czasie otwarcie II Regat o Puchar Czaplinka (w ramach Pucharu Polski Jachtów Kabinowych), nastąpiło uroczyste nadanie Ośrodkowi Sportów Wodnych w Czaplinku imienia Antoniego Tołłoczki - pierwszego po wojnie i najbardziej zasłużonego organizatora czaplineckiego i koszalińskiego żeglarstwa, a także wychowawcy młodzieży.

W uroczystości uczestniczyli Senator RP Grażyna Anna Sztark oraz burmistrz Adam Kośmider. W tej wzruszającej ceremonii uczestniczyła też rodzina uhonorowanego żeglarza. Otwarta została także wystawa zdjęć i dokumentów, ukazujących postać Antoniego Tołłoczki.

Trzeba było aż 69 lat od powrotu do Polski ziem dawnego Starostwa Drahimskiego, aby uhonorować pierwszego z zasłużonych dla regionu mieszkańców. Chcę więc przypomnieć postać tego skromnego pasjonata żeglarstwa i nieustrudzonego wychowawcy młodzieży.

Antoni Tołłoczko urodził się 15 sierpnia 1915 roku w Kołupiu (powiat Dwiński woj. wileńskie) w rodzinie Wiktora i Jadwigi z Jacuńskich. Po wojnie polsko-bolszewickiej, w końcu 1920 roku rodzina Tołłoczków przeprowadziła do Landwarowa k/Wilna, gdzie Antek rozpoczął naukę w szkole powszechnej, a po jej ukończeniu wstąpił do gimnazjum w Wilnie.

Tu muszę zrobić dłuższą dygresję, by pojąć, kim był Antoni Tołłoczko i skąd się brały jego późniejsze pasje oraz motyw jego społecznego działania.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku przykładano w Polsce do spraw morza ogromną wagę. Głoszono tezę: „*Nie ma dla Polski niepodległości bez dostępu do morza*”. W jej imię zbudowano gdyński port, uruchomiono linie żeglugowe, obsługiwane przez najnowocześniejsze transatlantyki „Piłsudski”, „Batory” i „Pułaski”. Powstała Wyższa Szkoła Morska, jak grzyby po deszczu powstawały kluby żeglarskie i przystanie. Założono „Ligę Morską i Kolonialną”, której organem był bardzo popularny miesięcznik „Morze” o nakładzie sięgającym 150 tys. egz.! Święto Morza obchodzono we wszystkich zakątkach kraju. Światli ludzie jasno dostrzegali też wybitne walory wychowawcze wychowania wodnego. W wywiadzie dla lipcowego „Morza” w 1931 r. tak mówił o nich dyrektor Państwowej Uczelni WF i PW (poprzedniczka AWF) W. Kiliński:

Sporty wodne i turystyka wodna bezwzględnie kryją w sobie nieprzeciętne wartości wychowawcze. Z punktu widzenia kultury fizycznej są ćwiczeniem wymarzonym. Pozwalają sporty wodne rozwijać wszechstronnie i harmonijnie cały organizm i odbywają się w idealnych warunkach higienicznych. Przebywanie na świeżym powietrzu, na słońcu, w turystyce wodnej, częste nocowanie w prowizorycznym namiocie, zwalczanie pewnego niebezpieczeństwa, którem jest zawsze żywioł, zbliżenie do przyrody, poznawanie kraju, a do tego życiowa lekcja odwagi, panowania nad sobą, zimnej krwi, energii, a więc wychowywania cech, które byśmy chcieli widzieć w każdym młodym Polaku - to tylko urywkowo rzucone, wspaniałe duchowe oblicze sportów i turystyki wodnej.

Już w szkole podstawowej dowiedział się Antek z geografii, że świat jest wielki, barwny i piękny. Są wysokie góry, pustynie, puszcze. Jest Afryka, Ameryka, Indie. A droga do nich wiodła przez morza i oceany. Czytał „Morze”, jako uczeń uczestniczył w obchodach Święta Morza. W 1930 roku, gdy miał 15 lat, wstąpił do Ligi Morskiej i Kolonialnej. Uczestniczył w obozach i szkoleniach żeglarskich w Nowych Trokach, Brasławiu, Ignalinie i nad jeziorami Narocz i Świteż. Wtedy to pokochał żeglarstwo i przyswoił sobie głoszone przez Ligę Morską i Kolonialną idee. Po ukończeniu gimnazjum zgłosił się na ochotnika do Marynarki Wojennej, lecz nie zostaje przyjęty, bo nie miał „końskiego” zdrowia. W lutym 1937 roku został powołany do odbycia czynnej służby

wojskowej w 1 Dywizji Piechoty Legionowej. Z kursów żeglarskich znał alfabet Morse'a, więc dostał przydział do kompanii telegrafistów. We wrześniu 1938 roku został przeniesiony do rezerwy. Niedługo cieszył się cywilnym życiem i żeglarstwem, bo 24.08.1939 roku został zmobilizowany i w kilka dni potem znalazł się na frontach Wojny Obronnej Polski. 26 września dostał się do sowieckiej niewoli i do 14 stycznia 1940 roku przebywał w obozie jenieckim w Szepietówce na Ukrainie. Po zwolnieniu z niewoli wrócił do rodziny do Landwarowa.



Zaświadczenie o uwolnieniu z niewoli Antoniego Tołłoczko

Kiedy w 1942 roku Litwę zajęli Niemcy, Antek wstąpił do konspiracji. W 1944 roku, kiedy znów wkroczyli sowieci, a Wilno przestało być polskie, postanowił wyjechać do Polski, tym bardziej, że bał się grożących mu represji za przynależność do AK. Z początkiem 1945 roku, po miesiącu starań, otrzymuje kartę ewakuacyjną. W maju przekroczył granicę polską i zaczął szukać swego miejsca na ziemi. Rok trwała jego wędrówka po miastach Polski - na odwrocie karty ewakuacyjnej jest 7 pieczęci kolejnych Punktów Etapowych Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Wreszcie w maju 1946 roku dotarł do Czaplinka i, zachwycony pięknem okolic, postanowił osiąść tu na stałe. Zachował się dokument o zameldowaniu Antoniego Tołłoczki z dniem 8 maja na ul. Długiej 31. Podjął pracę w Kinie „Bałtyk”.

Czaplinek przed wojną był dużym ośrodkiem sportów wodnych, pozostało dużo sprzętu żeglarskiego oraz mały hangar nad jeziorem Drawsko. Nikt wtedy nie dbał o cenny sprzęt, pojawili się szabrownicy. Antoni, pomny przedwojennych doświadczeń i idei, zaopiekował się opuszczoną bazą żeglarską i sprzętem oraz zainicjował powołanie Ligi Morskiej, następczyni przedwojennej organizacji, której był

L. dz. 1022 46.

POTWIERDZENIE ZAMELDOWANIA

Pomorze – Zachodnie województwo	Szczecinek powiat	Czaplinek miejscowość
Nazwisko i imię <u>Tołłeczko Antoni</u>		
Data i miejsce urodzenia <u>15.8.1915 w Kotłupin Woj. Niśko</u>		
Ostatnie miejsce zamieszkania <u>Landwarów</u>		
Data zameldowania się <u>8 maja 1946</u>		
Zgłosił się w dniu dzisiejszym na pobyt stały, Zamieszkał w Czaplinku		
przy ul. <u>Świętej</u>		Nr. <u>51</u>
Czaplinek, dn. <u>8 5</u> 1946 r.		

Ref. Meldunkowy

/Domanski Bolesław/

Burmistrz

/Krupinski Kazimierz/

Potwierdzenie zameldowania w Czaplinku 08-05-1946

wieloletnim członkiem. Kazimierz Krupiński, jeden z pierwszych burmistrzów Czaplinka, tak o tym pisze w swym sprawozdaniu: „*Zorganizowano Ligę Morską, której Prezesem był sędzia Żmudziński, a doświadczony marynarz Tołłeczko borykał się nad zabezpieczeniem przed wyszabrowaniem łodzi*”. (Jestem pewien, że tylko czujność i poświęcenie Antka ocaliły przed zrujnowaniem budynek OSW. Przecież pozbawione takiej opieki uległy zrujnowaniu po wojnie Pięć Pomostów, Dom Plażowy, Dom Ludowy i inne obiekty). Ale Antek nie tylko pilnował łodzi, ale był też pierwszym w Czaplinku organizatorem zajęć z młodzieżą. Szkolił ją, uczył wiedzy żeglarskiej, miłości i szacunku dla przyrody.



Tempelburg

Boothaus in den Anlagen

Hangar na łodzi wg starej pocztówki niemieckiej



Antoni Tołłeczko na rynku w Czaplinku - około roku 1946

By łatwiej godzić pracę społeczną z pracą zawodową, w 1949 roku przeszedł do pracy w Zespole Rybackim w Czaplinku. W 1954 roku ożenił się i wkrótce przyszedł na świat jego syn Mariusz. Po reorganizacji Zespołu Rybackiego, w 1957 roku został Antoni Tołłoczko przeniesiony do pracy w Złocięncu, gdzie pełnił obowiązki z-cy głównego księgowego. Ale i tam natychmiast podjął pracę wychowawczą z młodzieżą. Był jednym ze współorganizatorów i działaczy Klubu Żeglarskiego ZEFIR w Złocięncu. Szkolił młodzież na stopnie żeglarskie, a w sezonie letnim młodzież górniczą na obozach żeglarskich na jeziorze Lubie. W czasie urlopów uczestniczył w rejsach morskich, organizowanych przez Centralne Ośrodki Żeglarstwa Morskiego w Trzebieży i w Jastarni. Ale nie zapominał też o Czaplinku, który stał się jego małą ojczyzną - nadal działał w Młodzieżowym Ośrodku Sportów Wodnych.



Na kursie żeglarskim w Młodzieżowym Ośrodku Sportów Wodnych w Czaplinku

Całe życie marzył o zbudowaniu jachtu pełnomorskiego. Żył więc wyjątkowo ascetycznie, starając się zgromadzić niezbędne środki. W 1977 roku zawiązał maszoperię pod nazwą Towarzystwo Budowy Yachtu. Korespondował z konstruktorem jachtowym, Julianem Strawińskim, w sprawie budowy pełnomorskiego jachtu klasy *BRUCEO*. Gromadził materiały i czynił starania o środki finansowe. Ale nie były to łatwe lata i nie udało się zrealizować tego pięknego zamiaru.

Przez wiele lat brał udział w komisjach sędziowskich i zespołach organizujących regaty żeglarskie na terenie województwa koszalińskiego. Pełnił odpowiedzialne funkcje członka zarządu, kierownika wyszkolenia, głównego sędziego i inne. Był jednym z niewielu na terenie województwa koszalińskiego znawców sportu bojerowego. Po przejściu na emeryturę został zatrudniony jako instruktor żeglarstwa w Młodzieżowym Ośrodku Sportów Wodnych w Czaplinku. Spędzał tam każdy dzień, nie szczędząc



Antoni Tołłoczko- komisja po egzaminach na stopień sternika



Regaty w klasie Omega o Puchar Związku Zawodowego

trudu i czasu. Był lubiany przez młodzież, której przekazywał swą wiedzę, doświadczenie i żeglarską pasję. W tamtych latach żeglarstwo rozwijało się w Czaplinku, przybywało klubów, jachtów i świetnie wyszkolonych żeglarzy. Wszyscy czaplineccy żeglarze z sentymentem wspominają te czasy.

Niestety bezduszni ludzie, niepomni jego wielkich zasług dla żeglarstwa i wychowania młodzieży, zwolnili go z pracy w Młodzieżowym Ośrodku Sportów Wodnych, a nawet zakazali wstępu na teren ośrodka. Mówił mi jego syn Mariusz, że ojciec nie mógł przeboleć tej niehumanitarnej bezduszości. Mówił mu, że wynagrodzenia nie musiał otrzymywać, że on zajmowałby się młodzieżą społecznie.

Zapewne ten cios skrócił życie tego szlachetnego człowieka. Zmarł 5 marca 1992 roku i został pochowany na złocienieckim cmentarzu. Takimi słowami żegnali go koszalińscy żeglarze: (notatka Grzegorza Rawęskiego Komandora Klubu Tramp w Koszalinie w „Głosie Koszalińskim”)

„...z przykrością informujemy koszalińskie środowisko żeglarskie, że odszedł na WIECZNĄ WACHTĘ kol. Antoni Tołłoczko z Czaplinka. Był

POLSKI ZWIĄZEK ŻEGLARSKI

Legitymacja Nr **69**

Uchwałą Sejmiku Żeglarskiego

z dnia **9.XII** 195**6** r zostało nadane

Kol. **Antoniemu Tołłoczko**

honorowe odznaczenie

**ZASŁUŻONEGO DZIAŁACZA
ŻEGLARSTWA POLSKIEGO**

Legitymacja niniejsza upoważnia do bezpłatnego wstępu na wszystkie przystanie Klubów i Sekcji Żeglarskich zrzeszonych w Polskim Związku Żeglarskim.

SEKRETARZ
[Signature]
PREZES
[Signature]
POLSKI ZWIĄZEK ŻEGLARSKI

Warszawa, dnia **18. VII** 195**7** r.



Uchwała Rady Miejskiej w Czaplinku



Rodzina A. Tołłoczki i znamienicy uczestnicy odsłonięcia kotwicy

długoletnim skarbnikiem w KOZZ i działaczem żeglarskim w południowych rejonach województwa. Jachtowy sternik morski - uczestnik wielu rejsów, sędzia żeglarsstwa I klasy, współorganizator złocienieckiego i czaplineckiego żeglarsstwa, instruktor i wykładowca żeglarskiego kunsztu. Swoją praktykę żeglarską rozpoczynał przed wojną na jeziorze Świteż. Jego uczynność, skromny styl życia, pogodę ducha i oddanie się umiłowanemu żeglarsztwu, pamiętają starsi i młodszy żeglarze. Był kawalerem najwyższego polskiego odznaczenia żeglarskiego „Zasłużony Działacz PZZ”. Był również egzaminatorem KOZZ. W zmarłym straciliśmy nie

tylko nestora koszalińskich żagli, ale i prawego, wartościowego człowieka, cenionego wychowawcę wielu pokoleń żeglarzy. ”

Antoni Tołoczko był bardzo skromnym i niedocenianym w Czaplinku człowiekiem. Mimo tylu zasług nigdy lokalne władze nie uhonorowały go za życia jakimkolwiek wyróżnieniem. Teraz błąd ten został naprawiony, a Ośrodek Sportów Wodnych, w którym przez większość swego życia uczył on młodzież żeglarstwa, nosi jego imię.



Alina Karolewicz

Piękno ziemi i słowa gawędy krasomówcze o Ziemi Czaplineckiej

Pod wielkim dachem nieba

Mam na imię Ania. Jestem z Czaplinka. Właściwie mieszkam na granicy miasteczka, ciągnących się po horyzont pól, niewielkiego lasu i ogromnego jeziora. To piękne miejsce wybrali kilka lat temu moi rodzice, by zbudować tu dla nas dom. Tu jest teraz środek mojego świata. Świata, który uwielbiam poznawać, świata, który kocham.

Kiedy mam wolną chwilę, biegnę do stajni, w której mieszka Nutka – moja ulubiona klacz. Czyszczę ją, siodłam i ... ruszamy. W którąkolwiek stronę byśmy się nie skierowały – jest pięknie, bo mój świat składa się z zieleni, złota i błękitu, z pokrytych lasami polodowcowych pagórków, ze żółtych pól, jak u Mickiewicza „wyzłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem” i błękitu błyszczących tu i ówdzie luster jezior, w których odbija się niebo.



Alina Karolewicz (w środku) w otoczeniu recytatorów

Powiedziałam „niebo”? Tak, czasami myślę, że mieszkam w raju. W rajskim ogrodzie, do którego wejścia pokazuje mi moja kara klacz Nutka. Ilekroć pozwolę jej nieść

mnie swobodnie po polnych i leśnych ścieżkach, znajdujemy miejsca bajeczne. Przykład? Proszę bardzo.

Pewnego razu znalazłyśmy się nad maleńkim, podłużnym jeziorkiem Nątlino. Był letni wieczór, słońce barwiło już po swojemu horyzont, a ja stałam jakby w środku trójwymiarowego obrazu. Po lewej, w dolince – otoczone trzcinami jeziorko, wyłożone teraz zachodzącym słońcem, z łagodnie falującą, ciepłą – jak to latem – wodą i czarną sylwetką drewnianej łódki staruszka wędkarza. Przede mną piaszczysta, wygrzana upałem dróżka, poprzecinana cieniami zdziczałych wiśni i grusz ulęgałek. Dalej – jak okiem sięgnąć – ciemna zieleń starego lasu, za którym przycupnęła wioska Kołomąt. Po mojej prawej stronie – wysokie zbocze, przykryte puszystą sukienką łąki, jak na impresjonistycznych obrazach upstrzoną fioletem ostów, bielą rumianków i rudością krwawników. Na szczycie – szpaler brzoź – smukłych strażniczek nieba, z białymi kwiatami obłoczków w swoich zielonych, rozpuszczonych na wietrze włosach. „Trwaj, chwilo! Jakże jesteś piękna!” - chciałoby się zacytować romantyka Goethego. Ale kto by to usłyszał? Moja klacz Nutka? Hmm, czasem myślę, że ona jest mądrzejsza ode mnie.

Innym razem zaniósł mnie w dość ponure miejsce. Też nad jeziorem, tym razem zewsząd otoczonym starym, bukowym lasem. Wysokie drzewa ocieniały jego brzegi tak, że woda była ciemna, niemal stalowa, mroczna, wydawała się groźna, zaś brzegi były czarne, błotniste, porośnięte szuwarami i wyższymi od człowieka pokrywami. To był raj, ale... dla komarów. Stanęłyśmy tam na małym cypelku, zagapione w przebliski słońca, odbijające się w niezwykłym zwierciadle wody, gdy nagle podpłynął do nas łabędź. Był sam. Majestatyczny, cichy, wyniosły. Patrzył na nas uważnie, jakby sprawdzał nasze intencje, jakby był strażnikiem spokoju tego miejsca, jego ponadczasowej niedostępności. Jakby nie życzył sobie najmniejszej ingerencji człowieka w ten skończenie piękny, harmonijny świat natury. Nie śmiałyśmy się ruszyć ani odezwać. Po chwili odpłynął, zniknął wśród trzcin, a ja i Nutka ruszyłyśmy w drogę zamyśłone.

Cywilizacja? Tak, chętnie, ale takich miejsc, jak to, niech nie dotyka! Chcę, żeby trwały, jak chwila Goethego. Żeby przywracały mnie i człowiekowi w ogóle naturalny porządek świata, porządek oparty na harmonii, szacunku i zachwycie. Chcę wierzyć, że raj, w którym mieszkam, pod swoim „wielkim dachem nieba” pomieści nas wszystkich. I mnie, i Nutkę, i moją rodzinę, i was. Bo ten świat kochamy.

Chcielibyście? Spróbujmy. Przyjedźcie do Czaplinka. Nutka i dla was coś znajdzie.

Tekst był prezentowany przez Annę Marię Patalan w finale Ogólnopolskiego Konkursu Krasomówczego Młodzieży Gimnazjalnej w Legnicy w 2013 r.

Tort mojego miasta

Stanąć w tym miejscu, przed tak zacną publicznością, to doprawdy niezwykła przyjemność. Mógłbym dziś zostać uczniem filozofa Epikura, który głosił, że podstawą życia jest przyjemność właśnie, taka jednak, która jest efektem korzystania z rozumu i przestrzegania zasad moralnych. Czyż nie jest to istotą naszego tu pobytu?

Wracając jednak do przyjemności – nie zgadniecie, co przysparza mi ich wręcz krocie. Otóż – gotowanie. Przygotowywanie, podawanie i spożywanie. Jak powiadał niezrównany Mikołaj Rej : „Aż nie rozkosz, kiedy się pieczenia wieprzowa dopieka, cietrzew w rosółku, a kapłon tłusty z kłóskami dowiera?” Prawda? A ciasta? Nie powiecie mi, że nie lubicie ciast. Serniki, orzechowce, karpátky, torty... O właśnie, o torcie coś wam dziś opowiem. O torcie, jakim jest moje miasto.

Miasto? Miasteczko zaledwie. Mniej niż dziesięć tysięcy mieszkańców, pięćdziesiąt kilometrów do kina, sto do teatru, dwieście na dobry koncert. Ale za to jak się tu żyje! Pysznie po prostu!

Idąc w niedzielne południe w kierunku rynku, na którym po bożemu stoją kościół, poczta i fontanna, można naprawdę zrobić się głodnym. Dlaczego? A chodźcie czasem na niedzielne obiady do babci, kiedy cały dom jest wypełniony najpiękniejszymi zapachami? Na samą myśl o nich żołądek się kurczy. Tak właśnie możemy poczuć się nie tylko w niedzielne południe w moim Czaplinku. Jakbyśmy znowu zasiedli przy ogromnym, dziadkowym stole i nie mogli doczekać się babcinych smakołyków.

Czyż można nie czekać z utęsknieniem na letnie zachody słońca nad ogromnym jeziorem Drawsko? Idziesz sobie promenadą, ocienioną koronami wysokich, starych drzew, wybierasz ławeczkę, którą chcesz, siadasz z ... no, już nie wnikać z kim i rozkoszujesz się widokiem, jakiego ci choćby 10 HD nie zrekompensuje. Jak okiem sięgnąć – lśniące lustro wody, coś jak szafir ze szmaragdem, przetykany cyrkoniami. Na horyzoncie niewielkie wzgórza, bo to przecież teren polodowcowy, zielone jak te nad Soliną, a nad nimi – mój Boże, co za szaleństwo barw! Fiolety, fuksje i pomarańcze zalewają wręcz ciemniejący amarant nieba, na którym błękitu już tylko okruchy, strzępki zaledwie, bo ogromna złota kula już niemal wpada do wody, już się w niej zanurza bezszelestnie, już purpurowieje, ciemnieje, znika...

Taaak, człowiek, który tego nigdy nie widział, nie wie zupełnie, czym jest słodycz tego świata. A to dopiero początek, baza, podstawa. Jak dobry biszkopt na spodzie. A co dalej?

A dalej las. Gęsta warstwa sosnowej woni, miękkości mchu pod stopami, słonecznych refleksów na czarno-białej korze brzoź, z bakaliami myśliwskich ambon, z których o świetle bez trudu dostrzeżesz lekko

stapające na polanie łanie czy szaraki, nastawiające co kilka skoków swe długie, kosmate słuchy.

Wychodząc z tej soczystej, leśnej konfitury, czego byś skosztował? Czegoś jasnego, łagodnego a upojnego? Jak krem? Oto zbożowe pole – daleko, daleko aż po błękit letniego nieba rozświetlające międzyleśne przestrzenie. To pszeniczne wydaje się bardziej złociste, miękkie, jakby wygrzewające się długimi godzinami w lipcowym żarze, a tamta szarawa, jakby przysypana pyłem zmęczenia przestrzeń to z pewnością łąn żyta, którego kłosa kłują ostrymi nitkami, chroniącymi ciemne, trochę cierpkie ziarna. Stoisz wśród takich śmietankowych pól, za plecami masz miły cień lasu, nieco wyżej rozbielony upałem, jakby pociągnięty warstwą lukru, błękitny tiul nieboskłonu i... I jest tak słodko, że przydałaby się jakaś galaretką. Najlepiej z owocami.

To wracaj do miasteczka. To tylko dwa kroki. Wokół kolorowe, stuletnie domki, wielkie lipy i kasztanowce, chłodne alejki parku, droga do szkoły, rynek. Już lepiej? A teraz popatrz. Sąsiadka z zakupami. Pan od historii. Dzień dobry! Dzień dobry! Ksiądz proboszcz. Przedszkolaki ze swoja panią. Emeryci na ławce przed fontanną. Wszyscy cię znają. I ty znasz wszystkich. Gdziekolwiek pójdziesz – jesteś jak w domu. Swój.

Ale też – jak prawdziwy epikurejczyk, posługujący się rozumem i przestrzegający zasad moralnych, jesteś za tę cudownie spokojną, rozkoszną krainę odpowiedzialny.

Tort łatwo popsuć niedobrym składnikiem. Świat też.

Ja, smakosz, tego nie uczynię. Co najwyżej podzielę się swoim kawałkiem tortu.

Przyjedziecie do Czaplinka?

Tekst w wykonaniu Wiktora Dworzaka został nagrodzony I miejscem w Ogólnopolskim Konkursie Krasomówczym Młodzieży Gimnazjalnej w Legnicy w 2013r.

ALINA KAROLEWICZ, nauczycielka języka polskiego w gimnazjum czaplineckim. Jej pasje artystyczne to teatr, recytacja, historia regionu, a przede wszystkim śpiew białym głosem dawnych, ludowych pieśni, pochodzących z terenów przedwojennych polskich Kresów. Od kilkunastu lat gromadzi wokół siebie utalentowaną i wrażliwą młodzież z Czaplinka, z którą realizuje kolejne projekty artystyczne. Z Teatrem Kotelioty, Grupą DRA i ostatnio Grupą Artystyczną „Wypożyczalnia Skrzydeł” występowała na ogólnopolskich i międzynarodowych festiwalach teatralnych, konkursach recytatorskich i krasomówczych; śpiewała m.in. w krakowskiej Piwnicy pod Baranami i na Festiwalu Muzyki Folkowej Polskiego Radia „Nowa Tradycja”. 2012 laureatka . nagrody „PRO ARTE”, przyznanej przez Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego „za wybitne osiągnięcia w dziedzinie sztuki i kultury”.

Anna Maria Patalan i Wiktor Dworzak, licealiści, od kilku lat rozwijają się artystycznie pod kierunkiem Aliny Karolewicz. Wybitni recytatorzy i mówcy, chętnie biorą udział w projektach teatralnych i filmowych; 2013 finaliści Ogólnopolskiego Konkursu Krasomówczego Młodzieży Gimnazjalnej w Legnicy; 2014 występy podczas Dni Henrykowskich w Pałacu w Siemczynie.

REDAKTOR NACZELNY POLECA

Członkowie zespołu redakcyjnego „Zeszytów Siemczyńsko-Henrykowskich” to również autorzy znakomitych książek, i tekstów uzupełniających do publikacji innych autorów, dotyczących nie tylko historii regionu, ale i dziejów polskiej kultury.

W niniejszym, piątym wydaniu Zeszytów redaktor naczelny rekomenduje P.T. Czytelnikom następujące publikacje. Oto one:

- Jarosław Leszczelowski, *Wokół jeziora Siecino*
- Jarosław Leszczelowski, *Żółte gawędy historyczne*
- Marian Piotr Romaniuk, *Nekropolia Bródnowska*, Tom I
- Marian Piotr Romaniuk, Posłowie do książki Józefa Zbigniewa Polaka *Impresje z Powstania na Starym Mieście w Warszawie*

*



Niniejsza książka jest już drugą, szerszą publikacją, której Jarosław Leszczelowski nadał specyficzną formę „wędrowek w pięciu wymiarach”. Pierwszą była pozycja wydana w roku 2013 „Między Drawskiem a Złocińcem. Pięć wędrowek w pięciu wymiarach,”. Tym razem autor zaprasza czytelników do wyprawy w okolice jeziora Siecino. Obszar zakreślony przez opisane wędrowki tworzy szeroki pas wokół wspomnianego jeziora, które leży w jego centrum. Budując w taki sposób ramy tej publikacji, udało się sięgnąć do dziejów kilkunastu wsi, licznych osad oraz zapomnianych starych siedzib ludzkich.

Wędrowki w pięciu wymiarach stanowią pewien sposób opowiadania o historii, którego celem jest zachęcanie czytelników do odbywania wypraw terenowych w celu odszukiwania jej dyskretnych śladów. Skąd wzięła się nazwa „wędrowki w pięciu wymiarach”? Otóż podczas swych wypraw autor porusza się oczywiście w trzech

wymiarach geometrycznych, wybierając mniej lub bardziej znane szlaki, drogi, ścieżki, a niekiedy również bezdroża. Podczas takich wędrówek zatrzymujemy się przy obiektach, z którymi związane są ciekawe historie lub legendy. Autor opowiada je czytelnikom, zapraszając ich w ten sposób w podróż w czwartym i piątym wymiarze. Czwarty to czas, czyli historia, piąty - ludzka wyobraźnia, czyli legendy. Obszar wokół jeziora Siecino roi się od interesujących obiektów, ciekawostek historycznych i dawnych legend.

*

Doskonałą okazją do oddania w ręce czytelnika kolejnej książeczki autorstwa Jarosława Leszczelowskiego był festyn organizowany w Żółtem (gmina drawsko Pomorskie) przez Ośrodek Kultury w Drawsku Pomorskim podczas Europejskich Dni Dziedzictwa: Zachodniopomorskie 2014, „Dziedzictwo - źródło tożsamości”. Intencje organizatorów wykraczały dalece poza chęć przeprowadzenia jednorazowej uroczystości. Przeciwnie, festyn został zaplanowany w taki sposób, żeby stał się ważnym impulsem do podjęcia przez miejscową społeczność pracy nad zorganizowaniem tak zwanej wioski tematycznej pod nazwą „Osada słowiańska w Żółtem”, która w oczywisty sposób nawiązywałaby do sensacyjnych odkryć archeologicznych dokonanych na wyspie jeziora Żarańsko. Popularyzacja wiedzy na temat tego wyjątkowego miejsca, będącego siedliskiem wczesnośredniowiecznych Słowian, byłaby jednym z celów prezentowanej książeczki.



Opisując historię tej niewielkiej miejscowości autor sięgnął zarówno po dokumenty źródłowe i mało znane publikacje jak też po żywe relacje mieszkańców Żółtego. W ten sposób w dość skompensowanej formie zawarte zostały fascynujące dzieje wsi, które czyta się jednym tchem.

*

Tuż przed końcem listopada br. ukazało się drugie wydanie tomu pierwszego monografii Mariana P. Romaniuka pt. *Nekropolia Bródnowska*¹. Widać, takie było zapotrzebowanie społeczne. Okazało się bowiem,

1 Marian Piotr Romaniuk, *Nekropolia Bródnowska*. T. I. 1884-2014. Warszawa 2012. Zew słowem wstępnym Księdza Arcybiskupa Henryka Hosera SAC, Profesora Jana

że pierwszy nakład rozdysponowany został niemal błyskawicznie już dwa lata temu. Egzemplarze książki otrzymały rodziny zmarłych pochowanych na Bródnie, ich przyjaciele, znajomi. Tylko nieliczni spośród naszego grona redakcyjnego otrzymali książkę z imienną dedykacją. Może tym razem uda się przekonać naszego kolegę o wręczeniu każdemu z nas książki z autografem...



Niewątpliwie jest to jak dotychczas najważniejsza i najbardziej obszerna praca monograficzna o Cmentarzu Bródnowskim, nazywanym przez warszawiaków Cmentarzem Bródzieńskim. Ten projekt wydawniczy aspiruje do wyczerpującej prezentacji osób pochowanych na największym cmentarzu w Polsce i jednym z największych cmentarzy w Europie.

Jak zapowiada autor, w przygotowaniu są trzy pozostałe tomy. Znajdziemy tam odniesienia zarówno do wybitnych zmarłych osobistości świata literatury, sztuki, czy nauki, jak i mniej znane sylwetki warszawskich kupców, rzemieślników, przedsiębiorców, którzy przez ostatnie stulecie kształtowali obraz naszego miasta po obu stronach Wisły. Odnajdziemy tu zwykłych ludzi, którzy mieli nie zwykłe życiorysy, i być może odkryjemy bohaterów czasów wojny i zwykłej codzienności. Cmentarz jest bowiem skarbnicą wielu cennych informacji, nośnikiem przekazów kulturowych, szczególnie ważnych dla społecznej świadomości.

Przez prawie 130 lat Nekropolia Bródnowska była świadkiem wielu pogrzebów; zarówno tych oficjalnych jak i organizowanych pod osłoną nocy chociażby przez funkcjonariuszy systemu komunistycznego...

Nekropolia Bródnowska jeszcze w latach międzywojnia uchodziła za cmentarz dla ubogich Warszawiaków. Niejako przełom w tym negatywnym myśleniu zapoczątkował kard. Aleksander Kakowski, który w testamencie wyraził swoją wolę pochówku na Bródnie i jak dotychczas jest jedynym kardynałem pochowanym na polskim cmentarzu komunalnym.

Monografia jest także przypomnieniem znanych i mniej znanych Warszawiaków pochowanych na tej największej w Europie pod względem ilości pochówków nekropolii. Warto dodać, że na Bródnie spoczywa ok. 40 Powstańców Styczniowych (z adnotacjami i fotografiami na płytach nagrobnych), których chociażby z racji zbliżającej się 150. rocznicy wybuchu Powstania należy przypomnieć; ok. 1300 Powstańców Sierpniowych, wielu znanych i zapomnianych twórców polskiej kultury:



Abp Henryk Hoser S.A.C.
Biskup Warszawsko-Praski

Chrześcijański szacunek dla zmarłych wyraża się od początku dziejów w godnym traktowaniu ich ciał i właściwym miejscu ich pochowania. Utrwalane na przestrzeni lat zwyczaje przynosiły różnorodne tradycje, które także w na terytorium Polski doprowadziły w drugiej połowie XVIII wieku do zakładania cmentarzy usytuowanych poza granicami miast. Tendencje te sprawiły, że mieszkańcy Warszawy od 1781 roku posiadali usytuowany poza miastem cmentarz Świętokrzyski, a od 1790 roku cmentarz Powązkowski. Po upływie blisko wieku i na skutek dynamicznego rozwoju prawobrzeżnej części Warszawy w 1884 roku powstał cmentarz Bródnowski, w którego dziejach odbija się echo historii praskich terenów, Stołecznego miasta Warszawy i Polski.

130. rocznica założenia cmentarza Bródnowskiego jest okazją do przypomnienia wielkiego bogactwa dziejów, jakie wyraża życie osób, których ciała zostały złożone na Bródnowskiej Nekropolii. Ich imiona, historie ich życia, dzieła, którym poświęcali swoje siły, a niejednokrotnie życie, a wreszcie dziedzictwo sztuki i pobożności wyrażone w ich nagrobkach będzie przypomniane w prezentowanej monografii.

Wyrażam podziękowania autorom dzieła za włożony wysiłek w zebraniu imponującego materiału historycznego i ocalenia od zapomnienia pamięci osób, których biogramy zostały ukazane w poszczególnych tomach całego projektu wydawniczego. Dzięki kompetencji i determinacji twórców monografii *Bródnowska Nekropolia 1884-2014*, pokolenie początku XXI wieku zyskuje bogatą dokumentację przeszłości i osób, o których pamięć nie powinna nigdy wygasnąć.



Henryk Hoser

Warszawa, 25 czerwca 2012 roku



Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy

pl. Rankowy 3/5, 00-950 Warszawa, tel. (022) 443 10 00, 443 10 01, faks (022) 443 10 02
www.um.warszawa.pl

Szanowni Państwo,

zapraszam do lektury monografii pt.: „Nekropolia Bródnowska 1884-2014” - niezwyklej wędrówki po dawnej Warszawie. Jest to dla mnie rodzaj szczególnego przewodnika historycznego, który przybliży nam postaci jej dawnych mieszkańców - ludzi czynu, społeczników, intelektualistów, przedstawicieli wolnych zawodów, a także przypomina wydarzenia znaczące w historii stolicy.

Dzięki obszernym biogramom poznajemy życie, pracę, obyczajowość, działalność społeczną i polityczną warszawiaków pochowanych na Cmentarzu Bródnowskim. Jest to wiedza bezcenna dla zachowania pamięci o ludziach i zdarzeniach. Cmentarz ten, będąc jednym z największych cmentarzy w Europie pod względem liczby pochowanych osób, stanowi trwały pomnik dziejów Warszawy i jej mieszkańców. Wśród spoczywających tu bohaterów dramatycznych wydarzeń historycznych odnajdujemy: powstańców styczniowych, uczestników rewolucji 1905 roku, żołnierzy Polski Podziemnej, członków konspiracji 1939-1945, poległych i pomordowanych w czasie Powstania Warszawskiego, pomordowanych w czasach stalinowskich. Pamiętajmy, że zachowanie pamięci o przodkach podtrzymuje więzi z przeszłością i kształtuje postawy szacunku wobec dziedzictwa dziadów i ojców. Tożsamość miasta wyrasta z jego historii i ludzi, którzy ją tworzyli.

Pragnę wyrazić słowa uznania dla autorów i wydawcy tak cennego warsavianum. Jestem przekonana, że ich praca zostanie doceniona, zachęci do odwiedzenia Cmentarza Bródnowskiego i refleksji nad dokonaniem tam spoczywających, a wiele informacji zawartych w publikacji stanie się przyczynkiem do dalszych badań nad dziejami Warszawy.

Z poważaniem

Hanna Gronkiewicz-Waltz

aktorów scen polskich, pisarzy, reżyserów; duchowieństwa; osób zasłużonych dla Warszawy; wreszcie pedagogów, społeczników, naukowców i więźniów systemu komunistycznego.

Na Cmentarzu Bródnowskim zostały pochowane wybitne osobistości teatru i filmu, jak chociażby Franciszek Brodniewicz, amant kina międzywojennego, czy aktor-kulturyista Marian Glinka, wielu kompozytorów, muzyków i twórców polskiej estrady jak Łucja Prus czy Mieczysław Fogg; prezenterzy radiowi i telewizyjni jak Andrzej Kozera, Jerzy Rośołowski czy Witold Pograniczny; parlamentarzyści, jak wicemarszałek sejmu Ludwik Gdyk; politycy jak Paweł Wypych, tragicznie zmarły w katastrofie pod Smoleńskiem minister w Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego: Roman Dmowski, wielki mąż stanu i przywódca endecji. Jakże nie wspomnieć w tym miejscu Haliny Konopackiej, pierwszej polskiej medalistki olimpijskiej, Jerzego Antczaka, dobrze zapowiadającego się boksera czy Toniego Halika...

*

Marian Romaniuk jest również autorem posłowie do albumu Józefa Zbigniewa Polaka *Impresje z Powstania Warszawskiego na Starym Mieście*². Jego autor, architekt o światowej renomie jest także wspaniałym rysownikiem i bystrym obserwatorem.



Józef Z. Polak, *Impresje z Powstania na Starym Mieście*

² Józef Zbigniew Polak, *Impresje z Powstania Warszawskiego na Starym Mieście*. Wydawnictwo Apostolicum. Ząbki 2014, s. 120. Słowo wstępu kard. K. Nycza. Posłowie: Marian P. Romaniuka

On też przy pomocy krótkich tekstów i rysunków opowiada niezwykle historie z Powstania Sierpniowego. Czyni to z myślą przede wszystkim o młodym pokoleniu, urodzonym na przełomie wieków, których poprzez obraz pragnie zainteresować tym wszystkim, co sam przeżywał jak młodzieniec. Ale nie tylko. To bardzo szczególny apel do młodzieży o zachowanie w pamięci pokolenia Polski Walczącej; które powoli odchodzi...



Jak pisze kardynał Kazimierz Nycz w słowie wstępnym, *autor nie brał udziału w walkach o starówkę. Stacjonował wówczas na Pradze. Jego rówieśnicy z Kompanii Motorowej Orlaków walczyli dokładnie w tych miejscach, które znakomicie opisał. Na Stare Miasto powrócił dopiero po zakończeniu walk. To co zobaczył - niemal doszczętnie zniszczone domy poruszyły nim do żywego. I zapewne wówczas zrodził się pomysł przygotowania albumu impresji złożonych ze wspomnień i rysunków - właśnie szlakiem walk Orlaków. Ta myśl dojrzewała zapewne przez lata, by teraz, w przeddzień siedemdziesiątej rocznicy walk powstańczych przybrać realne kształty.*

Przytoczmy też obszernie fragmenty posłowania autorstwa Mariana Romaniuka:

Piątek, 4 kwietnia 2014. Drugi dzień Targów Wydawców Katolickich. Podczas spotkania autorskiego przy stoisku Wydawnictwa Archikonfraterni Literackiej podpisywałem najnowszą książkę. Nagle telefon:

– Nazywam się Józef Zbigniew Polak. Właśnie kończę prace nad przygotowaniem do druku albumu o Powstaniu Warszawskim.

O pana istnieniu dowiedziałem się od Stasia Iwańczaka „Beniaminka”, z którym walczyliśmy w Orlakach. Czy moglibyśmy się spotkać?

Nie od razu odpowiedziałem na zaproszenie. Dopiero za kilka dni. Dostojny Autor zaproponował mi współpracę przy realizacji projektu graficznego i wydawniczego. Pierwsze z nim rozmowy były decydujące. Frapowała mistrzowska kreska oraz niepowtarzalny urok i głębia rysunków. Ale zapewne wówczas nie to było najważniejsze. Mogłem podziwiać wielką determinację Autora odnośnie do wydania niepowtarzalnego

albumu. I pewnie tym ujęty, zacząłem analizować bliski mi temat Powstania na Starym Mieście.

Autor, odtwarzając ślady walk powstańczych, zatrzymywał się przy każdym ważniejszym obiekcie. Robił jego szkice i rysował. W efekcie prac powstał niezwykle barwny i plastyczny album impresji o Powstaniu Warszawskim, zatytułowany Impresje z Powstania Warszawskiego na Starym Mieście i adresowany przede wszystkim do młodego pokolenia Polaków, edukowanego szczególnie na percepcji obrazu w każdej jego formie.

Zadanie niezwykle trudne, z którego Autor wywiązał się znakomicie. Powstał niepowtarzalny i jedyny w swoim rodzaju album, z dużym ładunkiem emocjonalnym żołnierza AK i wytrawnego rysownika. To, jak będzie album przyjęty przez młodych ludzi, zapewne zależy od nich samych. W ich imieniu składam na ręce Autora moje najwyższe uznanie i gratulacje.

Wprowadzenie to domu przygotował jeden z najwybitniejszych varsavianistów, prof. Marian M. Drozdowski. Album ukazał się w pallo-tyńskim wydawnictwie Apostolicum.

Znakomita lektura, którą gorąco polecam dla młodzieży szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych.

Zapowiedź następnego tomu

W 2014 roku miały miejsce w Siemczynie dwa ważne wydarzenia.

Pierwszym z nich była konferencja „REWITALIZACJA ŚRODOWISK POPEGEEROWSKICH – ODZYSKANIE UŚPIONEGO KAPITAŁU” pod honorowym patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego. Otrzymała się ona w dniach 1-2 lipca, a organizatorami jej były województwa: lubuskie, zachodniopomorskie, pomorskie i warmińsko-mazurskie.

W VI tomie Zeszytów Siemczyńsko-Henrykowskich, który ukaże się niebawem, publikujemy najciekawsze wystąpienia uczestników konferencji, a m. in.:

- bardzo interesujący referat **prof. dr hab. Anny Gizy-Poleszczuk - *Spoleczne aspekty likwidacji Państwowych Gospodarstw Rolnych: raport socjologiczny z badań ilościowych i jakościowych.***
- oraz referat **Pawła Orłowskiego** - Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Infrastruktury i Rozwoju RP - *Możliwości reintegracji społecznej i rewitalizacji obszarów enklaw popegeerowskich w ramach funduszy europejskich 2014 - 2020*.
- treść deklaracji podpisanej na zakończenie konferencji przez przedstawicieli województw-organizatorów o podjęciu wspólnych systemowych działań (krajowych, regionalnych, lokalnych) zmierzających do odzyskania uśpionego kapitału społecznego środowisk popegeerowskich.

Drugim ważnym wydarzeniem była konferencja naukowo-metodyczna „**W TROSCE O NASZE DZIECI. Odzyskanie uśpionego kapitału w regionach popegeerowskich poprzez zapewnienie optymalnego rozwoju dzieci w długofalowej perspektywie**”. Otrzymała się ona w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa, pod patronatem Urzędu Marszałkowskiego w Szczecinie, a jej organizatorami były Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie i Gmina Czaplinek. Była jak gdyby kontynuacją lipcowej konferencji „prezydenckiej”.

W zapowiadanym VI tomie Zeszytów publikujemy referaty wygłoszone przez naukowców z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach i z Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu, a w tym:

- Renata Orawiec, Stanisław Nowak, Stanisław Tuzinek - *Postawa ciała dzieci czaplineckich w wieku 6-9 lat.*

- Stanisław Nowak, Renata Orawiec, Stanisław Tuzinek - *Diagnoza składu ciała ważnym ogniwem w tworzeniu programów treningu zdrowotnego dzieci czaplineckich w wieku 6-9 lat*
- Stanisław Tuzinek, Renata Orawiec, Stanisław Nowak - *Profilaktyka i leczenie wad postawy ciała w świetle współpracy ze szkołą i rodzicami.*

Tematyka ta, a w szczególności wymienione referaty powinny żywo zainteresować wszystkich, którym zdrowie dzieci leży na sercu.

Bogdan Andziak

FIRMY WSPIERAJĄCE FINANSOWO WYDANIE TOMU V:
ZESZYTÓW SIEMCZYŃSKO-HENRYKOWSKICH



Konsorcjum Andziak sp. j.
78-100 Kołobrzeg, ul. Jedności Narodowej 18

Skład maszyn:
78-123 Siemysł, Białokury 14
andziak@andziak.com
www.andziak.com



Pałac Siemczyno Adam Andziak
78-551 Siemczyno, Siemczyno 81
biuro@palacsiemczyno.pl

Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie
hss@palacsiemczyno.pl
www.palacsiemczyno.pl



Szanowni Państwo,

Zostałem poproszony o napisanie słowa wstępu do, piątego numeru „Zeszytów Siemczyńsko-Henrykowskich”, to dla mnie wielki zaszczyt. Jednocześnie bardzo szczególne zobowiązanie do sprawowania mecenatu nad dokonaniem twórczym Pałacu w Siemczynie; co więcej, promowania w szerszym zakresie inicjatyw podejmowanych przez Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie.

Jako senator z okręgu zachodniopomorskiego, miałem możliwość zapoznania się z dokonaniem Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie i jego animatorów braci Zdzisława i Bogdana Andziaków, którzy nie szczędzą wysiłków, by Pałac w Siemczynie, dzięki restauracji i rewitalizacji zyskał swą dawną świetność. Te starania docenione zostały w II edycji konkursu „Strażnik Dziedzictwa Rzeczypospolitej” Custos Monumentorum Rei Publice, pod patronatem Senatu RP i Ministerstwa Kultury oraz Dziedzictwa Narodowego oraz Narodowego Centrum Kultury. Jego celem jest uhonorowanie osób i instytucji mających szczególne zasługi dla ochrony i zachowania polskiego dziedzictwa kulturowego w kraju i za granicą. Nobilitacją dla całego środowiska twórców kultury w Siemczynie był udział obu prezesów Henrykowskiego Stowarzyszenia w Siemczynie, Zdzisława i Bogdana Andziaków w uroczystej gali w Łazienkach Królewskich w dniu 18 listopada ubiegłego roku, kiedy to otrzymali wyróżnienie w tak prestiżowym konkursie. Jako senator, a zarazem członek Komisji Kultury i Środków Przekazu miałem zaszczyt uczestniczyć w tym ważnym wydarzeniu i miałem przyjemność być naocznym świadkiem tego historycznego wydarzenia.

I tego typu bardzo szczególne miejsca w Polsce, jak Pałac w Siemczynie miał na myśli Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz. W krótkim, acz znaczącym przemówieniu zaznaczył, że nasze dziedzictwo narodowe jest rozsiane po całym świecie. Są miejsca tak znane jak Biblioteka Polska w Paryżu, która dba o zachowanie naszego dziedzictwa, ale jest też mnóstwo miejsc, o których trzeba przypomnieć. Ten konkurs jest właśnie po to, by mówić o takich miejscach i ludziach, którzy te miejsca otaczają opieką. Marszałek dodał, że to, co otrzymaliśmy jako dorobek poprzednich pokoleń, jest zachowane dzięki osobom i środowiskom, którym leży na sercu utrwalenie tej spuścizny. Są to osoby anonimowe, działające lokalnie, pasjonaci historii regionu, kolekcjonerzy, pragnący ocalić fragmenty większej całości dla potomnych.

Jestem głęboko przekonany, że w latach następnych Pałac w Siemczynie zostanie uhonorowany mianem Strażnika Dziedzictwa Rzeczypospolitej, na co ze wszelkich miar zasługuje.

Chciałbym podkreślić, iż w ostatnich latach Pałac w Siemczynie skupia środowisko twórców kultury, historyków i miłośników regionu zachodniopomorskiego. Na szczególne wyróżnienie zasługuje bodaj pierwsza w Polsce inicjatywa prywatna wydawania pisma, w którym można znaleźć wiele interesujących materiałów chociażby z historii regionu, przybliżenia czytelnikowi dawnych tradycji etc. „Zeszyty Siemczyńsko-Henrykowskie” są wysoko notowane w środowisku krzewicieli kultury. To najlepszy przykład, że nawet w tak niewielkich społecznościach lokalnych można wydawać profesjonalne pismo, o najwyższym poziomie merytorycznym i edytorskim.

Dlatego też proszę przyjąć wyrazy uznania i gratulacje kierowane do Zespołu Redakcyjnego, w szczególności do Redaktora Naczelnego i jego Zastępców zarówno za pomysł jak i dotychczas wydane numery pisma.

Z pozdrowieniami

Sławomir Preis

Senator RP

